



DOBRY PASTERZ.



MIKOŁÓW-WARSZAWA.
KAROL MIARKA.

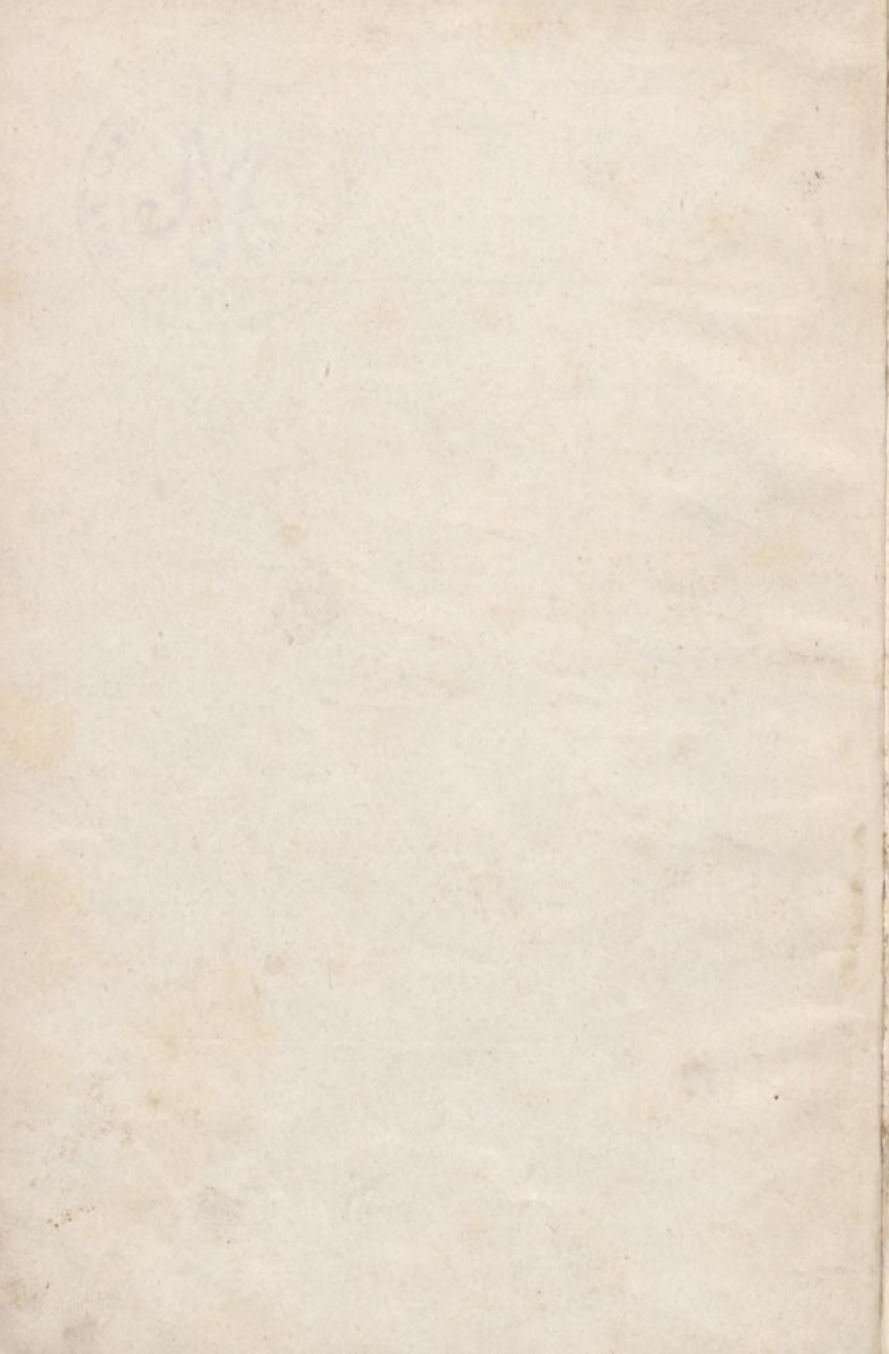


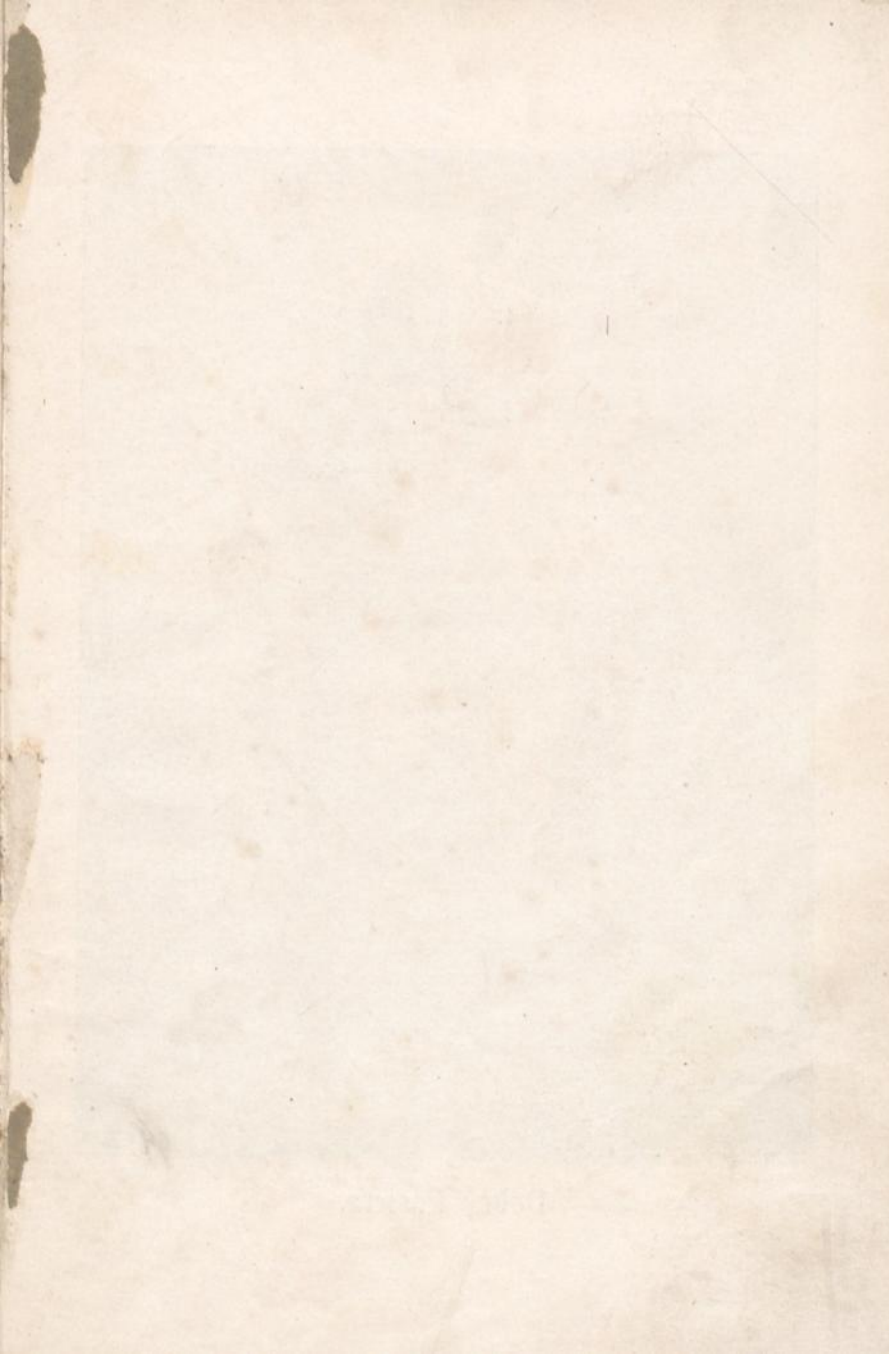
Dot ks P. Obuchowina

355

163









Dobry Pasterz.

163

DOBRY PASTERZ



CZYTANIA NABOŻNE

DLA WSZYSTKICH STANÓW.

NAPISAŁ

X. FRANCISZEK SER. HATTLER.

PRZEŁOŻYŁ NA POLSKIE ZA POZWOLENIEM AUTORA

X. JÓZEF STAGRACZYŃSKI.



MIKOŁÓW—WARSZAWA.
NAKŁADEM KAROLA MIARKI.
1904.

APPROBATUR.

Varsaviae, die 8/21 Maii 1904 anni.

Judex Surrogatus,

Praelatus Metropolitanus

Leopoldus Lyszkowski.

Secretarius

R. Lasocki.

„Dobry Pasterz.“

№ 2507.

ОДОБРЕНО.

Варшава, 8/21 Мая 1904 года.

Судья Суррогатъ Варшав. Р.-К. Духов. Консисторіи,

Предать Митрополиталнаго Капитула

Кс. Л. Лышковскій.

Секретарь

Кс. Р. Лясовскій.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 31 Августа 1904 г.



WSTĘP.

W niektórych krajach katolickich jest zwyczaj, że na procesyi Bożego Ciała idą też tak zwane „żywe obrazy“, to jest dzieci przebrane za Świętych z godłami, czyli odznakami tego a tego Świętego. Jedno przedstawia np. Anioła-Stróża, który małą dziecinę prowadzi za rączkę; drugie wyobraża Patrona dyecezyi; dziewczątko jakie przedstawia świętą Notburgę lub inną Świętą. Na jednej takiej procesyi, w której brałem udział, jedno śliczne pachole przedstawiało „Dobrego Pasterza.“ Młodzieniaszek stał tuż przy kapłanie, który niósł w monstrancyi Najświętszy Sakrament, to jest, samegoż Dobrego Pasterza. Widok był czarujący. Taka procesya, to przypomnienie, jak ten Pan Jezus chodził w ziemi Żydowskiej w otoczeniu nieprzeliczonej rzeszy ludu,

chodził od miasteczka do miasteczka, od siola do siola, tu i owdzie się zatrzymywał, uzdrawiał ślepych i chromych, onego celnika Zacheusza w Jerycho nawrócił. O tem wszystkiem Ewangelia krótko wspomina, przydając, że Pan Jezus „przeszedł, czyniąc wszystkim dobrze.“

Toż dzieje się i na procesyi: Pan Jezus w Najśw. Sakramencie prowadzi owieczki Swoje na dobre pastwiska, broni od wilków, czuwa we dnie i w nocy, szuka zbłąkanych i znalazłszy, wprowadza znowu do swej owczarni.

Cudowne to zaiste! życie Dobrego Pasterza w kościele, w domu Jego, w parafii. Bierze gdzie dziecię nowo narodzone Chrzest św., bierze dorastając Bierzmowanie, kwitnie gdzie cudne kwiecie niewinności, słyszy dusza która czasu pokusy przestroge, chory śmiertelnie na duszy wraca za pomocą spowiedzi do zdrowia, konający odbiera pociechę i pokrzepienie: — to wszystko czyni ten Dobry Pasterz wpośród Swej owczarni, w kościele parafialnym. Gdybyśmy mieli takie oczy, jak Aniołowie, gdybyśmy mogli widzieć, jak oni widzą, co utajony w Najświętszym Sakramencie Pan Jezus dzień w dzień czyni dla owieczek Swoich, tobyśmy — jak-żeby to powiedzieć? tobyśmy całkiem żyli inaczej...

Wszakże i tak moglibyśmy widzieć niejedno, co czyni Pan Jezus, gdyby każdy a każdy chciał sobie rozważyć wszystkie łaski, jakie codziennie otrzymuje. Bo skądże przyszły, kto mu je dał? Któż inszy, jeżeli nie On Dobry Pasterz, zamknięty w skromnym przybytku ołtarza?

Co Pan Jezus czyni dla jednej i drugiej i setnej małej trzódki parafialnej, to czyni i dla onej wielkiej owczarni Kościoła całego. Codziennie wychodzi paść i strzedz owieczek, idzie szukać, które zginęły, a znalazłszy, wpro-



wadza znowu do owezarni, przywraca spokój sumienia. Są tacy, co z wdzięczności opisują i opowiadają, jak ich ten Dobry Pasterz szukał, jak i gdzie znalazł i uratował od śmierci.

W niniejszej książeczce podaje zbiór takich opisów. Rzecz to zadziwiająca, jakimi to nieraz Boski Pasterz posługuje się środkami celem wprowadzenia zbląkanym

owieczek na dobrą drogę, jak nieraz całemi latami chodzi za nimi, wzywa przesłodka, serdecznie przytula do piersi, jak się z ich cieszy powrotu.

Nie wątpię wcale, że te opisy dadzą każdemu poznać wnętrzości Serca tego Boskiego Pasterza, dadzą poznać wszystką miłość i wszystko miłosierdzie Jego. Te opowiadania są zarazem jakoby drogowskazem do tego Serca, jakoby uroczystem dzwonieniem na kazanie o Dobrym Pasterzu, by ewangelię o Dobrym Pasterzu nie tylko słyszeć, lecz i widzieć niejako na żywe oczy.

Na samem czele kładę ewangelię o dobrym pasterzu: reszta — to tylko obszerniejsze objaśnienie tejże ewangelii.

„Onego czasu mówił Jezus Faryzeuszom: Jam jest pasterz dobry. Dobry pasterz duszę swą daje za owce swoje; lecz najemnik, i który nie jest pasterzem, którego nie są owce własne, widzi wilka przychodzącego, i opuszcza owce i ucieka, a wilk porywa i rozpląsza owce. A najemnik ucieka, iż jest najemnikiem, i nie ma pieczy o owcach... Jam jest pasterz dobry, i znam moje, i znają mię moje, jako mię zna Ojciec, i Ja znam Ojca, a duszę Mą kładę za owce Moje. I drugie owce mam, które nie są z tej owczarni; i one potrzeba, abym przywiódł, i słuchać będą głosu Mego; i stanie się jedna owczarnia i jeden pasterz.“

ROZDZIAŁ I.

Zapomniany parasol.

Nie nie dzieje się bez woli Pana Boga. Wielka to prawda, a jest prawdą nawet w najpospolitszych, codziennych życia wypadkach. Ot, patrzysz oknem na podwórko, spojrzysz na stodołę, na dachu siedzi sobie wróblątko, nie myśli o niczem — wtem jak strzała spada jastrząb drapieżny, chwytą w szpony wróbla nieboraka, unosi, siędzie gdzie na drzewie lub na kępie, oskubuje go z pierza, rwie żywceem kawałami, pożera — jakby nigdy nie... Powiedz, czy się to stało bez wiedzy Pana Boga? O nie, to artykuł wiary, bo sam-że Pan Jezus powiedział, że Ojciec w niebiesiech o każdym wróblęciu pamięta, i żaden nie spadnie z dachu bez wiedzy i woli Ojca.

Położysz gdzie książkę, chustkę, klucz lub co inne-go, zapomnisz o tem, szukasz a szukasz, gdzie się to zadziało, nagniewasz się nieraz, choć to twoja wina, żeś taki zapominalski: czy to stało się bez wiedzy Pana Boga? Czy może i Bóg zapomniał? Nie, bo najpierw nie byłby Bogiem, gdyby nie wiedział o wszystkim; a po wtóre, gdyby był chciał, mógł łatwo tego zapomnienia twojego nie dopuścić; a że nie przeszkodził, więc, po trzecie, musiał mieć Swoje ważne do tego przyczyny. Tych przyczyn my nie możemy zawsze odgadnąć, ale bywają też w pewnych wypadkach tak widoczne, że jakby namacalne, jak np. w następującej historii o zapomnianym parasolu.

*

*

*

Dwu Anglików, dobrych przyjaciół, Murray i Duglas, zwiedzało Rzym lat temu będzie kilka dziesiątek; obaj byli urodzeni i wychowani w wierze niekatolickiej. Bawiąc w wiecznym mieście, bywali często w kościele św. Piotra, celem przypatrywania się katolickiemu nabożeństwu. Razu jednego zdarzyło się, że Murray przybył do kościoła z parasolem, a że mu z parasolem było jakoś niewygodnie, więc postawił go w konfesyonale, i wychodząc z kościoła, całkiem o nim zapomniał. W drodze przypomina sobie o parasolu, wraca, a tu konfesjonał już zamknięty. Idzie tedy do kościelnego, żeby mu konfesjonał otworzył; kościelny powiada, że na nieszczęście nie ma klucza, gdyż konfesjonał należy do jednego starego zakonnika, który klucz zabrał z sobą i dopiero nazajutrz będzie w kościele; niech-że więc pan pośle swego służącego, albo też zostawi swój adres, a on mu sam parasol przyniesie do mieszkania.

Tymczasem tak wypadło, że Murray tego samego jeszcze wieczora lub rano nazajutrz musiał koniecznie wracać do Anglii. — (I to nie było bez woli Pana Boga); prosi więc przyjaciela Duglasa, żeby mu się postarał o parasol. Duglas idzie do klasztoru, pyta o spowiednika, do którego ten a ten konfesjonał należy, bo tam zamknięty parasol jednego Anglika. Zakonnik przyjmuje go jak najgrzeczniej, daje mu klucz, posyła razem z nim dwu młodych księży, i tak parasol znalazł swego pana, a obaj Anglicy znaleźli przy tem wiarę prawdziwą.

Duglas w tej chwili wcale nie wiedział, że należy do owiec, które nie są w owczarni Chrystusowej, a jeszcze mniej, że go szuka, że za nim chodzi On Dobry Pasterz Boski; że go niewiedomie prowadzi tam, gdzie Go wreszcie znajdzie. Pan Jezus posłużył się tu zakonnikiem, w którego konfesyonale pozostał zapomniany parasol.

Zakonnik był to mąż wykształcony i pobożny. Gdy przybył do niego Douglas, przyjął go, co czyni każdy dobrze wychowany człowiek, bardzo uprzejmie. Zdaje się, że Douglas dotychczas nie miał żadnej bliższej z katolickim kapłanem styczności, więc zdziwił się i był prosto zachwycony, znalazłszy w zakonniku tak miłego, tak serdecznego i rozumnego męża. Pragnie wniknąć z nim w bliższą zażyłość, prosił, by mu pozwolił więcej razy go odwiedzić, na co zakonnik oczywiście przystał jaknajchętniej.

Douglas przychodzi raz poraz. Rzecz to całkiem naturalna, że w rozmowie potrącono i o religię. Anglik wypowiedział wszystko, co tylko słyszał lub czytał niedobrego o Kościele katolickim, a miał on dziwne o tym Kościele wyobrażenie. Zakonnik wysłuchawszy go cierpliwie, odpowiadał na wszystkie zarzuty, ukazując naukę katolicką w świetle prawdziwym. Otóż Dobry on Pasterz miał już zgubioną owieczkę tam, dokąd ją przez zapomniany parasol przyjaciela chciał zaprowadzić. Podczas, gdy uprzejmość i rozległa nauka zakonnika serce jego coraz sposobniejszem czynią do przyjęcia prawdy, Serce Jezusa łaski Swoje wszczepia w duszy Douglasa jako korzonki jakie, wchłania niejako w siebie myśli jego i pragnienia, przekształca je w światło i prawdę — Douglas zostaje katolikiem.

Znalazłszy w Rzymie coś inszego a nieskończenie droższego, niż to, czego szukał, uszczęśliwiony wraca do ojczyzny, odwiedza przyjaciela Murraya i opowiada mu, co mu się z okazji jego parasola przygodziło. Murray słucha zrazu mocno zdziwiony, nie chce prawie własnym uszom uwierzyć, Douglas zaś wyklada mu co słyszał z ust zakonnika, jak go zwolna o prawdzie katolickiej przekonywał i wreszcie przekonał zupełnie, i jak już nie mógł dłużej przewieść na sobie, by nie został katolikiem. To opowiadanie podziałało na przyjaciela jak odrobina kwa-

su w zaczynionej mące, weiskalo się coraz głębiej do serca tak dalece, że postanowił poznać gruntownie wiarę katolicką.

Dobry Pasterz znalazł i tu serce gotowe do przyjęcia łaski. Murray wrócił z matką i siostrą do Rzymu, zamieszkał tam przez całą zimę, dopytał się o zakonnika, którego dobroć i uprzejmość tyle zniewoliły były jego przyjaciela. Przez kilka tygodni pobierał naukę w religii katolickiej, aż na ostatku został przyjęty do Kościoła przez samego kardynała Fransoniego.

* * *

Toby więc było pierwsze poniekąd zadzwonienie i na ciebie, miły czytelniku, zadzwonienie, byś i ty szedł do Serca Jezusowego. Opowiedziałem ten wypadek nie dla zabawki jakiej, gdyż Pan Jezus nie dokonał onego nawrócenia dla czyjejsi rozrywki, lecz pragnie, by czytelnik przyjął to jako dobre nasienie, zasadził je w sercu, iżby tam dobry owoc wydało. Takie opowiadania należy inaczej czytać, niż nowinki gazeciarskie; trzeba wzbudzić sobie akty wiary, nadziei, miłości, a może to każdy zaraz teraz uczynić, odmawiając tę oto króciuteńką modlitewkę dziękczynną:

„O Dobry Pasterzu, Panie Jezu Chryste, z całego serca dziękuję Ci za nawrócenie onych dwu mężów!“

Następnie przydaj: I za mną chodzi Pan Jezus, może już od dawna szuka mnie, chce mnie z ciernia nieprawości wydostać: a czy się jeszcze długo będę opierał?

On zakonnik w Rzymie nie wiedział zgola, co wielkiego zamyśla miłość Serca Jezusowego przez Niego wykonać. Za pierwszym przybyciem Anglika zrobił po prostu to, co każdy dobry katolik powinien uczynić: był

grzecznym, uprzejmym, przyjacielskim, a to właśnie było jakoby przynęta, na którą Pan Jezus wielką rybę ułowil.

Praktyczna z tego opowiadania nauka niech będzie taka: Może dziś, może jutro przyjdzie kto do ciebie, do handlu, do warsztatu, do pracowni: to Bóg tak zrządził, w każdym razie dopuścił, że i ten człowiek, jak on Anglik, czegoś szuka, czegoś potrzebuje. Owóż postanów sobie każdego przyjmować grzecznie, uprzejmie, z miłości Pana Boga, jak gdyby to był sam-że Pan Jezus, lub Matka Jego Najświętsza. Z tego będziesz miał, po pierwsze, dobry uczynek; powtóre, nową zasługę; po trzecie, staniesz się miłszym Bogu, a wreszcie nie można wiedzieć, czy Pan Bóg właśnie tej uprzejmości twojej nie potrzebuje do czego dobrego dla tego, kto cię odwiedzi. W każdym razie szorstkie i niegrzeczne obchodzenie się z bliźnim nikogo jeszcze nie naprawiło i nie naprawi — ani bliźniego, i ani ciebie samego.

Praktykuj to przez jaki dobry tydzień, a obaczysz, żeś o wiele stał się bliższym Sercu Jezusowemu, a tedy on parasol zapomniany w konfesyonale przyniesie wielki pożytek.



ROZDZIAŁ II.

Nawrócony niedowiarek.

Na obrazie Dobrego Pasterza malują owieczkę, jak uwikłana w gęstem cierniu leży zmęczona i na próżno się wysila wy dostać się z tego gąszczu. To ma najpierw oznaczać uwikłanie się człowieka w grzechach, które jak ostre kolce ciernia wpijają się w sumienie, ranią dotkliwie, ranią nieraz tak boleśnie, że grzesznik nie może już wytrzymać, w rozpacz popelnia samobójstwo, bo mu się zdaje, że już gorzej być nie może.

Ciernie oznacza także wielkie cierpienia, któremi sam-że Pan Jezus oplata grzesznika, psując mu grzeszne jego uciechy, ażeby czując się nieszczęśliwym, prędzej posłyszał wołanie Dobrego Pasterza. Takim cierniem jest np. ciężka choroba i boleści choroby. Ileż dusz dziś w Niebie, co byłyby poszły do piekła, gdyby ich Bóg nie był cierniem choroby i cierpienia otoczył! Zazwyczaj bywa tak z młodzieżą. Słyszac o chorobie tego lub owego młodzieńca, tej lub owej panienki, w cichości serca swojego dziękują Bogu za to miłościwe nawiedzenie, bo chociaż choroba jest karą za grzechy, jednak pochodzi z ręki Dobrego Pasterza, który ją na to przepuścił, by dusza chora wyzdrowiała, od jakiego jadowitego wrzodu ciężkiego grzechu lub nałogu grzesznego została uwolnioną. Dowodem tego historia o jednym młodzieńcu, o którym teraz opowiem.

*

*

*

Zakonnik jeden, imieniem Antoni G., przy końcu roku 1874 był w mieście Medyolanie przełożonym szpitala



„Jam jest pasterz dobry. Dobry pasterz duszę swą daje
za owce swoje.“

(Jan X, 11).

chorych nieuleczalnych. Wstępując do zakładu, prosił dyrektora, by go jako przyszłego kapelana przedstawił chorym w szpitalu. Chętnie przystał na to dyrektor, nadmieniając, że co do jednego chorego, musi uczynić wyjątek, bo to skończony niedowiarek i zepsuty do gruntu. Zresztą polecił go dobremu jego sereu tem bardziej, że chory już niedługo pożyje.

Choremu było na imię Henryk. Urodził się w roku 1847. Za młodu wstąpił do wojska. Z domu był majątny, ale puściwszy się na złe życie, wnet cały majątek przehulał, a co gorsza, nabawił się ciężkiej choroby — sechl, marniał, matka musiała go oddać do lazaretu.

Henryk był, co się zowie — niedowiarkiem, nie wierzył nawet w nieśmiertelność duszy, pół na pół tylko wierzył jeszcze w Boga. Dla matki i dla rodzeństwa był nieznośnym, mimo to odwiedzali go często, matka zaś prawie codziennie, w macierzyńskim swem sercu nie pamiętając o przykrościach, które jej wyrządzał. Chorował na suchoty, o wyzdrowieniu lub dłuższem życiu nie było więc mowy. Nie mało trapił się kapelan, bo ten młodzieniec z dziwnym jakimś uporem ani słuchać nie chciał o religii; o najmniejsze słówko gniewał się i szamotał. Położenie było ciężkie: z jednej strony trzeba było chorego przygotować na drogę wieczności; z drugiej znowu ten chory taki uparty i taki zacięty. W tym frasunku kapelan udaje się do Najśladszego Serca Jezusowego i tak się modlił:

„O Najśladsze Serce Jezusowe, spojrzij na tę duszę, Krwią Twoją odkupioną; jeżeli Ty jej nie poratujesz, to ja już ratować nie mam mocy. Oddaję Ci ją, racz o niej pamiętać. Jeżeli dasz jej łaskę nawrócenia, to ten dowód nieskończonego miłosierdzia Twojego na

większą chwałę Twoją podam całemu światu do wiadomości.“

Nieznacznie włożył pod poduszkę choremu medalik Najśłodszego Serca, oprócz tego wszyscy w klasztorze zaczęli pod wieczór odprawiać na intencję chorego osobną modlitwę, i na tęż intencję kapłan kilka Mszy świętych ofiarował.

Kapelan w inny jeszcze sposób próbował pozyskać sobie zaufanie chorego. Żeby mu się odwiedziny jego nie przykrzyły, opowiadał mu o swoich podróżach, osobliwie o podróżach w krajach znanych dobrze Henrykowi, przy czem zręcznie wtrącał jedną i drugą zbawienną uwagę. Opowiadał np. jak się stykał z podróżnymi innego wyznania, jak z nimi rozprawiał o religii, i jak ich przekonywał.

Henryk słuchał uważnie opowiadań prowadzonych więcej w tonie naukowym, niż religijnym, a że posiadał bystre pojęcie, wszystko doskonale rozumiał. Skoro jednak zmiarkował, że to zmierza do sprawy religii, zaraz począł się niecierpliwić i zżymać. Nie przydała się na nie wszystka ostrożność, z nawróceniem było coraz trudniej. Tymczasem choroba pogarszała się, lekarz zapowiedział, że koniec już niedaleki. Zakonnik w wielkiej trwodze, ale pełen ufności do Serca Jezusowego czyni jedno jeszcze wysilenie: oto przez zasługi Najświętszej Panny w najgorętszej modlitwie błaga to Serce o pomoc i ratunek dla chorego. Henryk miał ten zwyczaj, że każdemu, kto chciał, opowiadał całe życie swoje z wszystkimi sprośnościami bez najmniejszego wstydu. Z tego korzysta kapelan: niech-że i jemu opowie, a będzie to spowiedź z całego życia. Chory uczynił to, opowiedział wszystko, a tu kapelan uśmiechnie się i rzecze: „Mój kochany, miałeś tak wielki strach przed spowiedzią, a oto wyspowiadałeś się przede mną, jako przed kapłanem.“ Henryk zdrętwiał,

nie wiedział, co począć, czy się gniewać, czy się poddać. W tej chwili łaska Boska poczęła pracować. Kiedy tak — rzece — tem-ci lepiej, jeżeli ci to wystarcza. Kapłan nasamprzód podziękował w sercu Panu Bogu za ten pierwszy znak miłosierdzia, zaczęm rzekł: Tak, to wystarcza, to była spowiedź generalna.“

— Jak-że to — odezwie się chory — miało-żby to wystarczyć?

— Tak — odpowie kapłan — to wystarcza, Bóg się i tem kontentuje; potrzeba już tylko, abyś otrzymał kapłańskie rozgrzeszenie, a od Boga odpuszczenie, od tego Boga, który nawracającego się grzesznika zawsze przyjmie z ojcowską miłością. Przyrzeknij mi, że za przeszłe życie swoje żałujesz, a na przyszłość już więcej nie chcesz Boga obrażać. Raz już przecie zacznij kochać Pana Boga, który cię tyle ukochał i wciąż jeszcze kocha.

Chory był widocznie wzruszony; zabłysnął dlań promień nadziei, że mu Bóg odpuści — naraz z oczu rzuciły się łzy, padł w objęcia kapłana, obiecując, że będzie gorąco prosił Boga o odpuszczenie, i że Go już więcej a więcej nie będzie obrażał. Zdumienie i radość kapłana można sobie wystawić; dał mu rozgrzeszenie, a pokrzepiwszy go dobrem słowem, oddalił się. Niestety! nie długo trwała ta radość: chory uczuł znowu w sobie dawny wstręt do religii, obudziły się na nowo dawne przesady i dawne nałogi.

Henryk znajdował się w największem niebezpieczeństwie życia, straszny kaszel począł go męczyć, zdawało się, że go lada chwilę zadusi. Kapelan próbował teraz w sposób jak najbardziej łagodny spowodować go do przyjęcia Komunii. Na święta Bożego Narodzenia chorzy wszyscy komunikowali razem, prosił więc i jego, by spólnie z nimi przyjął Ciało Pańskie. Henryk ofuknął się gniewnie,

krzycząc, żeby mu dano spokój. O. Antoni widząc to rozdrażnienie chorego, przerwał natychmiast rozmowę, czekając zapewne lepszej sposobności.

W samo Boże Narodzenie jeszcze raz wspomniał mu o Komunii św., ale chory tak się nasrożył, że go chciał za drzwi wyrzucić. Kapłan przekonał się, że teraz już wszystko musi zdać na Najśłodsze Serce Jezusowe. Poprzestał odwiedzać chorego, który mu zabronił przychodzić, więc tylko przechodząc koło jego numeru, powiedział mu: „Dzień dobry“, na co chory ledwie odbąknął.

I inisi próbowali pomówić z chorym o obowiązkach religii, ale napróżno. Zastanawiano się nad tem, czy niema kogo takiego, któryby był miły choremu i umiał nań wpłynąć zbawiennie; pomyślano o proboszczu św. Wiktora. Był to starzec czcigodny, łagodnego usposobienia, przytem szerokie posiadał doświadczenie. Podjął się zadania, wszelako i jemu chory odpowiadał sucho, z niechęcią — tak był zacięty. Odwiedziny poważnego kapłana ten przynajmniej miały skutek, że chory dowiedział się z ust jego, iż dla niego niema już żadnego ratunku, i musi umierać.

Nazajutrz — a było to trzeciego Stycznia — O. Antoni odwiedził znowu chorego. Dziw niesłychany — chory odzywa się pierwszy i rzece smutnym tonem: „Powiedz mi, ojcze, szczerze, czy rzeczywiście dla mnie niema już żadnego ratunku?“

O. Antoni patrzy nań przeciągle, patrzy jakiś rozrzuwiony, poczem rzece: „Mój kochany Henryku, pozwól powiedzieć sobie otwarcie: tobie potrzeba bardzo pokrzepienia z Nieba, i nie powinienes go odrzucać.“ To milczenie i te słowa poruszyły chorego do żywego; zrozumiał, że śmierć już blisko, więc pocznie szlochać, twarz chowa w pościeli i — milczy. Co myślał? Zakonnicy w tem wszystkiem widzieli działanie łaski Boskiej, tem

więc goręcej polecali go Sercu Jezusowemu. Była to Niedziela. O. Antoni miał naukę do chorych na słowa z listu Pawła świętego. „Okazała się łaska Boga naszego Zbawiciela wszystkim ludziom, ucząc nas, iżbyśmy się wyrzekli bezbożności i świeckich pożądlności.“ Mówił o tem, jak wielką nam Pan Jezus łaskę wyświadczył, żeśmy od różnych nauk przewrotności zachowani, że On sam uczynił się nam przewodnikiem, nauczycielem i wzorem świętości i sprawiedliwości; że idąc za Nim drogą, którą nam ukazał, możemy ustrzedz się wszelakich niebezpieczeństw i zasadzek nieprzyjacielskich, a tak możemy dobra one wiekuiste osiągnąć. Na ostatku zrobił porównanie między jasną i szczęśliwą drogą, którą nam Pan Jezus wskazuje, a ciemną i złą drogę światową, która ostatecznie wiedzie do zepsucia dobrych obyczajów, do zrujnowania zdrowia, życia, własnego szczęścia i szczęścia rodziny:

Po nauce O. Antoni zabierał się do kaplicy — aż tu Henryk prosi go do siebie. Zakonnik mniemał z początku, że chory będzie mu może czynił jakie wyrzuty; idzie jednak, pyta, czego sobie życzy. Tymczasem chory odzywa się spokojnie i pokornie: „Mój ojczcie, skorom zaczął, to i skończyć trzeba: wypowiadałem się, więc chciałbym przyjąć Pana Jezusa.“ Kapłan ucieszył się wielce, mówiąc, że to jak najchętniej uczyni. Przygotowawszy go na przyjęcie Komunii, udał się do kaplicy, gdzie zgromadzonym opowiedział radosną nowinę, wzywając zarazem do podziękowania Panu Jezusowi za tę wielką łaskę.

I rzeczywiście cudu było potrzeba, że to serce tak zatwardziałe tak nagle się odmieniło. Henryk odtąd stał się pokornym, cichym, potulnym, nabożnym tak, że go wszyscy pokochali i odwiedzali, ile tylko się dało. I matka odwiedzała go, a widząc taką odmianę, zawołała:

„Już prawie nie poznaję mojego Henryka; niech będzie błogosławione Serce Jezusa!“

Tymczasem kaszel powiększał się coraz bardziej, wzmogła się gorączka i ból głowy. Chory wciąż to jedno tylko powtarzał: „O Panno najświętsza, ratuj mnie! Niech się dzieje wola Boska!“

Krótko przed śmiercią przyjął z największym nabożeństwem Oleje święte. Czując już swój koniec, pytał O. Antoniego, czy jeszcze co więcej nie potrzeba, na co mu tenże odpowiedział, że nie więcej. Ofiaruj tylko — rzekł — jeszcze raz życie swoje jako największą i najmiłą Bogu ofiarę; wzięłeś je od Boga, oddaj je Bogu! Żył jeszcze dwa dni. Dnia trzeciego rano nie opuszczał go już spowiednik — skończył spokojnie, twarz jego wyglądała tak jakoś słodko i miłuchno, że się wszyscy temu dziwili i oraz się budowali.



ROZDZIAŁ III.

Baron Bock.

Gdybyś od urodzenia był głuchym, nie słyszał nic a nic, o tonach muzyki żadnego nie miał wyobrażenia, np. o grze na skrzypcach, i widziałbyś grającego na skrzypcach, tobyś go miał po prostu za waryata; nie rozumiałbyś bowiem, czemu on tak smyczkiem jeździ po strunach, palcami przebiera to wyżej, to niżej, i pewniebyś sobie pomyślał, że ten grajek bawi się jak małe dziecko głupiuchne. Tymczasem grajek gra prześlicznie, że ludzie słuchają z wielkim zachwytem, albowiem oni słyszą te cudne tony. Owóż, gdybyś tak sobie myślał lub mówił, myślałbyś i mówiłbyś weale niedorzecznie.

Zupełnie tak samo przewrotnie sądzą niektórzy o tem, co się dzieje. Na życie swoje i na wypadki w świecie zapatrują się tak, jakby to wszystko działo się ślepym jakimś trafem. Wydarzy się nieszczęście, to mówią: Ot, przypadek; wydarzy się coś pomyślnego, to znowu — przypadek, i tak ze wszystkim.

Że we wszystkim jest myśl jakaś, plan niewidzialnego, ale wszechmocnego i wszystkowiedzącego Boga; że to Bóg tak ułożył i urządził mądrze i harmonijnie, w to niejeden wierzyć nie chce jedynie dlatego, że tego pojąć nie zdoła. Temu Bóg nie winien, jeno ludzie, którzy mają uszy ku słuchaniu, a nie słyszą nic z onej cudnej pieśni Bożej, słyszą chyba jak chory szum tylko jakiś i dzwonięcie jakieś w chorym swym mózgu. Kto wierzy w Boga Ojca, wszechmogącego Stwórcę Nieba i ziemi; kto wierzy w Jezusa Chrystusa, jednorodzonego Syna Jego, kto na własne życie swoje i na życie innych pilne

daje baczenie, ten już tu na ziemi, chociaż nie wszystko, ale niejedno zrozumie z onych słodkich melodyi, któremi Bóg w Trójcy jedyny, Sobie na chwałę, ludziom na pociechę ono *Gloria in excelsis* — Chwała na wysokościach! wygrywa.

Historia, którą opowiem, potwierdzi to jak najoczywiściej, że niepodobno w tem nie widzieć palca Bożego.

* * *

Nie pomnę już dobrze, było to zimą, czy latem, rano, czy w południe, czy wieczór, ale na pewno było to w roku 1837, — z jakiegoś miasta w Azji przyplłynął do Konstantynopola okręt kupiecki. Na okręcie, prócz sternika i majtków, rzecz dziwna, nikt się więcej nie znajdował, tylko pan jeden świecki, i jeden duchowny.

Tym dwom podróżnym musimy się z blizka przypatrzeć.

Pan świecki co do stanu swego był baronem niemieckim, wysłużonym wojskowym, konsulem czyli posłem kilku dworów. Co do religii zaś — ha, nie wiem już i samże baron nie wiedział, do jakiej przyznaje się religii. Z urodzenia był protestantem, ale za młodu wychowany do świata, jakby nigdy nie miał unierać, nigdy przejść do krainy, gdzie czeka zapłata lub kara. O czem przedewszystkiem pamiętał, to, jakby się najwygodniej urządzić, używać świata, chodzić w chwale i zaszczytach. Czy jest Bóg, o to nie pytał ani siebie, ani nikogo, a jeszcze mniej, czy się życie jego Bogu podoba. Zresztą był to mąż, który posiadał dużo wiadomości i piękne maniery światowe.

Duchowny był to Francuz, Łazarzysta z zakonu św. Wincentego a Paulo, nazwiskiem Fournier, kapłan uczony, pobożny i wykwintnego wychowania — wracał z Mi-

syi na Wschodzie. Obaj mieli swoje interesa w stolicy Tureckiej, i tak oto całkiem sobie nieznani zetknęli się na okręcie. Baron lubił gawędzić, ale kapitan okrętu był to człowiek zupełnie nieokrzesany; zresztą nie było nikogo więcej, prócz zakonnika. Z zakonnikiem baron Bock nie miał ochoty zawiązywać rozmowy, mając do duchownych uprzedzenie, że to ludzie bez wychowania i bez nauki. W życiu swoim całym ani raz jeszcze nie mówił z księdzem katolickim; nudził się więc na okręcie ogromnie.

Pierwszego dnia żaden z nich ani słówkiem jednym nie przemówił. Nazajutrz morze poczęło się burzyć, zakonnik wziął Brewiarz do ręki i począł odmawiać swoje modlitwy. Baronowi zdawało się, że ksiądz modli się ze strachu przed burzą, więc litując się nad nim, chcąc go uspokoić, odzywa się, że nie ma się czego lękać, nie ma najmniejszego niebezpieczeństwa. — „Ależ ja się nie boję“ — odpowie Łazarzysta. — „A przecież Dobrodziej zacząłeś się modlić.“ — Uśmiechnie się nieco zakonnik i rzecze: „Odprawiam moje codzienne przepisane pacierz.“ W ten sposób nawiązała się rozmowa: rozprawiają o tem, o owem, ku niemałemu swemu zdziwieniu baron spostrzega, że ten duchowny wcale rozsądnie gada, nawet czuć w nim niemało nauki i doświadczenia. Zawiązała się tedy między nimi dobra zażyłość, jakby byli najlepszymi starymi przyjaciółmi. Wysiadając na ląd, na pożegnaniu odezwie się zakonnik: „Jeżeli szanowny pan dłużej się w mieście zatrzymasz, uczyni mi — proszę — ten zaszczyt, odwiedź nas w naszym klasztorze świętego Benedykta na przedmieściu Galata.“ Baronowi to zaproszenie nie było na rękę; co on, ateusz, człowiek światowy ma do roboty w katolickim klasztorze? Nie chcąc atoli być niegrzecznym, nie odmówił wprost, lecz rzekł: „Do-

brodziejaszku kochany, jam sobie protestant, a mówiąc ściślej, jeszcze mniej, bo ja w nic nie wierzę, wizyta więc moja i moje towarzystwo mogłoby wam być niemiłe, a i bez interesu.“ Zakonnik zapraszał tem jakoś serdeczniej, aż baron nie mogąc się już wymówić, przyjął zaproszenie.

To wszystko to niby coś zwykłego w życiu, a jednak to już pierwszy akt, pierwszy ton w pieśni Bożej. Droga życia barona jeszcze bardzo mglista i ciemna, ale to jechanie razem na jednym okręcie, to jakoby pierwszy świt, zapowiadający dzień, choć jeszcze daleki.

Baron Bock — bo tak się nazywał — od kilku już dni bawił w stolicy, i dawno zapomniał o towarzyszu podróży. Dnia jednego musiał udać się poza miasto do Terapium, położonego po drugiej stronie morza. Puścił się łodzią wraz z jednym panem, który miał służyć za przewodnika i tłumacza, bo on-że sam nie umiał po turecku. Po załatwieniu interesu chciał tegoż wieczora wrócić do miasta. Było to w piątek. Wracając, z łodzi spostrzegł wieś jakąś położoną na wzgórzu, we wsi gmach obszerny zbudowany na sposób europejski. Tłumacz wyjaśnia mu, że ta wieś zowie się Bebeck, gmach zaś to klasztor Łazarzystów. Łazarzystów?! Naraz przypomina mu się O. Fournier. Dobywa książeczkę z kieszeni, szuka w niej podanego sobie adresu, czyta, że on zakonnik mieszka nie w Bebeck, lecz na przedmieściu Galata. Mimo to tłumacz namawia go, żeby skręcił do wsi, bo stamtąd prześliczny widok na morze i na stolicę, zakonnicy zaś — ludzie nader gościnni, chętnie przyjmą gościa choć nieznanego. Bock lubił piękne widoki, każe więc łódź ku wsi skierować, wysiada na ląd, idzie prosto do klasztoru i dzwoni u bramy. Zjawia się natychmiast odźwierny, gościa pozdrawia uprzejmie, baron opowiada, że zna oso-

biście jednego z ojców, pyta się o O. Fourniera. Odźwierny oświadcza: „O. Fournier jest w domu, stoi tam oto niedaleko.“

Łatwo pojąć zdziwienie barona, ujrzawszy przed sobą tak niespodzianie O. Fourniera. Witają się serdecznie, zakonnik odezwie się: „Panie baronie, przyznam się, żem już zaczął wątpić, czy będę miał szczęście powitać pana u siebie. Nad spodziewanie moje wyprawiono mnie z klasztoru na to tu przedmieście. Odchodząc, dałem dokładny opis pana, prosząc, by w danym razie tu dotąd wskazali drogę szanownemu panu. Widzę, że się dobrze sprawiono, i cieszę się, że mogę teraz oglądać pana w Bebeck.“

— „Ależ, mój ojciec, odzywa się baron, toć ja wcale nie byłem na przedmieściu Galata w waszym zakładzie, i nikt mi nie powiedział, że tutaj mam szukać ojca Dobrodzieja.“ Dziwi się teraz zakonnik i pyta: „Jak-że tedy pan się tu dostał?“ — „Ot, z czystej ciekawości chciałem sobie obejrzeć wasz zakład, a zgoła nie miałem zamiaru szukać i znaleźć ojca.“ W duchu pomyślał sobie: „Co za traf!“ a zakonnik: „W tem palec Boży.“

Następnie Łazarzysta oprowadzał pana Bocka po całym domu, pokazywał mu piękne widoki, na końcu przedstawił go przełożonemu, O. Leleu. Był to przezacny zakonnik, wykształcony, wykwintny w obejściu, o czem się baron po krótkiej z nim rozmowie przekonał. Podobało mu się tu wszystko, i bardzo był zadowolony z pobytu swego w Bebeck.

Na odejściu rzecze przełożony: „Gdyby dziś nie piątek, nie puścilibyśmy pana, ale przy poście obiad byłby zanadto chudy. Racz nas pan inną razą odwiedzić, oznaczyć dzień, abyśmy mogli się lepiej na przyjęcie pańskie przygotować.“

Baronowi i tak wypadła droga tędy już w przyszłą niedzielę, więc przyjął zaproszenie na niedzielę.

Baron stawił się, znalazł wszystkich zakonników zgromadzonych w sali jadalnej, gdzie go przyjęto z największą uprzejmością. Zrobiło to na nim przyjemne bardzo wrażenie, a najwięcej cieszyło go to, że w czasie obiadu nikt ani jeden słówkiem nie wspomniał o religii, co byłoby mu wstrętnem.

Po obiedzie przełożony wybrał się z nim sam na sam na krótką przechadzkę do ogrodu. Nieznacznie w czasie rozmowy potrącono o sprawy religii. — „Panie baronie — przemówił przełożony — pan jesteś protestantem?“ — „Tak jest — odpowie baron — z urodzenia jestem protestantem; ale powiedziawszy tak prawdę, w gruncie rzeczy niczem nie jestem, bo w nic nie wierzę.“ — „Ha — rzecze przełożony — jeżeli tak, to żal mi pana. Przecież najprostszy rozum ukazuje, że jest Bóg, a więc trzeba się z tem rachować. Niedowiarstwo nie da się żadną miarą pogodzić z istotą obdarzoną rozumem. Zresztą bez wiary pan nie możesz się czuć szczęśliwym.“

To ostatnie słowo było śmiałem dotknięciem rany wewnętrznej: pan Bock nie czuł się rzeczywiście szczęśliwym; serce jego gryzł robak troski i niepokoju, co przypisywał złości ludzkiej, w części własnym błędom i nieprzewidzianym przypadkom. Ani mu przez myśl nie przeszło szukać w religii lekarstwa: on szukał zabaw, rozrywki, choć i to nie przyniosło ulgi. To wszystko stało mu teraz żywuteńko przed oczyma duszy, gdy O. Leleu wyrzekł: „Bez wiary pan nie możesz być szczęśliwym.“ Było mu tak, jak gdy kropla wody padnie na rozpalone żelazo — syczy i pryska — a czy się też w parę obróci?

Obaj zamilkli na chwilę. Zakonnik przerywając milczenie, rzecze: „Gdybyś pan wierzył w zbawienie lub potępienie wiekuiste, tobyś zapewne żył podług tej wiary?“ — „Niezawodnie — rzecze baron — użyłbym wszystkich środków celem zapewnienia sobie zbawienia. Ależ to to jest, w co ja wierzyć nie mogę.“ — Na tem urwała się rozmowa o religii, i przeszła na rzeczy obojętne.

Przy pożegnaniu O. Leleu prosi Bocka, by go znowu kiedy odwiedził, i dał mu kilka książek do czytania w czasie wolniejszym. Baron wrócił do domu, ale już nieco zmieniony; czuł, jakby go coś w duszy kłóło. Tym kolcem była myśl, że O. Leleu wszystek jego niepokój i wszystko rozdarcie wewnętrzne położył na karb jego niedowiarstwa.

Wieczorem baron Bock wrócił do miasta z książkami od zakonnika. W jednej z nich były opisy rozmaitych nawróceń z protestantyzmu; w drugiej wyłożone powody tychże nawróceń. Baron nie miał jakoś wielkiej ochoty zajrzeć do tych książek. Tymczasem zaszło coś takiego, co go skłoniło do czytania.

„Zmęczony wycieczką — pisze baron — położyłem się w łóżko; nie mogłem zasnąć. Po raz pierwszy, odkąd przebywam w Konstantynopolu, w pokoju, który zawsze zajmowałem, poczęło mi dokuczać rozmaite robactwo. Wołam lokaja, żeby zapalił świecę; kładę się na kanapie, biorę książki ze stołu, przerzucam kartki, by przy najbliższym widzeniu się z zakonnikiem dać mu dowód, że czytałem. Zacząłem od tego, co mi się najbardziej widziało być ciekawem, czytałem nawrócenie się ziomka mojego, hr. Stolberga, i kilku innych. Większa część tych ludzi żyła jak ja, w świecie, i niedawno dopiero wrócili na łono Kościoła, gdzie znaleźli pokój i uszczęśliwienie, którego dotychczas nie znali. Życie jednego z nich było zupełnie



„I wysłuchał prośby moje, i wywiódł mię z dołu nędzy
i z błota łu.“

(Ps. 33, 15).

do mojego podobne — te same niemal okoliczności i stosunki. Czytałem z coraz większym zajęciem, byłem mocno wzruszony, — nie wiedząc, czytałem do samego rana. Jak oni wszyscy, o których walkach co dopiero czytałem, tak i ja miałem życie burzliwe. Nie troszcząc się o przyszłość, oddany zupełnie marzeniom chwili obecnej, już dawno straciłem spokój, napróżno próbując zahaczyć o coś, coby mnie uspokoiło. W sercu czułem same wątpliwości. Zasady i przekonania poszły z dymem, rozwiała się nawet wszystka nadzieja. Z całego mego religijnego wychowania nie pozostało nic więcej, jeno ten marny frazes: „Wierz co chcesz i jak chcesz.“

„Nieszczęsny — tak mówiłem do siebie — wierz przecie co możesz. Już od dawna nie byłem protestantem, i nie mogłem nim być. Nie byłem katolikiem, nie byłem ateuszem, a jednak począłem pojmować, że nie mogę na zawsze pozostać igraszką jakiegoś „może;“ czułem, że zadanie człowieka potrzebuje jakiegoś celu, że człowiek potrzebuje wiary, a osobliwie nadziei, któraby wzrok jego ku przyszłości zwracała, gdy go terażniejszość zawiedzie. Tej nadziei ja nie miałem. Usuwał się grunt przede mną, na którymby można budować, ani jeden promień światła nie rozświecał ciemności. Trzeba samemu przejść to, chcąc pojąć wszystkie takiego położenia okropności.

„W tej chwili, gdy w przyszłości, terażniejszości i przeszłości widząc same tylko boleści, zgryzot sumienia i ścisnienia serca przedmioty, stałem się łupem najczarniejszego zwątpienia, dusza moja zwraca się naraz do Boga. Po raz pierwszy od wieku młodości klękam, zanoszę modły, z głębokości duszy mojej wołam: „O Boże, jeżeli jest dla mnie ratunek, Ty mnie ratuj! Jeżeli jest religia jaka, która mi może pokój i szczęście przywrócić,

daj mi znak, po którymbyś ją poznał, bom gotów przyjąć ją za jakąbądź cenę.“

Krótką to modlitewką, ale w niej całe serce zawarte. Życie tego pana było pótąd cierniste, ale w tym upale cierpień i smutku zakwitła różyczka modlitwy. On prosi o znak, o cud: Bóg mu ukaże prawą drogę: czy na nią wstąpi?

Gdy w lecie całemi tygodniami ani jedna deszczu kropelka nie spadnie, schnie trawa na łące, pali się zboże na pniu: — przyjdzie świeży deszczyk, kłos się przy kłosie podnosi, trawka przy trawce jakoby się z ciężkiego snu budziły, i wnet się na nowo zieleni. Takim deszczykiem jak dla spiekłej ziemi była modlitwa dla duszy i serca barona.

Wstawszy, uczuł w sobie dziwny spokój, jakiego jeszcze nigdy nie był zaznał: to pierwszy owoc modlitwy.

Nie wiem, czego Bock szukał, ale poszedł prosto do biurka, wyciągnął szufladę — wtem wzrok jego pada na coś takiego, na widok czego zdumiał się, niemal przeraził: ujrzał z n a k Boga, o który co dopiero był prosił. Co to było?

Było to w roku 1825; w tym roku książę Ferdynand z Anhalt-Köthen i żona jego, córka króla pruskiego, Fryderyka Wilhelma II, z protestantyzmu przeszli na łono katolickiego Kościoła, a w kilka miesięcy przedtem jeden z ich najpierwszych urzędników, pan Haza-Radlitz. Pan ten w roku 1830 napisał był do jednego duchownego w Wiedniu list w francuskim języku, w którym opisuje szczegółowo nawrócenie się księżnej. List ten dostał się w ręce wysoko postawionej pani, a ta znowu prosiła naszego barona Bocka, by go przetłumaczył na język niemiecki. Przyrzekł jej to z grzeczności, list wziął, przeczytał, wiele o nim z innymi panami rozprawiał, ostate-

cznie sztydził z tego nawrócenia. List przetłumaczył na niemieckie, przepisał na czysto i oddał onej pani, papier zaś z pierwszą próbą tłumaczenia rzucił między inne swoje papiery, i zapomniał o wszystkim. Było to w roku 1830.

I oto po siedmiu latach przypadkiem otwiera szufladkę, spostrzega swe pismo z imieniem i nazwiskiem księżnej Köthen. Ten papier towarzyszył mu wszędzie we wszystkich podróżach przez całe siedm lat, i nigdy mu jakoś nie wpadł w oko, on się ani nie domyślał, że jeszcze istnieje, tem mniej domyślał się, że go z sobą wozi. To znalezienie papieru byłoby go w każdym innym razie zdziwiło, teraz była to łaska Boska na tę właśnie chwilę zachowana.

Bock tak dalej opowiada:

„List on począłem czytać z nowa, i nabrałem przekonania, że nawrócenie się duszy to coś tajemniczego; że człowiek przy spóldziałaniu łaski czuje się jakby mimowoli zmienionym, od wyższej potęgi pokonany pada na kolana, by się poddać prawdzie, która mu zajaśniała.

„Tegom doznał właśnie teraz. Ażaliż łaska i mnie przemieniła mimo mej wiedzy i mimo oporu mej woli? Przed kilku godzinami nie wierzyłem w nic; wszystkie religie były mi obojętne, a teraz? — teraz nie byłem jeszcze katolikiem, ale czułem, że nim będę.“

Teraz przenieśmy się do Rzymu.

Było to w roku 1849, gdy ulicami miasta posuwała się jakaś dziwna procesya. Widziałeś mnóstwo ludzi, duchownych, świeckich, ubogich i bogatych, wysokich urzędników — w pośrodku szedł zastęp zakonników w czerni z wielkim, czerwonym krzyżem na piersiach. Byli to zakonnicy św. Kamilla z Lellis. Zadaniem tych zakonników jest po szpitalach, więzieniach i domach prywatnych odwiedzać chorych, pielęgnować, a przedewszystkiem przy-

gotowywać na śmierć chrześcijańską. Czterech zakonników niesło trumnę, był to orszak pogrzebowy, kondukt. Umarły należał do tego zakonu, ale był w nim dopiero nowicyuszem, czyli braciszkiem, choć już w wieku był mocno podeszły. Przed tem był wielkim panem świeckim. Na dworach książąt w Niemczech i na dworze tureckiego sultana i w Rzymie ważną odgrywał rolę; przyszła śmierć — umarł. A dlaczego to tyle najrozmaitszego ludu odprowadza go na cmentarz? Ten zmarły, to nasz — baron Bock.

Po onej pamiętnej nocy, gdy mu pluskwy nie dawały zasnąć, wziął się do czytania książek opisujących nawrócenia znakomitych protestantów. To czytanie doprowadziło go do pierwszej od dzieciństwa modlitwy, a modlitwa jako znak od Boga stawiała mu przed oczy pismo o nawróceniu się księżnej Anhalt-Köthen; i porwał się natychmiast, pojechał do Łazarzystów w Bebeck, O. Leleu opowiedział wszystko, co mu się od wczora południa przytrafiło. Można sobie łatwo wystawić, z jakim zdziwieniem spoglądał zakonnik na barona; on się bynajmniej nie spodziewał tak rychłego i tak wielkiego błogosławieństwa z czytania książki, którą mu był pożyczył. Na prośby barona uczył go katechizmu od samego początku. Przy dobrej woli takiego ucznia, a jeszcze więcej przy pomocy łaski Boskiej nauka nie trwała długo.

Po niejakiem czasie baron Bock musiał wyjechać, udał się do Rzymu, gdzie publicznie wrócił na łono Kościoła. Wiele miał z tego powodu przykrości, co rzeczą zwykłą w podobnych razach, osobliwie dużo miał do cierpienia ze strony rodziny. W Rzymie pozostał aż do wstąpienia do zakonu, aż do swej śmierci. Był przełożonym Stowarzyszenia św. Wincentego a Paulo, i na tem stanowisku zjednał sobie powszechny w całym mieście sza-

cunek, miłość i zasługi. Cudowne nawrócenie swoje tak opisał:

„Od chwili, gdym począł chodzić na naukę do O. Leleu, zanim się jeszcze błędów wyrzekłem, własnem mem doświadczeniem stwierdziłem, co mnie tyle wzruszało w życiu protestantów, o których nawróceniu się co dopiero czytałem: doznawałem spokoju i wesela, w duszy czułem moc, jakiej dotychczas nie byłem sobie świadom, moc, która mi wpośród najcięższych prób nie dawała upadać. Że ludzie powierzchowni i namiętni w tem wszystkim widzieć będą jedynie traf i złudę, to łatwo teraz pojmuję; ale kto wierzy w rządy Opatrzności Boskiej — a do tego nie potrzeba nawet być katolikiem — ten niewątpliwie dopatry się tego działania w opisie nawrócenia mojego.“

Oczywiście to wszystko nie było przypadkiem, lecz dziełem rozważki, planu i wykonania. Baron Bock nie myślał pewnie o tem, lecz myślał kto inny — a kto?

W Rzymie istnieją po dziś dzień pod-ziemią długie ganki, drogi, ulice, komory, jakby drugie miasto podziemne. Te ganki wykopali chrześcijanie w pierwszych wiekach srogich prześladowań. W tych katakombach chowali swych umarłych, osobliwie Męczenników, i odprawiali tam swe nabożeństwo. Po dziś dzień widać na ścianach kamiennych mnóstwo malowideł z najdawniejszych czasów chrześcijaństwa; najczęściej spotykamy obraz Dobrego Pasterza. W onych czasach, gdy ohydne pogaństwo jak egipskie ciemności ciążyło nad duszami, szerząc wszelkiego rodzaju obrzydliwości, było to dla nawróconych niewysłowioną pociechą, że z tych ciemności zostali wyprowadzeni na światłość, z niewoli grzechu na wolność dzieci Bożych. Oni wiedzieli z własnego doświadczenia, co to jest żyć bez Boga, a co żyć w Bogu, i wiedzieli,

kto ich z nocy na światłość, ze śmierci przywiódł do życia — Jezus Chrystus, Dobry Pasterz. Dlatego więc obraz Dobrego Pasterza był im tyle drogi.

Ten Dobry Pasterz długi, długi czas chodził niewidzialnie za baronem Bockiem, szukał go po wszystkich ścieżkach obłędu, i w miłościwem Swem Sereu tak wszystko rozporządził, aż go do Swej owczarni zaprowadził.



ROZDZIAŁ IV.

Pierwsza Komunia.

Czy z wierzchu, czy z wewnątrz przypatrzysz się cebulce tulipana — będzie to zawsze coś niepozornego. Ogrodnik wykopie cebulkę z ziemi, zachowa ją gdzie w ciemnym sklepie — gdyby nie wiedziano, co to jest, co w tej cebulce cudnego, toby nikt nie dał za nią ani szelązka. Przez zimę caluteńką cebulka leży martwa, jakby bez życia; przyjdzie wiosna, przyjdzie kochane słończeczko, — cebulka ożywia się, pocznie się zielenić, rośnie, kwitnie, wypuszcza prześlizny kwiat, pełen woni, który oko człowiecze zachwyca. To sprawiło ciepło słoneczne, sprawiło powietrze, deszcz, wilgoć ziemi.

Podobnie z duszą. Co słońce i ziemia czynią w tulipanie, to czyni Pan Jezus w duszy: wzbudza zmarłych, daje nowe życie, które w porównaniu do życia przyrodzonego wygląda tak, jak cudny kwiat tulipanu do marnej i martwej cebulki. Życie w Chrystusie — to pokój i wesele serca, męstwo w cierpieniach, cierpliwość, cichość — a co już najslodsze i najlepsze — miłość tego, co najpiękniejsze, miłość Pana Boga. Bez Chrystusa zaś, bez wiary i bez łaski, życie człowiecze, choć może z wierzchu lśni się i błyszczy, to niepokój serca, to zwątpienie i w najmniejszym cierpieniu, ciężki upadek, strachy śmiertelne; to męka strasznych wątpliwości. Takie życie zimne, odrętwiałe, to zima ustawiczna, bo w niem nie ma słońca miłości Bożej.

Przypatrz się życiu ludzi na szerokim świecie, albo zajrzyj choć do jednego domu, w którym ludzie żyją w niezgodzie z Bogiem. Pracują, jedzą, piją, śpiewają,



Panie nie jestem godzien, abys wszedł do przybytku
serca mego...

tańczą, ale w sercach niema pokoju; gniew, złorzeczenie, swary, nienawiść, nierzetelność, krnąbrność, rozpusta, pijaństwo goszczą tam jak dzikie bestye w ciemnych norach, żrą się, szarpią i mordują. Ktoby chciał w takim domu popasać? A znowu znasz może rodzinę, znasz uczciwego chrześcijanina — człek to cichy, dobry, cierpliwy, chętny, prosty bez obłudy, przyjacielski, wierny, pilny, wyrozumiały — istny syn, istne dziecko Boże, jak cudny kwiat wonny.

Ale nikt nie cieszy się tyle z takiego, co Ten, który mu to życie dał, w świeżości tę piękność ustroił — Jezus Chrystus. Kto wesołego temperamentu, na wszystko patrzy wesoło. Pan Jezus wiekuiście i bosko wesół, pogodny, szczęśliwy, więc tak bardzo rad widzieć ludzi pogodnymi, szczęśliwymi, dobrymi i świętymi, jak Onże sam, a więc takby też rad każdziuteńkiej duszy do tego dopomódz. Ale do tego potrzeba, by człowiek pożywał chleba żywota, bo On sam powiedział: „Jeżeli nie będziecie jedli ciała Syna człowieczego, nie będziecie mieli żywota w sobie.“ Kto tedy ma dość wiary, ale z własnej winy stroni od Stołu Pańskiego, ten umarły na duszy. „Kto pożywa ciało Mego, żyć będzie na wieki.“

Pan Jezus nie chce dopuścić, aby ludzie gardzący Jego wieczerzą umierali z głodu, czyni więc rozmaite starania, by przychodzili do tej uczty niebieskiej, czego dowodem pan jeden w Paryżu, który tak o sobie opowiada:

*

*

*

„Wychowanie moje pod względem religijnym było wcale niedobre, rósłem w zupełnej niewiadomości religijnych mych obowiązków.“

„Ożeniłem się; z woli Bożej dostałem żonę poczciwą

i szlachetną, chociaż ja w żonie szukałem jedynie piękności, wykształcenia i majątku. I żona moja miała nie lepsze od mojego wychowanie religijne, ale była to dusza głęboko religijna, a ta religijność rosła, gdy nam Bóg dał potomstwo. Gdyby żona moja była taką, jak ja, pewniebyśmy nigdy nie byli pomyśleli o ochrzczeniu dzieci. Dzieci chowały się pięknie; starsze przystąpiły do pierwszej Komunii św. bez najmniejszego z mojej strony udziału, gdyż wychowanie oddałem całkiem w ręce żony.“

„Nadszedł dzień pierwszej Komunii dla najmłodszego chłopczyka. Było to dziecko nieco dzikie, bez wybitnych dobrych przymiotów, lecz kochałem go nie mniej od innych, choć obchodziłem się z nim trochę surowiej. Matka prosiła nieraz: Miej nieco cierpliwości, chłopiec się zmieni, gdy przyjdzie czas pierwszej Komunii, w co ja nie bardzo wierzyłem.

„Chłopiec począł uczyć się na naukę, i widziałem niejaką zmianę — dusza rozwijała się, był cichszym, więcej ułożonym, posłusznym. Dziecko, które przedtem w sercu mojem ostatnie zajmowało miejsce, zdobyło sobie miejsce pierwsze.“

„Przysłuchiwałem się, gdy się uczył katechizmu; słysząc prawdy wiary, zadrzałem na wspomnienie dotychczasowego życia mojego. Nie uszło też mojej uwagi, że żona modliła się za mnie coraz żarliwiej.“

„Tak nadszedł nieznacznie tydzień pierwszej Komunii. Nie było to przykre jakieś uczucie, lecz uczucie jakieś upokarzające, po prostu, czułem respekt przed dzieckiem.“

„Rano po Mszy świętej przychodzi do mnie synek i mówi: „Tatko, w dniu pierwszej Komunii nie śmiałybym przystąpić do ołtarza, nie przeprosiwszy wpierw tatki za wszystkie uchybienia i za wszystkie zmartwienia, które ci

sprawilem, i bez otrzymania ojcowskiego błogosławieństwa.“ — „Dziecko moje — rzekłem — ojciec chętnie przebacza dziecku, choć nie zawsze było dobre; ale miło mi powiedzieć ci, że w tej chwili niema nic takiego, o czym się miał gniewać, co bym ci miał do przebaczenia. Bądź i nadal pilny, kochaj Boga, bądź wiernym w spełnianiu twych obowiązków, a wtedy ja i matka twoja będziemy się czuć szczęśliwymi.“ — „Ojezulku — odzywa się synek — Pan Jezus, który cię tak bardzo kocha, dopomoże mi, iżbym kochanym rodzicom moim zawsze sprawiał radość. Niech się też tatka i za mnie pomodli.“ — „Ja się, dziecie moje, będę modlił za ciebie.“ — Chłopczyk spoglądał na mnie ze łzą w oku i rzucił mi się na szyję. Przycisnąłem go do piersi, a on mówi: „Tatko!“ — „Co chcesz, kochaneczku?“ — „Tatko, jabym cię chciał o coś poprosić.“ Przeczuwając, o co mnie chce prosić, a bojąc się, żebym mu w tej uroczystej chwili nie musiał odmówić, rzekłem: „Idź już, moje dziecko, bo mam pilną robotę. Dziś wieczór, albo jutro rano możesz mi powiedzieć, czego sobie życzysz. Jeżeli mama uzna to za dobre, to i ja to uczynię.“

Te słowa moje zmięszwały chłopca, nie śmiał już wypowiedzieć swego życzenia, jeszcze raz mnie uściskał i odszedł smutny do swego pokoiku. Żal mi się jednak zrobiło, poszedłem niedługo, żeby go uspokoić i pocieszyć. Drzwi pokoiku były otwarte — patrzę, a tu synek mój klęczy przed obrazem Matki Boskiej i modli się gorąco. Cofnąłem się zaraz, wróciłem do siebie, usiadłem, głowę oparłem na dłoni i — zapłakałem. Po chwili podnoszę oczy — oto synek mój stoi przede mną. — „Tatko — odzywa się — nie powinienes mi odmówić, o co cię będę prosić, mama to pochwaliła. Proszę cię, byś w dniu pierwszej mej Komunii razem ze mną przystąpił do Stołu Pań-



„Ale gdy sprawujesz ucztę, wzwóć ubogich, ułomnych,
chromych i ślepych.”

(Łuk. 14, 13).

skiego.“ I przymilając się, dodał: „Wszak mi tatka nie odmówi?“

„Nie mogłem już dłużej opierać się Bogu. Mając lzy w oczach, przycisnąłem dziecko do serca i rzekłem: „Uczynię to, mój synku. Jeśli chcesz, dziś jeszcze możesz mię zaprowadzić do spowiednika i powiedzieć mu: „Oto przyprowadziłem mojego ojca.“

„W kilka dni potem młody mistrz swego ojca przystąpił do pierwszej Komunii; obok niego i matki klęczał po raz pierwszy od wielu lat ojciec uszczęśliwiony nad wyraz, że znalazł znowu utraconą wiarę i pokój serca.

To dziecko apostolski swój urząd może i na kim innym spełnić — a to na tobie, czytelniku. Powiedz mi szczerze: Kiedyś był po raz ostatni u Komunii świętej? Odpowiedz sobie sam, ja jedną tylko uczynię uwagę: Gdy pasterz spostrzeże, że która z owieczek od dłuższego już czasu i na wybornem pastwisku jakoś jeść nie chce, to sobie pomyśli: Ta owieczka chora, i smuci się z tego niemało. A gdy twój Pasterz najwyższy musi patrzeć, jak i ty mimo najlepszego pokarmu, który ci daje, jeść nie chcesz, ach, to znak, żeś chory, ciężko chory. Nie wiem, gdzie ci dolega, ty sam zmacaj puls, roztrząśnij sumienie swoje: może tam coś niestrawnego, więc tę niestrawność trzeba usunąć, byś znowu nabrał apetytu do Ciała Pańskiego. Dusze zdrowe ciągle łakną tego chleba, pożywają go chętnie i z wdzięcznością. On Paryżanin jawnie wyznaje, co mu dolegało — każdą chwilę wolnego czasu obracał na zabawy i przyjemności światowe. Gorąca prośba synka przyprowadziła go do zdrowia. Ciebie sam-że Syn Boży chce uzdrowić, On to sprawił, żeś czytał dziś historję — tak, Syn Boży, Dobry Pasterz cię woła.

ROZDZIAŁ V.

Kapliczka w lesie.

W

krajach katolickich widzieć można nad drogami, po lasach, nad strumykami lub ruczajami krzyże, Bożemęki lub kapliczki. Widok Bożemęki, krzyża, figury budzi dobre myśli, więc to rzecz chwalebna stawiać takie niejako drogoskazy do Nieba. Jeżeli zwyczajne stworzenie Boskie każdemu, co chce słuchać, mówi o Bogu, o ileż więcej takie święte przedmioty. Pan Jezus nieraz posługuje się takimi figurami, gdy chce przemówić do duszy, duszę do Siebie pociągnąć.

Poświadczy to nam następująca historia.

*

*

*

W roku 1848 wielka parafia w stolicy Bawaryi potrzebowała dzielnego pasterza, i znalazła go w osobie X. Ferdynanda Herbsta. Przez piętnaście lat rządził tą parafią bardzo zaszczytnie, i umarł w roku 1863.

W młodości Herbstowi ani przez myśl nie przeszło, żeby miał kiedykolwiek zostać księdzem katolickim. Ojciec jego był fabrykantem w Sachsen-Altenburgu, wraz z żoną swoją był gorliwym Luteraninem, i w tej wierze wychowali też syna swego Ferdynanda. Rodzice byli to ludzie szczerze religijni, i dbali o to, by i syn był w tej wierze silnie ugruntowany.

Ferdynand znał prawie całą Biblię na pamięć, wierzył mocno we wszystko, co czytał, serdecznie miłował Boga i Pana Jezusa. W duszy jego był głęboko wryty obraz Boskiego przyjaciela dzieciak i Dobrego Pasterza — i ten obraz nie zatarł się nigdy, co było dlań wielkiem szczęściem. Niebawem przekonamy się, jak ważna to sprawa

wa, by rodzice w sercach dzieciak swoich zaraz od samego początku malowali dokładny obraz Pana Jezusa; obraz taki to wielki skarb na całe życie.

Gdy chłopczyk dorastał, rodzice posłali go do szkół, później na uniwersytet do Lipska, do Jeny, do Erlangen, wreszcie do Monachium. To, co młody student słyszał w tych szkołach, doprowadziło go do zupełnej niemal utraty wiary w Boga, i w Jezusa Chrystusa; od tego nieszczęścia zachował go obraz Jezusa, wryty w sercu za młodu. Dopóki nie utracił wiary, czuł się szczęśliwym; odkąd niedowiarstwo serce jego toczyć poczęło, czuł się jakoby rozdartym w sobie na dwie części. Pokoju szukał w świeckiej mądrości, ale było to tyle, co lać wodę na twarde kamień — na kamieniu nie urośnie, a takim kamieniem było jego serce. Dopóki serce nie zmięknie, spulchnieje, nie się w niem nie zazieleni. Nasz Herbst szukał jednak pokoju z sobą, tego pokoju szukał znowu w Objawieniu Bożem, zaczął się sposobić na Luterskiego pastora. Ale będąc już dojrzałym w leciech i w mądrości świeckiej, w religii Luterskiej widział jeno same ułomki, nie mógł dostrzedz całej religii Chrystusowej, nie widział kapłanów, bo w Luteranizmie niema Sakramentu kapłaństwa. Od tej chwili, gdy ten brak przedstawił mu się wyraźnie, nie czuł się już bezpiecznym w swojej wierze, nie zaznał więcej pokoju.

W Monachium miał dużo sposobności do poznania nauki katolickiej, ale że głowa jego była nabita dziwnymi przesadami, więc też dziwacznie i potwornie przedstawiała mu się niejedno w religii katolickiej.

Razu jednego wstąpił do kościoła katolickiego. Ołtarz bogato przystrojony, kapłan w pięknym ornacie, ministranci, lud rozklęczony, obrazy Świętych, konfesyonały, — to wszystko tak mu się widziało dziwaczne, że

się poprostu litował nad ciemnotą katolicką. Herbst widział nabożeństwo katolickie, ale go wcale nie rozumiał, i to go śmieszyło. Jednakże i ten pierwszy krok nie pozostał bez korzyści, toż przecie nie kto inszy, jeno Dobry Pasterz zaprowadził go do kościoła. Odtąd Herbst zaczęła palić ciekawość, co to jest ta Msza katolicka, co znaczy ich nabożeństwo. Rozczytuje się więc w księgach katolickich, bywa częściej w kościele i przypatruje się pilnie służbie Bożej, jaką katolicy odprawiają. Duch modlitwy, który na uniwersytetach utracił, wraca — Herbst poczyna oplakiwać grzechy swoje, w żalu i miłości pragnie wrócić do Boga. Przypatrzwszy się dokładnie całemu układowi Mszy świętej, poznał, że to arcydzieło, poznał, że Msza święta to nic innego, jeno przedstawienie całego dzieła odkupienia Chrystusowego, reprezentacya prawdziwa, rzeczywista, albowiem we Mszy świętej ten-że Chrystus modli się, ofiaruje, uwielbia majestat Boski, zbawia, odkupuje, który to wszystko czynił niegdyś w widomej Swej postaci na ziemi. To rozważanie zaprowadziło go również do Komunii świętej — za przykładem katolików onby tak rad przyjął prawdziwe Ciało Pańskie. Niestety! nie mógł tego wykonać — cierpiał głód, bo u siebie miał „wieczerzę“, ale że tam niema kapłana, więc niema i żywego Chrystusa. Trudno na razie było mu pomyśleć o prawdziwości katolickiego Kościoła. Z drugiej strony wstrzymywał go wzgląd na ludzi i na krewieństwo. Nie przyszła też jeszcze godzina łaski.

Dla Herbstu Duch św. przyszedł w jednej kaplicy w lesie. Herbst chcąc się w tej walce z sobą samym nieco rozerwać, zrobił wycieczkę w góry Bawarskie. Co mu się tam przytrafiło, opisał to jednemu z śwych przyjaciół.

Dnia jednego wdrapywał się na stok gór, gdyż po drugiej stronie nad brzegiem jeziora zamierzał kilka dni

przepędzić. Puka do chaty jakiegoś górala, by się wiedzieć o najbliższej i najwygodniejszej ścieżce: wychodzi z chaty stara jakaś poczciwa babinka, daje najdokładniejsze wskazówki, opisuje leśną kapliczkę, do której gdy zajdzie, to już potem nie zbłądzi. Herbst podziękował za dobrą radę i ruszył w dalszy pochód. Zaledwie kilka set kroków uszedł, słyszy za sobą wołanie, — obraca się, a to ona babinka pędzi co sił. — „Myślałem — pisze — że pewnie chce mi jeszcze dokładniej opisać dalszą drogę; owóż nie, — stanie przede mną i rzecze: „A jak pan przyjdiesz do kapliczki, to odmów jedno Ojeze nasz, w kapliczce jest okrutnie ładny obraz Matki Boskiej.“ Rozrzewniła mnie ta prostota i ta dobra rada, obiecałem, że to uczynię. Po blisko dwugodzinnym pochodzie stanąłem nareszcie na onem świętem miejscu. Wchodzę, klękam, modłę się. Obraz Matki Boskiej był umajony świeżuteńkiem kwieciem, z czego poznałem, że tu krótko przede mną klęczała i modliła się jakaś dusza pobożna.

„Wziąwszy do ręki kwiat jeden, wruszony do głębi zawołałem głośno i uroczyście: „Niech ten kwiatek polny, ofiarowany Błogosławionej Paniencie, będzie mi świadkiem, jako ślubuję, że pragnę wstąpić w uczestnictwo modlitwy z wszystkimi, którzy wielbią Boga w duchu i w prawdzie. Odmówiłem Ojeze nasz i Zdrowaś Maryo.

„Gdym w onej cichej, leśnej kapliczce pozdrowiał Matkę Boską, było mi tak, jak gdyby Pan nadechdził w powiewie wietrzyku, by mnie duchem Swoim napęlić, w sercu zrobiła się wielka cisza. Wyszedszy z kaplicy, puściłem się w głąb lasu, rozkoszując sobie w tej cudownej leśnej ciszy, której słodko przygrywał głos dzwonek trzody bydła, pasącego się opodal; karmiłem się widokiem śniegiem pokrytych wierzchołów skał, sterczących ponad wiecznie zielonemi jodłami.“



... Ona zetrze głowę twoją, a ty czyhać będziesz na pięty Jej.“
(Gen. 3, 15).

Herbst począł się zastanawiać nad swą przeszłością, czuł, że go coś ciągnie do ludzi, którzy wszędzie, po dolinach i po wyżynach, mają święte swe miejsca, których każdego czasu otwarte kościoły; do chrześcijan, których kapłani w poświęconych swych rękach piastują tajemnicę, która należyście użyta wszędzie koi bóle i goi rany; do Kościoła, który rzeczywiście jest środowiskiem w niezmiernym przestrzeni, w którym bezustannie płynie potok tradycyi i cała przeszłość chrześcijaństwa żywą przedstawia obecność. I było mu tak, jakby się serce rozszerzało, wspomniał o onej babince, która jakby z natchnienia Ducha świętego w sposób taki jakiś niezwykajny wskazała mu kapliczkę w lesie, i upomniała, żeby jeno się w niej pomodlił. Gdzie jeno na wzgórzu obaczył kościół lub kaplicę, mówił sam do siebie: Idź, może tam obaczysz śliczną Matuchnę Boską.

„Widzisz, kochany przyjacielu — tak opowiada dalej — nic nie nadało, żem się oderwał od książek, które mnie wprowadziły do ogrodu katolickiej teologii. Bóg katolików jest prawdziwie Bogiem działającym, tak działającym, że się prawie nie podobna opierać. Znajdziesz Go wszędzie: w kościele, w domu, w książkach, na drodze, a kto Go we własnem swem sercu znalazł, już Go opuścić nie może. Po części doznałem już sam na sobie, jak pięknie powiedział Hugo od św. Wiktora w swych księgach: „Pytasz się, gdzie mieszkanie Najwyższego, gdzie Go znaleźć w Jego własnym domu? Otóż domem Bożym jest dusza wierząca. W świecie jest jako król w Swem królestwie; w Kościele jako gospodarz wpośród Swjej rodziny; w duszy jako Oblubieniec w komorze Swojej. Wszyscy jesteśmy w domu Jego przez stworzenie, bo nam dał życie; jesteśmy w domu Jego przez wiarę, do której nas powołał; jesteśmy w domu Jego przez mi-

łość, którą nas uświęcił. Jeżeliś w domu Bożym jeno przez stworzenie, to i kusiciel jest z tobą; jeżeliś jest w domu Bożym jeno przez wiarę, toż i plewa znajdzie się między pszenicą na bojowicy. Ale jeżeliś jest w domu Bożym przez miłość, tedyś szczęśliwy, bo wtenczas nie tylko jesteś w domu Bożym, ale ty sam zacząłeś być domem Bożym, ażeby On, który cię stworzył, mieszkał z tobą i w tobie. I to jest mieszkanie zbawienia, to są namioty sprawiedliwych, w których nigdy nie cichnie głos wesela i poeciechy. A gdy się w nas otworzy ta gospoda, tedy wstąpimy do niej i będziemy tam mieszkać. I znajdziem pokój i odpoczynek, gdzie sobie upodobał zamieszkać Ten, którego przybytek w pokoju jest zgotowany. A jeżeli nie obrał Sobie jeszcze w nas mieszkania, tedy zgotujmy Mu je, gdy bowiem to uczynimy, przyjdzie do nas, gdyż na to nas stworzył, aby Pan nasz, Jezus Chrystus, mógł w nas przebywać.“

Herbst w duszy był już zupełnie katolikiem; mimo to nie mógł się jakoś po swym powrocie do Monachium na ostatni krok stanowczy odważyć.

Przyszła w pomoc jeszcze dzielniejsza łaska Boska.

„Idąc jednego wieczora — pisze — ulicami stolicy z uczuciem ekskomunikowanego, mimowiednie przyszedłem do kościoła Panny Maryi. W kościele jaśniało światło — wchodzę. Na chórze — do dziś dnia nie wiem, jak o tej porze mogła się tam znajdować muzyka — słychać śpiew: *Kyrie elejson*; tu i owdzie przy ołtarzach klęczało kilka osób, ukląknęłam i ja przed jednym ołtarzem, ze łzami w oczach wołałam do Boga o zmiłowanie i o pokój dla mej skolataney duszy. Naraz rozjaśniło mi się w sposób niewytłomaczony, że dla mnie jedynie w Kościele katolickim ratunek, żem powinien uczynić publiczne wyznanie tego, co się już w duszy dokonało. Ołtarz, przy którym klę-

czalem, był, jak to później zauważyłem, poświęcony św. Benonowi, którego Relikwie tam spoczywają. Kilka dni jeszcze trwałem na modlitwie i rozmyślaniu; następnie poprosilem o przyjęcie mnie na łono Kościoła.“

W dniu drugiego Grudnia Herbst znalazł wreszcie pokój niebiański w Sercu Dobrego Pasterza. Po pilnem przygotowaniu się w 34 roku życia odprawił po raz pierwszy spowiedź. Wróciwszy po spowiedzi do domu, znalazł swój pokój przerobiony na kapliczkę, przystrojoną obrazami Świętych, oświeconą światłem jarzącem: to była sprawa przyjaciela, dobrego katolika. Wzruszony głęboko począł się modlić i aż do północy klęczał przed obrazem Pana Jezusa i Najświętszej Paniienki.

„Tak spokojnym — pisze — nigdy nie byłem w duszy, i gdybym miał tę pewność, że i ci, z którymi pod względem kościelnym rozbrat uczynilem, jednak mię rozumieją, i gdybym mógł ufać, że i oni lepszą częśćkę obiorą, toby mi już nic a nie nie brakło do szczęścia mojego. Niechaj w nas wszystkich spełni się wola Boża i przyjdzie do nas królestwo Boże. Królestwo Boże jest w nas, a jest pokój i wesele w Duchu świętym. Módlmy się jedni za drugich, ażeby miłość, która wszystkie rany goi, jednoczyła nas, choć rozłączonych.“

Nazajutrz złożył publiczne wyznanie wiary katolickiej. Tak przyszła wreszcie godzina, gdy łaknienie jego i pragnienie prawdziwego Ciała Pańskiego po nawróceniu się po raz pierwszy zostało zaspokojone. Niemało miał z powodu swego nawrócenia przykrości ze strony krewieństwa, którzy go nawet wydziedziczyli; ale on czuł się dostatecznie wynagrodzonym, posiadając prawdę katolicką i pokój serca. W dwa lata potem spełniło się i ostatnie jego pragnienie: został kapłanem katolickim.

ROZDZIAŁ VI.

Kupiec z Norwegii.

Jak wiadomo, Pan Jezus uzdrawiał ślepych nie jednokowym sposobem: u jednego rzekł jeno słowo wszechmocne, i ślepy przejrzał; u drugiego poczyna sobie zwolna, każe mu przejrzeć tylko nieco, ślepy zrazu widział ludzi jakby drzewa chodzące; następnie więcej daje światła, i tak coraz dalej a dalej, aż przejrzał zupełnie i dobrze widział.

Takuteńko czyni z ludźmi ślepyimi na duszy, którzy prawdy Boskiego Jego słowa nie widzą: jednych jednem słowem prowadzi do wiary, drugim każe długo szukać, choć ich niewidzialnie co krok prowadzi dalej, aż wreszcie znajdą drogą oną perłę, królestwo Boże, prawdę.

Do takich należał onego czasu niewierny Tomasz, Apostół. Pan Jezus chcąc go jakoby namacalnie przywieść do mocnej wiary w zmartwychwstanie Swoje, wybić z serca i głowy wszelkie wątpliwości, nie ukazał mu się natychmiast, lecz wpierw dał mu o tem wiadomość przez niewiasty i Apostołów; dopiero potem ukazał mu się osobiście, rozmawiał z nim, kazał mu palec włożyć w otwarte Swe rany, dał mu łaskę wiary, mówiąc: Nie bądź już niewierny, ale wierny. I teraz dopiero Tomasz pada do nóg Jezusowych, składa akt wiary krótki, ale przepiękny: Pan mój i Bóg mój!

Jak słońce od pięciu tysięcy lat nie utraciło z swego blasku, tak Serce Jezusowe nie utraciło nie a nie z miłości swojej. Gdzie więc na ziemi znajdzie człowieka dobrej woli, który chce poznać prawdę, lecz jest ślepy na duszy, żyje w niedowiarstwie, lub wierze fałszywej, temu



„Tedy się dotknął oczu ich, mówiąc: Wedle wiary
waszej niechaj się wam stanie.“

(Mat. 9, 29).

ono chce dopomódz, aby przejrzał. Następujące opowiadanie pokaże, jak to troskliwie Pan Jezus usuwa błędy, fałszywe przekonania religijne, jak lekarz, który ostrożnie zdejmuje plasterki z bolącej rany choremu.

* * *

Daleko od nas, tam hen! na północy leży w Norwegii miasto Bergen. Na początku zeszłego stulecia mieszkała tam bogata rodzina nazwiskiem Stub. Kupiec miał syna imieniem Jan Daniel. Byli to twardzi Luteranie, a Jan ślepym na duszy od urodzenia.

Jako pacholę chodził do wiejskiej szkółki; był nie bardzo pilnym, uczył się jednak dobrze, gdyż nie był bez talentu. Uczył się katechizmu Luterskiego, historii biblijnej, nieco historii kościelnej i świeckiej, jeografii, rachunków, rysunków, języka francuskiego i niemieckiego, ot, tak sobie, wszystkiego potrosze. Obok tego dostawał do rąk inne jeszcze książki, a w nich tak się jeno roiło od fałszów i napaści na Kościół katolicki, np., że katolicy Najświętszej Paniencie i Świętym oddają cześć Boską, że Papięże za pieniądze sprzedawali odpuszczenie grzechów, że jawne błędy głosili, że księża katolicy bardzo niemilosiernie obchodzą się z innymi wyznawcami. Nie dziw więc, że młody on synek kupca strasznie niecierpiał co jeno katolicyzmem trąciło, że coraz mocniej utwierdzał się w swych przesądach i błędach, coraz więcej ślepnął na duszy.

Gdy dorósł, ojciec wyprawił go do miasta Genuy we Włoszech, żeby się tam wydoskonalił w kupiectwie. Jan Daniel dostał się do domu konsula Consalvi, który z całą swoją rodziną był dobrym katolikiem. Kapitan okrętu w drodze do Genuy drażnił go raz po raz, że we Włoszech będzie musiał zostać katolikiem, że go zamkną

w klasztorze, co młody Stube odpierał z całą stanowczością, że się tego nie doczeka. Jakby dla większego utwierdzenia się w swych religijnych przekonaniach, dla lepszego uzbrojenia się naprzeciw przebiegłości katolickiej, zaczytywał się tem pilniej w swych książkach luterzańskich.

Młody Norwegczyk, pełen uprzedzeń, a mocno o prawdzie swej religii przekonany, stanął wreszcie szczęśliwie w domu pana Consalviego. Zdawało mu się, że teraz na własne oczy ujrzy, jacy to niedobrzy ci katolicy, i jak to szczerą prawdą wszystko, co w swych książkach wyczytał. Niebawem miał innego nabrać wyobrażenia.

Oto, jak on-że sam opowiada:

„W domu Consalviego rzuciłem się od razu do zajęć handlowych, w czasie wolnym czytałem wiele. Czulem się dobrym Luteraninem, lepszym tutaj, niżeli w domu u rodziców. Co Niedzielę czytywałem sobie Psalmy. Nauczyłem się tyle, ile uważałem za potrzebne do utwierdzenia się w wierze, byłem gotów z kimbądź dysputować, która wiara prawdziwa. Tymczasem ku zdziwieniu mojemu mijaly dni, miesiące, lata, a w domu pana Consalviego nikt ani słówkiem o różnicy wiary nie wspomniał. Dano mi wszystką wolność do spełnienia obowiązków mojej religii, wszyscy bez wyjątku byli dla mnie nader uprzejmi, a jak mi się zdaje, podziwiali mą pilność.

Pan Consalvi znał rozmaite języki, wysoko cenił ludzi pracowitych; żona jego zajmowała się domowem gospodarstwem, była skrzętną, dobroczynną, wspierała ubogich od siebie i w imieniu męża. Byli bezdzietni, więc nie trudno mi przychodziło obcować z nimi, jakbym był ich własnym synem. Dnia jednego pod wieczór zastałem oboje na modlitwie, pomyślałem sobie: Ci ludzie to jacyś nabożnisie, czemu się oni modlą w dni powszednie? Obecnością moją nie dali się wcale zbić z tropu, modlili się

dalej, czułem, że modlili się szczerze, i pomyślałem sobie: „Ha, toć każdy ma swoje przywidzenia, nie bronią mi modlić się po swojemu, więc niech-że i oni modlą się po swojemu.“

Nam katolikom śmieszne poniekąd wydają się te uwagi młodego Norwegetyka co do onego wieczornego nabożeństwa; dla niego nie było to coś zwyczajnem, gdyż jako protestant nigdy nie widział spólnych modłów codziennych, chyba w Niedzielę w kościele, gdzie śpiewano Psalmy i słuchano kazania. On się uważał za bardzo nabożnego i dziękował Panu Bogu, że żyjąc między katolikami mógł sobie raz w tygodniu jedną i drugą modlitwę odczytać w swej książce do nabożeństwa. Ale ta codzienna modlitwa wieczorem, a jeszcze więcej te nabożne twarze zastanawiały go niemało. Nam to widzi się czemsi zupełnie naturalnem; ale w tem była już niewidzialna ręka Jezusowa, który w miłości Serca Swego poczyna już zdzierać łuszczkę z oczu ślepego od urodzenia. Wszelako insze jeszcze serce pracowało spólnie z Sercem Dobrego Pasterza — a kto?

Leczyć chore dziecię rzecz niełatwa już dlatego, że dziecię boi się lekarstwa i instrumentów; więc trzeba to tak urządzić, żeby dziecię tego nie widziało, co z niem poczną. Jednakże i dorosłych wypada nieraz w takiż sposób traktować. Kto tkwi w jakim nałogu lub uprzedzeniu, zazwyczaj nie chce przyjąć żadnego pouczenia i żadnej dobrej rady, boi się, broni się jak dziecię od obcęgów, któremi się chce chory ząb wyrwać. Do takich trzeba się jakoś nieznacznie po cichutku dobierać, by się nie domyślili niczego. Poczciwa pani Consalvi znała ten sekret. Jako dobrą katoliczkę obchodziło to wielce, by młody kupiec, o którego przybyciu do nich słyszała, po-

znał prawdę naszej świętej religii. Ale jak tu sobie poczynać?

Niech-że nam Jan Daniel Stub sam to opowie, co ta zacna pani obmyśliła, by nieznacznie, a jednak skutecznie i zbawiennie nań wpływać.

Pani Consalvi — pisze — dowiedziawszy się, że miał do nich przybyć z Norwegii młodzieniec innej wiary, poszła do kościoła, gorąco prosiła Pana Jezusa, żeby temu młodzieńcowi dał łaskę poznania prawdy i wprowadził go do Swojej owczarni. Miała bratanka, ale nie chciała, bym go drażnił protestancką swą nauką. Prosiła i o to, by Bóg okręt, na którym jechałem, skierował raczej do Ameryki, a nie do Genuy, jeśliby nie raczył mnie nawrócić. Gdybym był wówczas wiedział, że ta pani i w wieczornych swoich modlitwach prosiła Boga o oświecenie moje, byłbym się na dobre na nią pogniewał. Co mi po jej modlitwach? — byłbym sobie powiedział, że ja przecie żyję w prawdziwej religii. Tymczasem minęło lat parę, zanim się o tem wszystkiem dowiedziałem. A czemuż to ona nie wspominała nic a nic o różnicy religijnej? Jak ona, tak i mąż wiedzieli, że wiara jest darem łaski Boskiej, że więc lepiej udać się do Pana Boga z prośbą o tę łaskę i lepiej przyświecać dobrym przykładem, niżeli być natrętnym i wszczynać dysputy religijne. Gdybym się ja był spytał co do religii, byliby mi byli dali niezawodnie delikatną odpowiedź; ale nie pytałem się nigdy, mając to mocne przekonanie, że jako dobry Luteranin muszę się lepiej znać na tem.

Daniel Stub wyuczył się wkrótce języka włoskiego tak dokładnie, że mógł się z każdym rodowitym Włochem doskonale rozmówić i dysputować. Czasu jednego zetknął się z jednym Włochem. Zrazu rozprawiali sobie o rzeczach zupełnie obojętnych, nieznacznie przyszło do mowy

o religii i o Kościele. Nasz Stub zaczyna się popisywać z swoją mądrością i wiedzą, wziętą z książek protestanckich, zaczyna rozprawać o papieżach i o Lutrze, o protestanckiej oświacie a katolickiej ciemnocie, o czystej wierze Luteranńskiej, a zabobonach katolickich, jak go nauczono w młodości. Ani na myśl mu nie przyszło, żeby to wszystko miało być nieprawdą i zmyśleniem, więc był z góry przekonany, że słuchacza swego pogromił do szczytu. Włoch milczał, dopóki Norwegezyk szermował językiem; gdy skończył, poklepał go po ramieniu i rzekł: Kochany mój panie, nie wątpię, że chcesz się gruntownie oświecić w rzeczach, o których mówileś; byłoby więc dobrze, gdybyś nasamprzód prosił Boga o pomoc i oświecenie; potem rozczytywał się w Piśmie świętem, osobliwie w księgach Nowego Testamentu z dobrą i nieuprzedzoną wolą poznania prawdy. Dalej jeszcze, powinienbyś poznać dokładnie życie Lutra, pisma jego, powody tak zwanej reformacyi, wreszcie poznał, jaka była nauka chrześcijańska od samego początku. W ten sposób przekonasz się, że cię od młodości napojono samemi przesadami.

Tego było zanadto dla Luteranina. Z Pisma św. znał tylko niektóre ustępy. O Lutrze w gruncie rzeczy nic więcej nie wiedział, jeno to, co napisano w książkach protestanckich, że był mężem wielkim, świętobliwym, i stał się wielkim dla ludzi dobroczyńcą przez swoją nową ewangelię. Teraz owo musi słyszeć od katolika, żebv poznał dokładnie całe życie Lutra, że ma pilnie czytać Pismo święte, a jego uczono, że katolikom Pisma świętego czytać nie wolno. Czyby książki jego nie podawały prawdy? Bije się z myślami na tę i na tę stronę, i nie wie sam, co o tem myśleć. Zadziwi się jeszcze więcej.

Podobała mu się rada, by czytał Pismo święte. Ale gdzie dostać Biblii we Włoszech? Katolicy — tak sobie

myślał — nie potrzebują Pisma świętego, boć im czytać nie wolno; skąd-że je wziąć?

„Temi myślami — opowiada dalej Stub — mając głowę nabitą, udałem się do biblioteki państwa Consalvich. Rzuciłem okiem na kilka książek w niemieckim języku — co to jest? Bible, same bible w rozmaitych językach, jedna nawet w moim ojczystym Norweskim języku. Oczywiście, wielce się tem ucieszył. Po ochłonięciu z pierwszego wrażenia przyszła rozwaga. Pomyślałem sobie tak: Jak-że to? Katolikom nie wolno, jak mię uczono, czytać Pisma świętego, a tu tyle Biblii w najrozmaitszych językach? Czyby ci państwo czytali Pismo święte, wbrew zakazom swej wiary i wbrew swemu sumieniu? A może oni tajemni protestanci! Nie, to być nie może; widziałem przecie, jak się żegnali, do protestanckiej kaplicy nigdy nie chodzą, — jak-że tę zagadkę rozwiązać?“

Stub pragnął dociec rzeczywistej prawdy. Udaje się więc do onego pana, który mu był radził czytać Pismo święte, chcąc mu przedłożyć kilka pytań dowcipnie ułożonych, by się dowiedzieć, czy katolicy na prawdę czytają Pismo święte. Przysłuchajmy się ich rozmowie.

Protestant. Dziękuję panu za dobrą radę co do czytania Biblii: to Boska księga.

Katolik: Od czego zacząłeś pan czytać, od Starego, czy Nowego Testamentu?

Protestant: Zacząłem czytać Nowy Testament, czytam go uważnie i powoluteńko.

Katolik: Dobrze to, co pan czynisz. Przy pokornej modlitwie i dobrej woli w tych księgach znajdziesz pan prawdziwego ducha chrześcijaństwa. Prawda, że Biblia jest księgą Bożą, napisaną dla pożytku wszystkich ludzi, jest jednym z najważniejszych filarów i pomników prawdy.

Protestant: Chciałbym wiedzieć, dla czego księga, która zawsze powinna stać na świeczniku, pozostała a może jeszcze dotąd pozostaje w ciemnościach?

Katolik — uśmiechając się nieznacznie — rozumiem, co pan chcesz powiedzieć. W ciemnościach utrzymują ludzi tylko przesady i niezajomość prawdy; Biblia nigdy nie była chowana w ciemnościach. Zwiedź publiczną jaką bibliotekę, a znajdziesz tam Biblie, tłumaczenia Biblii, objaśnienia czyli komentarze, poczynawszy od najdawniejszych czasów. Zanim Luter się zjawił z swem hasłem: Biblia! Biblia! nie więcej, jeno Biblia, jużśmy mieli przeszło dwadzieścia tłumaczeń w samym tylko języku niemieckim i Norweskim.

Protestant: Czy to rzeczywista prawda?

Katolik: To prawda najprawdziwsza.

Protestant: Te tłumaczenia były niezawodnie na to, by je czytano?

Katolik: A na to oczywiście, by je lud czytał, w krajach katolickich pisano i wydawano je dla katolików. Niedorzeczności, których się nasłuchałeś o czytaniu Biblii i o zakazie czytania Pisma świętego, powinnyby cię zastanowić; prawda nie potrzebuje głupiej gadaniny i nieprawdy.

Protestant: Zgadzam się na to: ja kocham prawdę, prawda ma się prawdy trzymać. Czy katolikom za naszych czasów nie zabroniono czytać Pisma świętego? Chyba, że dopiero od niedawna cofnięto ten zakaz?

Katolik: — uśmiechając się znowu — Nigdy nie było zabroniono katolikom czytanie Biblii w języku pierwotnym i w aprobowanych tłumaczeniach. Kościół katolicki, jako przezorna i kochająca matka, wskazuje dzieciom swoim, które przekłady Pisma świętego są prawdziwe, a które nie prawdziwe; a że to sprawa ważna, przy-

daje macierzyńskie upomnienie, że tłumaczeń fałszywych strzedz się należy. Biblia nie jest księgą zrozumiałą dla wszystkich, dla tego Kościół chce, żeby zarazem czytano i wykład, objaśnienia od niego potwierdzone.

Nasz Stube opowiada, że gdy to słyszał, było mu tak, jakby mu błyskawica przeleciała po głowie. — „Nie umiałem sobie zdać sprawy, czy się z tego cieszyć, czy smucić. Z jednej strony było mi miło, że rodzina, u której mieszkałem, nie grzeszyła zgoła naprzeciw sumieniu swojemu, czytając Pismo święte; z drugiej atoli gniewało mnie trochę, że tu przybył z przesądem wyniesionym z domu rodzinnego i z książek. Niech mi czytelnik wybaczy tę pychę, która przecie nie jest żadną u człowieka rzadkością; toż każdemu niemilo przyznać się do omyłki. Jeden przesąd usunięty, wiele innych miało z czasem dopiero się rozlecieć. Kto to mógł wszystko przewidzieć? Sam jeno Bóg, który wie wszystko i tyle miłosierny, był mi dobrym przewodnikiem.“

Włoch on, który młodemu Stubowi radził czytać Pismo święte, wspomniał mu zarazem, że dla dobrego zrozumienia będzie zapewne potrzebował jakiego komentaryka, wykładu, i w tym celu dał mu Biblię z objaśnieniami. Stub mówił, że to zbyteczne, że w Piśmie sam-że Duch święty mówi zrozumiale dla każdego. Tymczasem miał się niebawem inaczej przekonać.

„Z czytaniem mojem — opowiada — nie szło jakoś tak, jak sobie życzyłem. Musiałem raz po raz przedstawiać, gdyż nie rozumiałem. Niezrozumiałe były mi np. słowa w ewangelii św. Mateusza: „Błogosławieni u b o d z y w d u c h u, albowiem ich jest królestwo niebieskie.“ Co znaczy: „ubodzy w duchu?“ Czy to tacy o słabem rozeznananiu? Pewnie nie. — Czy tacy, którym brak dobrej woli? Nie, bo to jeszcze gorsze. Pytam się, rozważam,

ostatecznie widzę, żeby najlepiej zajrzeć do jakiego wykładu. Miałem pod ręką taki wykład. Otwieram i czytam: „Ubodzy w duchu są ci, co w duszy pragną być ubogimi dla Chrystusa; którzy nie kochają bogactw światowych, lecz kochają one skarby w niebiesiech; którzy sercem swoim nie przywiązują się do marności ziemskich; którzy w duchu są pokorni i proszą prostotą chrześcijańską, i pamiętają, że każdy dar dobry pochodzi od Boga. Podobna mi się ten wykład — pomyślałem sobie w duszy. Ale co znaczy: Błogosławieni, którzy „łakną i pragną sprawiedliwości?“ Ażali mam łaknąć i pragnąć tego, co posiadam? Luter uczył, że człowiek przez wiarę zostaje usprawiedliwiony, zacem i zbawiony. Ja wierzę, więc jestem usprawiedliwiony, dla czego tedy mam łaknąć sprawiedliwości? Czy są dwa rodzaje sprawiedliwości? Jedna przez wiarę, druga przez pragnienie wiary? Obaczę w komentarzu moim, co tam napisano. Stub znalazł, że nauka Chrystusowa nie zgadza się z tem, co uczy Luter. Im dalej czytał, tem więcej znajdował trudności, poznał niejedno, co mu zupełnie było nowem. Tak np. z protestanckich swych ksiązek nie potrafił sobie utworzyć obrazu prawdziwego chrześcijanina, w czem jest sama istota chrześcijanizmu. Pismo święte czytał teraz, by poznać, co czynić należy, aby zostać takim, jakim chce mieć Pismo święte. O zostaniu katolikiem teraz wcale jeszcze nie myślał; jemu się wciąż zdawało, że żyje w najlepszej wierze, że chyba musi się jeszcze uczyć niemało, by wyrozumieć, kto właściwie, Luteranie, czy katolicy przedstawiają dokładny obraz chrześcijanina według Pisma św.

Stub opowiada dalej:

„W młodości mojej wierzyłem, że katolicy żyją w grubych i śmiesznych błędach czasów średniowiecznych, nie mogą więc wiele posiadać oświecenia, muszą być stra-

sznie zacofani, Reformacyi Lutra wcale nie znają, jak nie znają i pierwotnego chrześcijaństwa. A owo ku niemałemu mojemu zadziwieniu nie tylko jednego i drugiego, ale dużo poznałem katolików, którzy wybornie znali stare i nowsze języki, znali jakby na palcach historyę, znali zasady swej wiary, a jednak byli do swej religii przywiązani całym sercem. Jak-że tu jedno z drugim pogodzić?

„Sądziłem, dalej, że katolicy to lud strasznie zabobonny. Ja sam za młodu byłem zabobonny, dzieci więc katolickie muszą być jeszcze zabobonniejsze. Umyśliłem niektóre wystawić na próbę, pytałem więc niektóre filuternie, czy się nie boją duchów i trupów. Odpowiedziano mi, że chrześcijanin jednego tylko bać się winien, to jest, grzechu; że ludziom wierzącym w Boga nie godzi się być zabobonnymi; że Bóg gniewałby się na nas, gdybyśmy w nieprawdę wierzyli. Ażali nie było to czemsi dziwnem słyszeć takie odpowiedzi w mieście katolickiem z ust nawet dzieci niedojrzałych?“

W książkach swoich Stub wyczytał, że życie katolików pod względem moralności nieosobliwe. W ojczyźnie jego opowiadano mu niestworzone rzeczy o duchownych i o zakonnicach. Chciał się pod tym względem sam naocznie przekonać.

„Z czasem — opowiada Stub — znalazłem sposobność obcowania z krewnymi i znajomymi państwa Consalvich. Przyjmowano mnie wszędzie dobrze, z upodobaniem spoglądano na rumianego Norwegeczyka. Miasto chytrości widziałem skromność, roztropność, pokorę, pobożność, obyczaje czyste, rzetelną miłość bliźniego, tak dalece, że prawie musiałem przyznać, iż katolicy żyją podług wzoru, jaki sobie z czytania Pisma wyrobiłem. I to było coś dla mnie nowego.“

„W domu państwa Consalvich poznałem duchownego, nazwiskiem Buffeti. Był to ich proboszcz, mąż podeszłego wieku, który od czasu do czasu przychodził w odwiedziny i zajmował się głównie udzielaniem wyższej nauki młodemu bratankowi pana Consalviego. Dziwna mi to, że ksiądz katolicki zdolen jest nauczać wyższej nauki — tak sobie myślałem. Odwiedzałem potem raz po raz tego duchownego w jego własnym mieszkaniu. Uważałem, że się pilnie oddawał nauce, jako pasterz prawił prześliczne kazania o enocie chrześcijańskiej, o ufności w Jezusie, o miłości Boga i bliźniego, chorym usługiwał aż do ostatniego momentu z takim poświęceniem, o jakim w ojczyźnie mojej nie miano najmniejszego pojęcia. Był to kapłan prawdziwie zasługujący na najwyższy szacunek. Ciężko pozbyć się raz wpojonych uprzedzeń, ale prawda nade wszystko. — Pytałem się też siebie: A czy też młodzi kapłani zdolni pogodzić się z ciężkim jarzmem bezżeństwa? Mówiłem z nimi o tem, a oni śmiali się z mej naiwności, mówili, że mają o czem innem do myślenia, i brak im po prostu czasu. I to znowu coś nowego dla mnie.

„W czasie, gdym tak oto pytał i śledził, do Genuy przybył jeden Dominikanin, nazwiskiem Jablot, celem miewania kazań wielkopostnych. Mówił silnie, gorąco w duchu Pisma, lud cisnął się do niego, a miewał kazania codziennie. Przyznaję, że słuchałem kazań jego z zajęciem i z przyjemnością, ale dla mnie to było za mało. Chciałem poznać klasztor jego, widzieć, jak on tam żyje sobie zwykłym trybem, jak się obchodzi z gośćmi, z obcymi. Mieszkał w prostej celi, zarzuconej księgami. Widziałem, jak go insi zakonnicy odwiedzali, prości, zawsze uprzejmi. Ten zakonnik należał do zakonu sławnej Inkwizycyi. Zrazu trzymałem się z daleka, lecz wnet przekonałem się, że zgoda nie czyha na moje życie jako heretyka. Powitał

mnie serdecznie jak ojciec własnego syna, pytał się, czy jestem studentem i t. p., pokazał mi całe urządzenie klasztorne, piękną i dość zasobną bibliotekę. Pożegnałem się z nim serdecznie, i ani się nie skrzywił, gdy mu oświadczyłem, że jestem wyznawcą Lutra, nie pytał wcale, czybym nie chciał zostać katolikiem. Z czasem zacząłem go wysoce poważać.“

„Tak tedy przekonałem się, że i między katolikami można znaleźć ludzi szlachetnych, oświeconych i przykładowych. Przestałem wierzyć, co książki moje mówiły, bo widziałem teraz, że to same kłamstwa.“

W listach św. Pawła Stub wyczytał, jak surowo ten Apostół powstaje naprzeciw tym, którzy za jego czasów jedni zwali się Piotrowymi, drudzy Pawłowymi, zamiast zwać się po prostu Chrystusowymi. Nie podobało się więc Stubowi, że protestanci zwali się chrześcijanami Lutrowymi. Ale wstrętniejszą jeszcze była mu nazwa „katolików.“ Skąd to słowo pochodzi? Czy to przymiotnik nadany im od protestantów? Zapytałem się tedy jednego znawcy języka, co ten wyraz katolik znaczy? Wyraz ten — odpowiedział — nie podoba się panu, gdyż widocznie nie znasz języka greckiego. — Greckiego języka? zapytałem — co tu język grecki ma do mówienia z nazwą, która w całym świecie jak upiór niepokoje każdego protestanta. — Wytłomaczył mi tedy, że katolik znaczy tyle, co powszechny, że miasto mówić: „chrześcijanie katolicy“, mówi się krótko — „katolicy.“ Tego nie znalazłem w moich książkach.

„Jednego wieczora miałem z bratankiem państwa Consalvich sprzeczkę w rzeczy dość pospolitej. Uniosłem się nieco zbyt mocno, pewnie go i uraziłem nieco, bo rozgniewany zawołał: „Obaczysz ty heretyku, jak cię Bóg osądzi.“ Wymiarkowałem z tego, że w głowie młodzień-

ca nieosobliwe były myśli co do zbawienia heretyków. Słowa jego wywarły głębsze nad moje spodziewanie wrażenie. Po niejakiem czasie umyśliłem dowiedzieć się od kogo pewnego, co też katolicy sądzą o sprawie zbawienia protestantów. Udałem się więc do onego uczonego i zacnego kapłana Buffeta, który, jak wszyscy inni, dotychczas w obecności mojej ani słówkiem nie wspomniał o różnicy w rzeczy religii. Jak zwykle, tak i teraz spojrzal na mnie okiem ojcowskiem, ale jakoś jeszcze miłosierniej-szem, jakby w podzięce za okazane mu zaufanie. Dał mi tedy taką odpowiedź, która, czułem to dobrze, prosto z serca pochodziła:

„Protestanci — rzekł — którzy wiedzą, że są w wierze rozdzielenia, ale, że jeden tylko jest Kościół Chrystusowy powszechny, dla wszystkich, gdyż jedna tylko jest prawda, jak Bóg sam, tacy powinni się starać najusilniej przekonać się, który Kościół jest powszechny, założony od Chrystusa na wszystkie czasy. Jeżeli w tak ważnej sprawie są obojętni, wierzyć czy nie wierzyć w prawdę objawioną, albo dobrowolnie stoją zdaleka od Kościoła Bożego, w takim razie czeka ich niewątpliwie kara. Tak należy rozumieć ono utarte i znane zdanie, że poza Kościołem niema zbawienia. Ci zaś, którzy żadną miarą nie mogą poznać się na przesądach swego wychowania, aleby je porzucili, gdyby je poznali; ci, którzy prawdziwą wiarę kochają, szukają Boga przy pomocy tej odrobiny wiary, którą posiadają, chętnieby prawdziwą wiarę w całości przyjęli, gdyby mogli; ci, chociaż nie z imienia, ale duszą należą do powszechnego czyli katolickiego Kościoła, i Kościół nie wątpi o ich zbawieniu.

Po tej rozmowie X. Buffeti radził młodemu Stubowi, żeby starał się gruntownie poznać sprawę tak ważną, jaką jest religia, aby przyszedł do poznania prawdzi-

wego, powszechnego, od Chrystusa Pana założonego Kościoła; przede wszystkim, żeby prosił Boga o oświecenie, a na ostatku, żeby zbadał historię Kościoła Chrystusowego i Jego istotę. Stubowi chodziło rzeczywiście o prawdę, więc tej rady usłuchał. Przekonawszy się już sam, jak niedostatecznie i fałszywie był poinformowany co do życia i stanu oświaty katolików, zaczął się lękać, ażali i pod względem nauki katolickiej nie myli się, kto wie, czy ona jest tak nieprawdziwą, jak weń za młodu wmawiano, i jak wierzył dotychczas. Smuciło go to, bo rozumiał jasno, że jeżeli wiara katolicka prawdziwa, tedy jego musi być fałszywą, a więc trzeba ją będzie porzucić, trzeba będzie zostać katolikiem.

W sercu zawrzała sroga walka. Jednakże serdeczna modlitwa, rozczytywanie się w katechizmie, w historii Kościoła zwyciężyło wszystkie stare uprzedzenia i wszystkie trudności. Niedługo potem poznał, że Kościół katolicki jest prawdziwym, powszechnym, od Chrystusa założonym Kościołem. Skutkiem tego miał to sobie za obowiązek sumienia iść za tem poznaniem — kupić perłę prawdziwej wiary za jakąbądź cenę, za wszystkie dobra doczesne.

„Bolało mnie — pisze Stub — że rodzice moi ciężko się strapią z powodu mojego postanowienia, albowiem trudno im zrozumieć tam u siebie, co ja przy łasce Boskiej mogłem badać wszechstronnie. Prosiłem Boga, by ich pocieszył i oświecił. Drogi mój ojciec prosił był pana Consalviego, by mi dobrą swą radą był pomocnym; zresztą nie sprzeciwiał się niczemu, co mnie poniekąd dziwiło. Ojciec mój bywał w krajach katolickich, nie myślał, żeby stąd mogło jakie niebezpieczeństwo wyniknąć, gdyby się zostało katolikiem.“

„Matka moja, ta ukochana matka, wielce strapiona napisała mi dwa listy, i widziałem jej łzy na papierze. Szanowałem te łzy i jeszcze więcej pokochałem matkę. Staralem się uspokoić ją i pocieszyć, wykładając jasno, o ile zdołałem, powody, które mnie do tego ważnego kroku nakłoniły; ale matka nie mogła tego jakoś zrozumieć. Mimo to nie przestała mnie kochać. Dowiedziałem się, że później jeden z sąsiadów próbował troskę jej temi słowy ukoić: „Bądź, matko, spokojna, lepiej, że syn twój został wierzącym katolikiem, niż żeby miał być niedowiar-kiem, lub obojętnym protestantem.“ Niech mu Bóg za to słowo zapłaci!“

„Przy nawróceniu się mojem miałem, Bogu dzięki, czystą i szlachetną intencję iść za głosem łaski i zbawić swą duszę, innego celu ziemskiego nie miałem żadnego na oku. Wiedziałem dobrze, żeby mi było o wiele wygodniej żyć w protestanckiej wierze; ale za wyrzeczenie się doczesnych korzyści znalazłem nagrodę w sumieniu mojem i w łaskach Kościoła: czułem spokój i zadowolenie. Nigdy nie zapomnę onej rozkoszy duszy, której mi Pan Jezus udzielił, gdym po raz pierwszy wyspowiadał się grzechów, rozgrzeszenie otrzymał i Ciało Pańskie przyjął. Pan mój we mnie, a ja w Panu moim. Był to dzień niebiańskiego wesela, a po nim nastaly inne podobne.“

Stub nawrócił się w roku 1830. W dwa lata potem umarł mu ojciec, a on postanowił wstąpić do zakonu Barnabitów i uczyć się teologii. W roku 1837 odprawił swe Prymicje. Po czterech latach wrócił do ojczyzny, z kilku braćmi zakonnymi objął katolicką Misję w mieście Gothenburg, gdzie nowy kościół postawił.

*

*

*

W Piśmie św. znajduje się jedno wielkie słowo, a to słowo takie głębokie, że go nigdy nie podobna zgrun-tować. U proroka Izajasza — rozdział 26 — czytamy: „Wszystkie dzieła nasze Tyś, o Boże, za nas udzielał.“ To sprawdza się najpierw przy wszystkich, i przyrodzonych nawet uczynkach człowieka, np. gdy pracuje na polu, pisze przy stole itd. Gdyby Bóg nie dawał zdrowia, siły, zdolności do tego lub owego przedsięwzięcia; nie dawał słońca, światła, ciepła, pokarmu, napoju, toby człowiek nie potrafił ani ruszyć łopata, piórkiem, igielką; tobyś nie mógł tej oto książki w rękę utrzymać, ani jej czytać. Tak tedy przy wszystkich sprawach naszych jest Bóg, a jak głęboko i potężnie, to poznamy tam w wieczności.

Ono słowo zawiera jeszcze większą, jeśli być może, prawdę co do naszych uczynków nadprzyrodzonych, zbawienie duszy mających na celu. Pod tym względem Pan Jezus powiedział: „Beze Mnie nie uczynić nie możecie.“ Jesteś ochrzczony: z syna klątwy stałeś się więc synem Bożym — w tem pierwszym dziele był Chrystus. Modlisz się: Chrystus jest przy tem. Bije na cie pokusa: bronisz się mężnie, zwyciężysz: Chrystus jest w tem. Idziesz do spowiedzi z sercem skruszonym: Chrystus jest w tem jeszcze przed samem rozgrzeszeniem. Słowem, ani jednej myśli zbawiennej nie poweźmiesz, żeby w tem nie było Chrystusa.

Nawrócenie się — to dzieło największe; ale człowiek nie ma tej mocy, żeby je nawet rozpocząć, a cóż dopiero dokonać: w tem jest Chrystus z wszystką miłością i z wszystkim zmiłowaniem Serca Swojego. Dla tego każdy, co się nawraca, musi mówić z Izajaszem: Wszystkie dzieła mojego nawrócenia się tyś, o słodkie Serce Jezusowe, dokonało!“ Albo z Pawłem św.: „Stworzeniem

Jego jesteśmy, stworzeni w Jezusie Chrystusie na uczynki dobre, abyśmy w nich chodzili.“

Co idzie za tem? To, że do życia miłego Bogu potrzebujemy Chrystusa, jak ciało potrzebuje duszy, aby żyć mogła. Bez duszy ciało nie widzi, nie słyszy, nie mówi, nie czyni, przechodzi w zgniliznę, rozsypuje się w proch. Tak samo bez Chrystusa: jesteś i zostaniesz ślepym, głuchym, niemym, zgnijesz moralnie i zginiesz na wieki.

A co za tem pójdzie?!



ROZDZIAŁ VII.

Żebrak nawrócony.

Zakonnik jeden opowiada taki wypadek z życia swojego:

„Jest to starodawny u nas zwyczaj, że zakonnicy tem, czem ich Bóg opatrzył, dzielą się z ubogimi. Dwu nowicyuszów lub braciszek przypasują sobie fartuch, wynoszą przed fórtę ogromny kociel, bo tam ubodzy czekają już na ciepłą zupę. Jeden czerpie z kotła, drugi rozdaje miseczki i łyżki, a potem ma naukę do tego ubóstwa. Jeden i drugi umie tak ślicznie opowiadać, że biedakom mimowoli wypadają z rąk łyżki, cała ta gromada przysłuchuje się z dechem w piersi zapartym, żeby ani jednego słówka nie uronić z tego, co im prawi „księżyzek.“

„Ja sam nieraz albo wydzielałem polewkę, albo prawilem nauczkę. Wzięliśmy ten zwyczaj po przodkach z upomnieniem: Kto nakarmi biednego, będzie miał zapłatę u Boga. Jest to prawda, i to pod dwojakim względem: raz, że klasztorowi naszemu nigdy jeszcze nie zabrakło co najpotrzebniejszego do życia, a choć bywało i krucho, głodu nie było. I to zapłata Boża doczesna. A po drugie: przy tem rozdzielaniu ciepłej strawy można było sprawić wiele dobrego, co znowu dobrym uczynkiem co do duszy.

„To zajęcie nowicyuszów naszych u fórtcy nigdy nie było tyle szczęśliwe, co w grudniu roku 1865. W dyccezyi naszej był właśnie wtedy ogłoszony Jubileusz. Wśród tłumu cisnących się do klasztoru żebraków znajdzie się zawsze jaki wędrowny czeladnik lub nędzarz z stron dalszych. Otóż nowicyusze nasi 29 takich biedaków pojednali

szcześliwie z Bogiem i z własnem ich sumieniem. U niejednego był już wielki gwałt, bo byli tacy, co się już od trzech, czterech i więcej lat nie spowiadali, niektórzy nie byli u spowiedzi nawet od lat trzydziestu. Wszelako udał się im jeden osobliwy połów z starcem siedmdziesięcioletnim, który od dwudziestu dwu lat stronił od konfesjonału. Sposób, w jaki go ułowili, godzien opowiedzenia i opisu, w czem poznać działanie Najśłodszego Serca Jezusowego i Serca Maryi.“

„Było to 9 Grudnia w sobotę, w czasie oktawy Niepokalanego Poczęcia Maryi Panny, gdy dwu naszych nowicyuszów rozpoczęło zwykłą robotę z kotłem i rozdzielaniem ciepłej zupy. Pragnęli oni ułoić nowych pokutników, tem więcej, że im się dotąd tak szcześliwie wiodło, i że mocną mieli ufność w przyczynę Królowej Nieba, której wszystko dotychczasowe powodzenie słusznie przyznawali. Liczba gości dnia tego była niezwykła, obcych biedaków dużo.“

„Rozpoczęła się praca. Nowicyusz, który miał urząd nauczycielski, przystąpił do dwu młodych ludzi, którzy z wielkim apetytem spożywali sobie dar Boży. — Jak się macie? — odezwie się do nich. — Bóg zapłać! odpowiedzą tamci, nam dobrze tu.

„Opodal siedział staruszek, i jakoś gorszył się z tego ich szczęścia. Patrzał z ukosa na obcych przybyszów, łakomie połykając polewkę, i mrużąc sobie pod nosem: „Kiedy wam tak dobrze, moglibyście sobie doma pozostać, u nas dosyć głodnego luda, co żywic przybłędów?“ W tym sensie mrużąc sobie dalej, aż to ściągnęło uwagę nowicyusza, który przypuszczając, że czegoś brak staruszkowi, odezwie się doń łagodnie: A jak-że tam z wami, mój oczulku? — Ze mną? Miły Boże, odpowie starzec — ze mną źle, brak mi wszystkiego.

Nowicyusz: A czem się wy trudnicie?

Starzec: Ja się niczem nie trudnię. Jam sobie prosty żebrak, jak wiele innych. Lata najpiękniejsze zmarnowałem u żołnierzy na służbie cesarskiej, na starość co mam? Muszę żebrać.

Nowicyusz: A czy to koniecznie trzeba żebrać? Czybyście nie mogli jać się jakiej pracy, z czego by było utrzymanie?

Starzec: Księżyczku kochający, niech Jegomościem dobrze mi się przyjrzy, siódmy już krzyżyk dźwigam, ręce mi się trzęsą, oczy mgłą zachodzą, z pamięcią kiepsko: ktoby mi dał robotę?

Teraz każdy pyta o młodych, moenych parobków, ze starego niema nic, starego jak psa ode drzwi każdy odpędzi.

Nowicyusz: Więc-że naprawdę nic nie robicie, je-no chodzicie po Boskiej Opatrzności?

Starzec: A jużci tak, muszę chodzić żebrać, a to twardy kawałek chleba.

Nowicyusz: A czy nie macie nikoguteńko, coby was poratował?

Starzec: A kogóżbym miał? Ot, ten kij dziadowski to mój poratunek, kieliszeczek „prostuchy“ to wszystka moja pociecha, boć mówią ludzie, że dobry trunek na frasunek.

Nowicyusz: Kiepska to pociecha ten wasz kieliszeczek. A czyście wy nie ochrzczeni, nie wiecie, co powiedział Pan Jezus: „Pójdźcie do Mnie wszyscy, którzy pracujecie i obciążeni jesteście, a Ja was ochłodzę?“ Pewnieć to wiecie, czemu więc nie czynicie? Gdybyście te słowa wzięli sobie do serca, tobyście nie potrzebowali ani włóczyć się po żebracze, ani pocieszać „prostuchą.“ Kto chce pracować, znaj-

dzie wszędzie jakąś robotę, Pan Bóg nikogo jeszcze nie opuścił, kto weń ufa i robi, co powinien. Co wy na to?

Starzec: Wedle tej ufności w Pana Boga, toć niby tak, ale wedle roboty, to nie dla mnie, jam już za stary.

Nowicyusz: Ano, dobrze, dosyć mi tymczasem na tem, że macie ufność w opiekę Pana Boga; ale powiedzcie wy mnie jeno szczerze: czy też wy wspomnicie kiedy o Panu Bogu? Wiadomo wam, żeśmy nieraz sami sobie winni, że się nam źle wiedzie. Pan Bóg umyka Swych darów, gdy o Niego nie pytamy, nie pamiętamy o służbie Boskiej. Pamiętacie wy tedy o Panu Bogu?

Starzec: Czy ja o Panu Bogu pamiętam! — Toć przecie pamiętam. Człek całemi dniami włóczy się po tym Bożym świecie, jak sobie gdzie odpoczne, toć człowiekowi chcący niechcący przyjdzie myśl o Panu Bogu. A jest nie mało do gadania z Panem Bogiem — ot, pokazuję Bogu wszystką mą biedę, i użalam się, gdy mi już okrutnie ta bieda doskwiera. Wstanę rano z barłogu, albo wieczorem rzucę się na barłóg, toć zawsze myślę o Bogu, odmówię, niewymawiający Bogu, swój mizerny paciorek. Wypije się też i jaki naparstek prostuchy, gdy ludzie dobrzy podadzą, przez com ani nie pijak, ani poganin.

Nowicyusz: Cieszy mnie to, co mówicie, że tak o Panu Bogu pamiętacie, jeno, że na tem nie koniec, bo inne jeszcze mamy względem Pana Boga powinności i przykazania. Modlić się — toć to nie żaden zaciąg i żadna osobliwość, bo jak co dolegą, to człowiek prawie niechcący narzeka i wzdycha do Pana Boga. A choćby i nie to, a skąd-że wiecie, że wasza modlitwa podoba się Panu Bogu, osobliwie, jeżeli się do grzechu poczuwacie? Jak-że ze spowiedzią — dawności się spowiadali?

Starzec przestał jeść, odłożył łyżkę na bok, wyprostował się, i jakimś dziwnym okiem spojrzął na pytającego. Na twarzy przebijała się niechęć, zdziwienie, zaczem odezwie się tonem obrażonej niewinności: „Spowiedź — spowiedź — księżyczku — to rzecz dla innych, dla ludzi prostych. Spowiedź może być dobrą dla takich, co nie mają nic ze światem do czynienia; dla tych, co świat poznali, mają doświadczenie i trochę w głowie oleju, dla tych spowiedź niepotrzebna. Co mi tam spowiedź!”

Nowicyusz: Wyście przecie katolik?!

Starzec: A katolik, katolik, alem nie żaden prostak, więc się spowiadać nie potrzebuję.

Nowicyusz: Czyście się nigdy jeszcze nie spowiadali?

Starzec: Spowiadałem się, oj spowiadałem, a to było za młodu, gdym jeszcze był sobie głupiuchny i bez doświadczenia.

Nowicyusz: A jak temu dawno, coście nie byli u spowiedzi?

Starzec: Miły Jezu, co za pytanie. Już temu będzie z trzydziestka, jakem przestał księży dobrodziejów turbować. W on czas rozjaśniło mi się w głowie, poznałem, że spowiedź to nie dla mnie, przestałem zwierzać się księdzu.

Nowicyusz: Teraz wszystko rozumiem. Trzydzieści lat bez spowiedzi! Byliście u wojska, żyliście w świecie — a wiecie wy, skąd ten kij dziadowski i ta torba dziadowska? Zapomnieliście oto o Panu Bogu, więc i Bóg o was zapomniał. Nawróćcie się do Boga, a i Bóg się do was nawróci. Jak-że ma wam Bóg dopomódz, gdy wy sami Mu niejako ręce wiążecie? Jeżeli się nie będziecie spowiadali, źle z wami będzie za życia, gorzej przy śmierci, a najgorzej już tam na onym świecie. Przecie Bóg żąda, byśmy się spowiadali; kto gardzi spowiedzią, temu

jedno tylko pozostaje — potępienie. Albo się spowiadać, albo być potępionym — mówi św. Augustyn.

Starzec: Niech się, kochany księżyczek wedle mnie nie fatyguje, nie namówi mnie już do spowiedzi. Spowiedź toć to wynalazek księży, wie o tem każdy oświecony. Dla spowiedzi nie boję się piekła; Bóg zna moje serce i zna moją dobrą wolę. Ja grzechy moje wyznaję Bogu, żałuję za nie szczerze, brzydzę się niemi, Bóg miłosierny odpuści mi je.

Nowicyusz: Albo też i nie odpuści, gdy kto może się spowiadać, a nie spowiada się przed kapłanem. Bóg raz na zawsze tak postanowił, żebyśmy trąd duszy naszej ukazali kapłanowi. Ponieważ Bóg dał moc kapłanowi grzechy odpuszczać lub zatrzymywać, więc tem samem włożył na wiernych obowiązek spowiadania się przed kapłanem; więc spowiedź jest koniecznie potrzebna, więc to nie księża wymyślili spowiedź, lecz Bóg tak ustanowił.

Starzec: Co mi tam księżyczek prawi! Spowiedź wymyślili księża, na tem basta. Gdzie i kiedy byliby się spowiadali oni starzy pustelnicy, którzy przez całe życie swoje nie wychodzili z swych jam i jaskiń? Nie czytałem też nigdzie, by się oni pustelnicy spowiadali. A skoro oni nie potrzebowali się spowiadać, to i my nie potrzebujemy się spowiadać, przynajmniej ja nie potrzebuję się spowiadać.

Nowicyusz: Ojczulku, mówicie więcej, niż potraficie udowodnić. Gdyby to było prawdą co powiadacie, tedy ja powiem więcej, powiem, że oni pustelnicy nie byli wcale ochrzceni.

Starzec: Cóż zaś! Pustelnicy byli, byli ochrzceni, bez chrztu nie byliby byli wcale chrześcijanami; a czemu by nie mieli być ochrzceni?

Nowicyusz: Toć waszemi własnemi słowy dowodzę, boć przecie nigdzie nie czytamy, że pustelnicy byli ochrzczeni, a więc nie byli.

Starzec: Wie co księżyczek? To niczego nie dowodzi; jakżeby mogli być chrześcijanami i Świętymi? Tego się nie pisze w książkach, bo to się samo przez się rozumie.

Nowicyusz: Na tom właśnie czekał. Czy myślicie, żeby byli bez spowiadania się Świętymi? Dla onych pustelników obowiązek spowiadania się był czemsi tak jasnym i naturalnym, że wcale nie uważali tego za potrzebę, by o tem osobno wspominać.

Starzec: A i tak ja się jednak nie będę spowiadał. Nie będę, mówię po raz drugi i trzeci, że się nie będę spowiadał, i kwita.

Nowicyusz: To wam grzechy nie będą odpuszczone.

Starzec: A nie prawda! Bóg mi już odpuści, jak będę serdecznie żałował, co i czynię co dzień. Leżę sobie gdzie w lesie pod drzewem, nikt mnie nie widzi, nikt nie słyszy, to się modłę do Stwórey mojego, rozważam sobie gorzką Mękę Jezusową, albo wzdychem do Najśw. Paniarki, wzbudzam w sobie żal za grzechy, i wcale nie wątpię, że mi będą odpuszczone.

Nowicyusz: Mylicie się, ojczulku! Bóg przez nas obrażony może przecie położyć warunek, pod jakim nam zechce odpuścić; wszystko na nic, jeżeli tego warunku nie wypełnimy; na nic Męka Jezusowa, na nic dobroć Najświętszej Paniarki.

Staremu zabrakło widocznie cierpliwości, był mocno rozdrażniony — odkłada łyżkę, bierze kij swój, wstaje i rzece opryskliwie: Jam nie żaden złoczyńca, spowiadać się nie potrzebuję, do spowiedzi nie pójdę, a jeżeli kto, to już księżyczek nie namówi mnie do spowiedzi. — Za-

bierał się do odejścia. Nowicyusz zaszedł mu drogę, ujął za ramię, łagodnie na dawne miejsce pociągnął, i rzekł: Ojczulku, tam wasza zupa, czy nie chcecie skończyć obiadu? Stary udobruchał się, wrócił na miejsce i rzekł: Obiad zjem, ale do spowiedzi nie pójdę.

W tym czasie nadszedł jeden z przełożonych, i przypatrywał się tej całej scenie. Widząc ten upór, tę zajadłość starca, tę gotowość do ucieczki, odezwał się: „Z tym człowiekiem nic nie wskórasz, ale rób co możesz.“ — Zaczęła się znowu rozprawa.

Nowicyusz: Ojczulku, wy pewnie nie chcecie się dostać do piekła?

Starzec: A niech-że Bóg broni! Zresztą i nie boję się, bom nie żaden zbrodzień.

Nowicyusz: Moglibyście się jednak bać, bo kto się nie spowiada, grzeszy ciężko, i nie dostanie się do Nieba. Powiedzcie mi tak na wyrozumienie: gdybyście teraz w tej chwili musieli umierać, czy jesteście tego pewni, żebyście poszli do Nieba? Czybyście chcieli tak bez wszystkiego umierać?

Starzec: Ja się cieszę na śmierć. Gdy człowiek zamknie oczy, już po wszystkim. — A czy ja myślę dostać się do Nieba? Do Nieba — nie, bom niegodny i za wielki grzesznik; ale Raju to się napewno spodziewam. Zrzekam się chętnie Nieba, do Raju pójdę na pewnika: czemubym nie miał pragnąć śmierci?

Nowicyusz: Co wy tamprawicie o jakimsi Raju, co to jest?

Starzec: Że też księżyczek tego nie wie! Przecie księżyczek słyszał o widzeniu św. Grzegorza Wielkiego? Razu jednego zaprowadził go Anioł na miejsce przeszliczne, i ukazał mu tam wszystkie cudności Boskie. Gdy wrócili, Anioł zapytał: Grzegorzu, czy wiesz, gdzieśmy

byli? Odrzekł Święty: Pewnieć w Niebie. — O nie, odpowie Anioł, byliśmy w Raju. Więc o tym Raju mówilem. Jest to miejsce, dokąd idą ci, co się Nieba wyrzekają, a których do piekła też posłać nie można. Ja się do tego Raju dostanę.“

Nowicyusz nieprzygotowany na coś podobnego, chciał zrazu coś odpowiedzieć, następnie próbował wybić mu ten obłęd z głowy, ale napróżno. Wracając do pierwszej materyi, napomykał zwolna o spowiedzi, ale starzec począł się już zżymać na dobre, na kłeryka spoglądał rozwścieczony, zaklinał się rozmaicie, chciał nawet przysiądz, że do spowiedzi nie pójdzie.

Młody zakonnik nie dał się zbić z tropu. Na gniewy starca odpowiadał poważnie. — Mówiliście — rzekł — co dopiero, że często rozpamiętujecie sobie gorzką Mękę Jezusową: czyście się też kiedy zastanowili nad tem, co Boskie Serce Jezusowe cierpiało za was, a osobliwie za wasz upór i za waszą obojętność?

Słowa te jakby przypadkowo rzeczzone wywarły na starcu widoczne wrażenie. Samo te proste słowo: „Serce Jezusa“ wzruszyło go; jeszcze chwilę jedną upierał się, ale ustępował gniew, już nie odpowiadał tak zuchwale. Nie uszła baczności kłeryka ta zmiana, i drudzy zmiarkowali, że się coś święci, bo i oni zaczęli dogadywać staremu. Jeden osobliwie młody żebrak, który wczoraj był się wypowiadał, a dziś komunikował, wdał się żywo w tę sprawę. Bijąc się w piersi, rzekł: „Wy, stary, patrzcie, tu dziś we mnie spokój i dobrze mi bardzo; wczoraj tak nie było, alem się wypowiadał, dziś komunikował, i jeno mi się cieszyć. Miejcie rozum, nie mało tam pewnie u was grzeszków, poco je jakby na kłódkę zamykać?

„Milcz, kpie, krzyknie dziad. Co ty wiesz? Czyś

ty się tyle włóczył po świecie, co ja? Czy masz tyle doświadczenia i tyle co ja wiadomości?

Tymczasem rzecz cała wzięła inny obrót: drugiemu klerykowi przysła nagle szczęśliwa myśl do głowy.

„Mówiliście — odezwie się do rozdąsanego starca — że Najśw. Panienkę kochacie i chętnie się modlicie. Jeśli to prawda, to mi jedno uczynicie.“ Starzec, który się miał na odejście, przystanął i zapytał: „A czego to chcecie ode mnie? Z spowiedzi — nie nie będzie.“

„Widzę — rzecze kleryk — że trudno was namówić, więc się nie będę naprzykrzał, ale zapraszam was do naszego kościoła, poświęconego Matce Boskiej Loretańskiej, tam się pomodlimy, a czem Pan Jezus i Matka Najświętsza natchną, to uczynimy.“

Spodobała się ta rada starcowi. Kleryk wziął go poufale za rękę, i rozprawiając ładnie, wprowadził do klasztoru, i zamknął wrota. Potem poszedł prosić starszych o pozwolenie do takiej przechadzki, bo kościół stał po drugiej stronie miasteczka. Czas był wielki, że wrócił, bo starzec już się niecierpliwił i mówił: „Puść mię, księżyczek, muszę iść wypić z kieliszeczek.“ Dał się uspokoić, i potem obaj poszli do Matki Boskiej. Droga prowadziła przez ogród, w ogrodzie znajdowali się wszyscy klerycy zakonni. Widząc towarzysza z obcym jakimś człowiekiem, odezwali się jednogłośnie: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Stary miasto odpowiedzi, rzekł: Księżyczkowie, ot, ci mają mnie za wielkiego grzesznika, i wcale nie rozumiem, co ze mną robią. Nowicyusz zaprowadził go na miejsce, gdzie klerycy zabawiają się rozmową o rzeczach bożych. Pod murem jest ołtarzyk z obrazem Matki Boskiej cudownej pod nazwą: Mater ter admirabilis — Matka przedziwna. Przed ołtarzem wisi parę lampek z kory drzewa, a w nich zamiast oleju,



Matka Boska Częstochowska.

znajdują się doniczki kwiatów. U tego ołtarza kleryk ukląkł ze starym żebrakiem i kazał mu odmówić kilka aktów strzelistych, co też on chętnie uczynił, ale żadną miarą nie dał się namówić do tego westchnienia: „Serce Jezusa, bądź mi ratunkiem!“ Wreszcie przybyli do kościoła, choć starzec przez caluteńką drogę coś sobie pomrukiwał, że go chcą do spowiedzi przymuszać. W kościele uklękli obaj przed Najświętszym Sakramentem. W uniesieniu nadziei i ufności kleryk Najśłodszemu Sercu Jezusa i Maryi ślubował dwieście ćwiczeń pokutnych, trzydzieści Różańców i dziesięć komunii, jeżeli za przyczyną Świętych zakonu zmiłują się nad tym starcem. Po dość długiej modlitwie padli na twarz przed obrazem Matki Boskiej, dla której weselem i radością dopomagać nam w potrzebach naszych.

O co starzec prosił, nie wiemy; leżał krzyżem w czasie, gdy kleryk Sercu Jezusowemu polecał swą potrzebę, a serce jego tonęło w gorącym błaganu. Czas był wychodzić. Kleryk pokropił starca wodą święconą, i wyszli. W niepewności, ale i nie bez nadziei pyta starca: „A co teraz, ojczulku?“ Starzec przystanie, spojrzy na kleryka, i rzecze: Kochany księżyczku, jabym się chciał wypowiedać, bo — bo — poczał się jakoś jakać i potrząsać głową — bom stary, kto wie, kiedy Pan Jezus zawoła. Kleryk ledwie się posiadał z radości, nieomal byłby padł staremu na szyję. W kilka godzin później dziad się wypowiedał. Cichy, potulny, rozpromieniony siedział znowu nazajutrz przy swej polewce. „Byłem głupi — rzecze — spowiedź to jednak coś dobrego. Inaczej to wygląda, jak sobie wystawiałem.“ Następnie kazał się wpisać do Bractwa Najśłodszego Serca Jezusowego i Maryi, podarowano mu medalik Niepokalanego Poczęcia, a on odchodząc, rzekł do kleryka: „Jegomościuku, jam stary i mizerny

człowiek, nie mogę nic innego uczynić, jak dziękować i modlić się. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!”

Ty, czytelniku miły, odpowiesz zapewne: „Na wieki wieków Amen“, i pomyślisz sobie: A kiedyż to ja byłem ostatni raz u spowiedzi, i pomyślisz sobie: Na przyszłą Niedzielę pójdę do św. Spowiedzi...



ROZDZIAŁ VIII.

Dwa serca a jedno.

Razu jednego powiedział Pan Jezus, że jak winna latorośl jedno są z winną macicą, tak chrześcijanin ma być jedno z Nim, z Chrystusem. To dzieje się już na Chrzcie, ale najściślej w Komunii św., co już sama nazwa wskazuje. Komunia czyni Chrystusa i ciebie jedno, jak ty pokarm i napój jedno czynisz z sobą. I jeszcze więcej. I myśli, i pragnienia twoje, i miłość twoja czynią się zwolna w Komunii jedno z myślami i z miłością Chrystusa, iżbyś coraz więcej stawał się jedno z Nim, serca jednego i myśli jednej. I jeszcze więcej. Komunia wiernych wszystkich coraz ściślej jednoczy. Tak samo stół spólny jednoczy wszystkich, co do jednej rodziny należą, a jak z wielu ziarn i z wielu pyłków mąki jeden czyni się chleb, tak i wierni wszyscy stają się przez Chrystusa „jednym chlebem“, jak mówi Apostół.

Owóż o to jedno wszystkich ludzi z sobą i z Nim i przez Niego bardzo a bardzo chodzi Sercu Jezusowemu. Dla tego po ustanowieniu Komunii św. tak serdecznie i tak czule za Apostołów i za wszystkich, którzy przez słowo ich mieli być nawróceni, prosił Ojca o tę jedną łaskę, abyśmy wszyscy byli jedno, jedno w myślach chrześcijańskich, jedno w wierze chrześcijańskiej, jedno w chceniu i w miłości, jak On jedno jest w myśleniu i w chceniu i w miłości Ojca Swojego. I wszystko modlenie się Jego, i przykład, i działanie w Kościele i w Sakramentach do tego zmierza, aby wszyscy ludzie stali się jedną owczarnią, i aby ci, którzy już są Jego, pozostali jedno na zawsze. I dla tego miłość Serca Jego

dzień w dzień wybiega na wszystkich świat, zaprasza i woła, prowadzi tysięcznymi drogami i sposobami rozproszonych do Siebie, do Serca Swego, iżby się znaleźli u stołu Jego — w Komunii świętej.

Sposób, w jaki Pan Jezus ten urząd Dobrego Pasterza wykonuje, taki słodki, i tak naocznie, tak namacalnie ukazuje dobre Serce Jego.

W historii, którą teraz opowiem, obaczysz to jeszcze wyraźniej; jest to w najszlachetniejszym znaczeniu historia miłości dwojga serc młodych, które Serce Dobrego Pasterza w jedno serce przelało — uczyniło jedno.

*

*

*

W roku 1823 żył w Berlinie hrabia jeden pochodzący z Szwecyi, z żoną, która była rodem Niemką. Mieli córkę, imieniem Alexandrę, a wszyscy troje byli Luterskiego wyznania. Alexandra miała podówczas lat 15, była codopiero konfirmowaną, czyli przyjętą do protestanckiej komunii. Ponieważ w ciągu nauki konfirmacyi wiele było mowy także o religii katolickiej, i wiele na tę wiarę wymyślano, obudziły się w niej wątpliwości, kto właściwie ma rację, protestanci, czy katolicy. Zwierzyla się z temi wątpliwościami pastorowi, ale co jej mówił, nie zadowalało jej bynajmniej, owszem, jeszcze więcej niepokoiło. I tak oto poczciwa panienska straciła spokój serca, a ona tak gorąco pragnęła dowiedzieć się, gdzie prawda.

Dnia jednego, gdy ją wątpliwości gwałtowniej, niż zwykle, napadły, modliła się rzewnie do Pana Boga, co sobie nawet w swej książeczce zapisała; o nic inszego nie prosiła, jeno o poznanie prawdy, przy czem oświadczyła, że dla osiągnięcia prawdy gotowa z całego serca poświęcić wszystko szczęście swoje na ziemi.

Niepodobna, żeby Pan Jezus nie wysłuchał takiej szczerej, prostej i gorącej modlitwy. Panienska dojdzie do poznania prawdy, ale jedynie za cenę onej ofiary, którą z miłości ku niej uczyniła. Odtąd Dobry Pasterz obróci na nią Swe oczy, będzie ją prowadził i kierował na drogach żywota, aż spocznie u Serca Jego w pierwszej katolickiej Komunii.

Nasamprzód umarł jej ojciec, oczywiście nie bez dopuszczenia Boskiego. Było to w roku 1831. Ta śmierć była powodem, że matka wraz z córką udała się do Włoch, i czas niejaki zamieszkała w Rzymie. W tem mieście porobiły znajomości z wielu znakomitemi rodzinami, osobliwie zaś z hrabiowską rodziną francuską *La Ferrana y s.* Byli to oświeceni i gorliwi katolicy, począwszy od ojca aż do najmłodszego dziecka, tak, że Biskup Neapolitański powiedział o nich, że to sami Święci.

Synowi tej hrabiowskiej rodziny było na imię Albert. Był to nad podziw urodliwy młodzieniec, żywy, utalentowany, anielskich obyczajów, głęboko pobożny, słowem, był wzorem katolickiego młodzieńca.

Przy częstych wzajemnych odwiedzinach obu rodzin Alexandra poznała go i miała dobrą sposobność przekonania się o jego szlachetnym i statecznym charakterze. W marcu roku 1832 razem z inną młodą panienską protestancką wstąpiła na pagórek świętej Trójcy w Rzymie, gdzie zakonnice Najśladszego Serca Jezusowego miały swój klasztor: chciały się przysłuchać śpiewowi zakonnice. Alexandra stanęła niespodzianie w pobliżu młodego hrabiego, który w tym kościele zwykł był klęcząco odprawiać swe modlitwy. Wychodząc z kościoła powiedziała mu, że miała również ochotę uklęknąć, i byłaby to uczyniła, gdyby miasto protestanckiej przyjaciółki jego siostra była obecną w kościele. Na to odrzekł jej hrabia z wielką po-

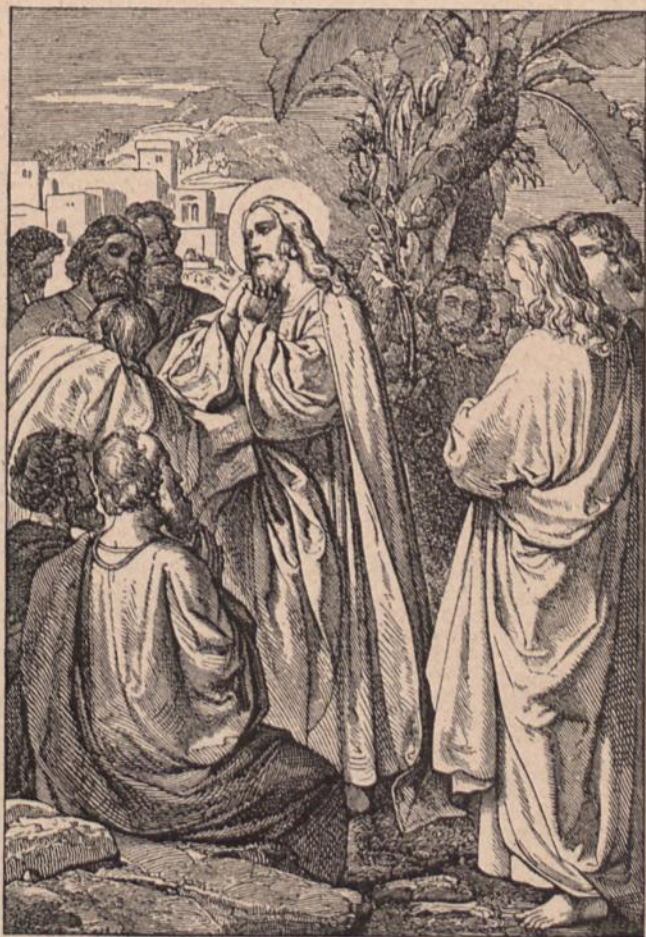
waga: A czemu tego zaraz nie czynisz? POCO te względy na ludzi? Choć to były słowa rozsądne, czegoś podobnego nie śmiał jeszcze nikt hrabiance powiedzieć. Ale spodobały się jej te słowa, i jeszcze więcej spodobał się jej młodzieniec, który się odważył to jej powiedzieć. Prosiła go, żeby wieczorem odwiedził ją i matkę. Albert przybył, i tak coraz lepiej poznawali się, coraz więcej nabierali wzajemnego szacunku do siebie, wreszcie pokochali się najgorętszą miłością. Ażeby ta miłość pozostała szlachetną, coraz stawała się szlachetniejszą, coraz czystsza, anielską, o to postara się Dobry Pasterz.

Jedna rzecz bolała zacnego Alberta: Alexandra nie była katoliczką. Obchodziło go to wiele, ale wiedząc, że nawrócenie się duszy to dzieło samego Boga, starał się pozyskać sobie Boga, aby ten cud uczynił.

Dnia jednego w Marcu raniutko wdziawszy na się szaty pielgrzymie, rozpoczął boso odwiedzać siedm głównych kościołów, modląc się gorąco o nawrócenie Alexandry. Do modlitwy przydał ofiarę, że gotów poświęcić życie i ziemskie szczęście swoje, jeżeli Bóg tę ukochaną duszę przyprowadzi do poznania prawdy i do zbawienia.

I ta modlitwa była tak szlachetną, że ją Bóg wysłuchał, jak wysłuchał modlitwy Alexandry. Pan Bóg będzie się trzymał tego słowa, i czasu swego zażąda od młodego hrabiego ofiary.

Niedługo po onej pielgrzymce Albert zachorował na piersi, co wszelako nie zmieniło w dotychczasowych stosunkach obojej rodziny: odwiedzali się nawzajem, a Alexandra i matka zaczęły razem z Albertem i rodziną jego chodzić do naszego kościoła. Przy onych częstych odwiedzinach przychodziło, rzecz prosta, do mowy o religii; Albert korzystał z każdej sposobności, żeby Alexandrę przekonać o prawdziwości i piękności wiary katolickiej.



„I rzekł im Jezus, gdy się modlicie, mówcie: Ojcze, święć się Imię Twoje, przyjdź królestwe Twoje.“ (Luk. XI, 2).

Szło to dość opornie: zbyt wiele zaszczerpiono w niej uprzedzeń i fałszywych poglądów, między innymi i ten fałsz, że zostawszy katoliczką, nie tylko będzie musiała wyrzec się swej wiary, lecz i przeklinać swych rodziców i krewnych, co oczywiście dla niej było niepodobieństwem. Co do Alberta, i on był zakłopotany. Ponieważ Alexandra nie dała jeszcze poznać swej gotowości zostania katoliczką, nie wiedział, czy mógłby ją pojąć za żonę, dopóki się nie przekona, azali po nawróceniu się swoim będzie mogła dać dzieckom katolickie wychowanie. Zwierzył się z tem jednemu światłemu i pobożnemu duchownemu. Ten mu odpisał, że na podstawie tego, co mu mówił, jest mocno przekonany, iż Alexandra jest mu rzeczywiście od Boga przeznaczoną za towarzyszkę życia. Opatrzność — tak pisał duchowny — tak jest dobrotliwa, tak wszechmocna w sposobach, że żadne przeszkody ludzkie nie powinny nas odstręczać. Pomoc przychodzi zazwyczaj z strony, skąd się najmniej spodziewamy. Nie ustawaj, kochany Albercie, opiekować się tą duszą tyle ci drogą. Jeżeli ją przyprowadzisz do poznania prawdy, będzie to twoja zdobycz, i Bóg odda ci ją na zawsze. Czego przedewszystkiem potrzeba, to modlitwy, albowiem światłość przychodzi z góry, jak i moc potrzebna do wyzbycia się z mlekiem wyssanych uprzedzeń. Co mi piszesz o jej niepokojach, nie dziwi mnie bynajmniej. Wyrzeczenie się błędów przedstawia się jako przepaść nieprzebyta. Choć się i ma odwagę, rzecz to naturalna lękać się przepaści. Protestanci wyobrażają sobie fałszywie, że wyrzekając się błędu, muszą przeklinać wszystkich, co pozostają w błędzie. My jedynie błąd potępiamy, ale kochamy i litujemy się nad tymi, którzy są jego ofiarą. Alexandra wyrzekając się błędu, nic więcej nie uczyni, jeno oświadczy, że wraca na łono Kościoła, w którym przez tyle wieków

żyli jej przodkowie, i że wyrzeka się błędów, które tych, co przed trzystu lat żyli, oderwały od jedności. Sąd o nich pozostawia Bogu, bo tylko Bóg może wiedzieć, czy byli dobrej lub złej wiary. Tylko błędami ich ma się brzydzić, jakby brzydziła się błędami, któreby jej samej ujmę przynosiły. Chociażby córka nie wiedzieć jak czule kochała matkę swoją, pewnieby nie pochwałała zachowania się jej mniej godnego, i pewnieby niczego nie zaniechała, by sprowadzić na drogę cnoty i obowiązku tę, która dla niej najdroższą na świecie. Czemużbyśmy nie mieli tak samo rozumieć, gdy chodzi o błąd religijny? Słowem, powiedz jej, że jedynie może być mowa o powrocie do wiary przodków; że zbawienie dla tych tylko, którzy żyją w jedności katolickiej, lub dla tych, co urodzeni w kacerstwie, są dobrej wiary i tego ducha, iżby bez odwłoki zostali katolikami, gdyby nabrali przeświadczenia, iż to konieczne potrzebne, by się Bogu podobać. Co się tyczy tych, którzy mając wątpliwości, jednak nie dbają o oświecenie się, albo, co będąc przekonani, iż ojcowie ich źle robili, targając jedność, mimo to trwają w rozdziale, ci są winni, i czeka ich odpowiedzialność.

Albert postępował w myśl tego listu: modlił się za Alexandrę, na wątpliwości jej dawał stosowne odpowiedzi. Sprawcę doprowadził tak daleko, że się coraz przychylniejszą okazywała. Co prawda, gdyby od niej samej było zależało, nawrócenie mogłoby się być bez zwłoki dokonać. Ale żyła matka. Matka nie byłaby się zapewne przeciwiała małżeństwu z Albertem, ale nie chciała dopuścić, by córka została katoliczką. Powiedziała jej raz, że gdyby kiedykolwiek przyszło do tego, byłoby to dla niej śmiercią. Obawa więc, żeby ukochanej matki nie zasmucać, była głównym powodem, dla czego Alexandra z dnia na dzień odkładała gruntowniejsze poznanie się

z nauką katolicką, i do końca chciała odkładać, to jest, do stanowczego postanowienia albo zasmucenia matki, albo niepodobania się Bogu.

Prędzej, niż z religią, dojrzewała sprawa poślubienia. Między rodzicami Alberta a matką Alexandry nastąpiło porozumienie we wszystkich punktach, ślub naznaczono na Wielkanoc roku 1834 w Neapolu. Dnia 16 Kwietnia Albert narzeczoną swą wprowadził w dom rodziców. W obecności Arcybiskupa Neapolitańskiego miała złożyć przyrzeczenie, że wszystkie dzieci będą po katolicku ochrzczone i wychowane: uczyniła to chętnie, nazajutrz nastąpił ślub.

Alexandra osiągnęła wszystko, co o szczęściu ziemskim marzyła, spełniły się jej nadzieje i pragnienia: czuła się nadzwyczaj szczęśliwą.

W tym nastroju ducha razu jednego odezwała się do siostry Alberta: „Teraz już nie potrzeba mi wiele do zostania katoliczką. Niechby mi Bóg albo dziecię dał, albo zabrał matkę, lub Alberta, albo i mnież samą.“

Stało więc na tem: nie inaczej, jeno katoliczką chciała umierać. Jednakże serce było wciąż jeszcze przywiązane do szczęścia ziemskiego, a Pan Jezus pragnął je mieć wyłącznie dla Siebie. Kto wie, czy nie będzie musiał użyć gwałtu, by to serce oderwać od ziemi, by oraz pokazać, ile wart skarb prawdy wiary, który jej ofiaruje. Pan Jezus nie omieszka tego uczynić: użyje niebawem noża i pocznie przecinać powrozy przywiązania i miłości do świata.

Pierwsze cięcie przyszło w dziewięć dni po ślubie. Można by mniemać, jak gdyby Pan Jezus tylko czekał na chwilę osiągnięcia przez nich szczytu szczęścia ziemskiego, aby przyjąć ofiarę, którą mu Alexandra złożyła w 15 roku życia swego, a dać jej za to prawdę.

Dziesięć dni po ślubie żyła z Albertem — ach, taka szczęśliwa! Nazajutrz wróciła dawna choroba piersiowa, Albert począł płuć krwią. Lekarze przepisali zmianę powietrza, oboje więc przenieśli się do Sorrento, na jesień do Pizy, roku następnego do Wenecyi. Mimo to suchoty rozwijały się zwolna, ale coraz groźniej. Alexandra nie przeczuwała końca choroby, nie mogło wszelako ująć jej uwagi gaśnięcie sił; zasmucone twarze rodziny mówiły, że ukochany jej małżonek znajduje się rzeczywiście w poważnem niebezpieczeństwie. To musiało ją niepokoić i trwożyć, więc w modlitwie szukała pociechy. W nocy 13 Lutego wpisała do swego pamiętniczka te wyrazy: „Boże mój, dałeś mi tyle pociech w życiu mojem, ale nie dałeś pokoju. Ufam, o Boże, że nie szemrzę: niech się dzieje wola Twoja! Wiem, że cokolwiek czynisz, dobrze czynisz; ale proszę Cię, boś prosić dozwolił, proszę w imię Syna Twego, Pana naszego, Jezusa Chrystusa, któremu obiecałeś, że Mu nic nie odmówisz, proszę Cię, abym z tym ukochanym Albertem mogła żyć, umierać i zmartwychwstać. Kocham go, Boże mój, kocham go bardzo w Tobie, kocham go bardzo, bo on Ciebie kocha. Zachowaj nas na zawsze w Twojej miłości, nie rozłączaj nas nigdy. O wy Święci w Niebie, przyczyńcie się za mną! O Jezu, wysłuchaj mnie! Niech wołanie moje przyjdzie do Ciebie, jak wołanie tylu nieszczęśliwych niewiast, jak wołanie celnika i innych! Boże mój, jak jeden z nich, tak ja odzywam się do Ciebie: Wierzę, Panie, ale dopomóż niedowiarstwu mojemu. Oświeć mnie, niech w sercu mojem zajaśnieje prawda. Ale, o słodki Jezu, któryś miał politowanie nad Matką Swoją, dozwól nie zasmucać matki mojej!“

Widać z tego, że Alexandra gorąco pragnęła zostać katoliczką, gdyby jeno stać się to mogło bez zranienia

serca matki. Ta połowiczność sprawia jej nowy niepokój, gdyż z drugiej strony widzi, jak mąż i cała rodzina jego tacy zdani na wolę Bożą pod wpływem swej wiary. Pisała o tem do siostry Alberta: „Ach, jacyście wy szczęśliwi, żeście co do wiary spokojni! A kiedyż ja wydostanę się z tego stanu mojego? Matka moja pisze mi listy takie tkliwe. Niech-że mnie Bóg miłosierny nie opuszcza, niech przywróci zdrowie Albertowi! Matka moja, która była szczęścia mojego przyczyną, matka moja, której zawdzięczam męża katolika, która tyle dla mnie uczyniła, ile matka może uczynić: — tej drogiej matce ja nie mogę serca zakrwawiać.“

Choroba Alberta pogarszała się z dniem każdym. Nie było już najmniejszej wątpliwości, jaki będzie koniec. Jednocześnie dusza Alexandry przekształcała się. W pamiętniku jej czytamy: „Trzeciego czy czwartego Marca był Albert świadkiem mojego płaczu. Przywołał mnie do siebie i powiedział mi po cichu kilka słów, z których to tylko spamiętałam: Bądź dobrej myśli, ukochana przyjaciółko moja, jeśli mnie Bóg powoła do Siebie. Później, nie wiem com mówiła, czy mówić chciała, alem się przemówiła i rzekłam: Ja będę „piła“ Pana Boga. Uśmiechnął się na to przemówienie się moje, ale z dziwnym spokojem i spojrzeniem, którego nigdy nie zapomnę, rzekł mi: Kiedy? Kiedy będziesz piła Pana Boga? Ja zamilkłam.“

„W sobotę 5 Marca: Boże mój, ten gwałtowny ból, te kolki bardzo go osłabiły... Zasnął o trzeciej. O Boże mój, jak-że nędzne to życie, a jednak tę nędzę pokrywa się jakąś pompą i jakimś blichtrzem! Te słowa położyły koniec dotychczasowemu życiu mojemu; od tego momentu rozpoczęło się dla mnie nowe życie. Wśród ciemności śmierci miała zajaśnieć jutrzienka.“

Co się stało?

Ból w piersiach chorego coraz większy, coraz do-
kuczliwszy, już w nocy następnej przybrakło tchu Alber-
towi, Alexandra posłała szybko po lekarza. Tymczasem
czuwała przy nim ciężko strapiona. Wargi jego były bla-
de, sine, mówił jeszcze trochę, ale z takim wyęczeniem,
że go zaledwie rozumiała. Prosił o księdza. Było to, jak
gdyby kto ostrą strzałą przeszył jej serce. Czy już tak
źle? Czy naprawdę koniec? — zakrzykła.

Lekarz przybył. Powiedział, że to suchoty. Ale-
xandra uczuła, jak ją wszystka nadzieja opuszcza i w tej
chwili zawołała: Teraz jestem katoliczką. Zaledwie to
wymówiła, w duszy uczuła pokój i męstwo. Teraz już
gotowa iść za głosem łaski. Prośba o prawdę wysłuchana,
wysłuchana w chwili, gdy ma złożyć ofiarę z wszystkiego
szczęścia ziemskiego. Dla czego ta pewność o śmierci
małżonka tak nagle rozwiała wszelkie dalsze wahanie się,
obaczmy to zaraz.

Alexandra widząc, że wkrótce utraci męża, poczęła
się zastanawiać, co uczyni po jego śmierci — w sereu
wybuchła sroga walka. Z jednej strony chciała po swem
nawróceniu się oddać się na wyłączną służbę Bogu;
z drugiej — ona taka młoda, świat taki powabny. Chcia-
łaby wzlecieć wysoko, wysoko, ale skrzydelka takie jesz-
cze słabe. O tym stanie swoim pisała 9 Marca do siostry
Alberta: „Tak więc koniec naszej miłości — dziesięć dni
szczęśliwych, w niespełna dwu latach małżeństwa naszego,
kiedyśmy się tak kochali, jak tylko można się kochać.
O Boże, dziesięć dni! bo nie więcej, jak dziesięć dni by-
łam bez troski o zdrowie jego. Bóg mnie przygotowy-
wał zwolna, nieznacznie — może z litości nade mną, bo
milsze mi były zawsze długie cierpienia, niż nagle wstrzą-
śnięcia. Do tyłam spokojna, że ze zimną krwią mogę

rozważyć, co pocznę. Nasamprzód, o Boże, oby ten mój kochany Anioł nie cierpiał więcej, oby już na wieki był szczęśliwym tam w Niebie! Dla mnie, której życie — ja wiem to — przeciągnie się dłużej, nie pozostanie już inne szczęście, jeno miłość Pana Boga, jeżeli dosyć będę posiadała hartu, aby się Bogu oddać wyłącznie. Byłaby to miłość największa. Ale ja zawsze tak pragnęła miłości, że w latach moich lękam się powiedzieć, iż to wszystko przepadło. A jednak jedynem mojem uspokojeniem będzie czuć się niepocieszoną, bobym się samą sobą brzydziła, gdyby kiedykolwiek noga moja powstała na miejscu wesela, lub gdybym chciała brać udział w czemsi ziemskim w jakibądź sposób. Mimo to pragnę widzieć znowu tych, których jeszcze Kocham.“

„Na chwilę myślałam zostać zakonnice. Jednakże rozważyłam sobie, że do tego moc moja za słaba, a chęć oglądania matki, was, braci nazbytby mnie niepokoiła. A potem, jeśli podobna, chciałabym jeszcze raz skosztować odpocznienia w Bogu. Do tego potrzebna mi samotność z kim takim, którego Kocham, a kto może mnie więcej kochać od matki mojej? Myślę więc, że pójdę do matki. U matki będę miała już wiarę Alberta. Nie chcę i nie mogę wierzyć inaczej, jeno tak, jak on wierzył. Czy sobie przypominasz, com ci mówiła, że tylko trzy wypadki śmierci lub jedno urodzenie mogłoby mnie uczynić katoliczką? Było to przecucie, które Bóg urzeczywistnił, a niestety nie jeno w sposób radosny.“

Podczas, gdy się to działo w biednem sercu Alexandry, tyle posiadała odwagi, iż matce stanowczo oświadczyła, że teraz chce zostać katoliczką. W długim liście opisała jej, co się w ostatnim czasie działo z Albertem i z nią samą. Potem pisała tak: „A teraz, najdroższa matuchno, chcę ci całą mą duszę odsłonić, nie zataję ani

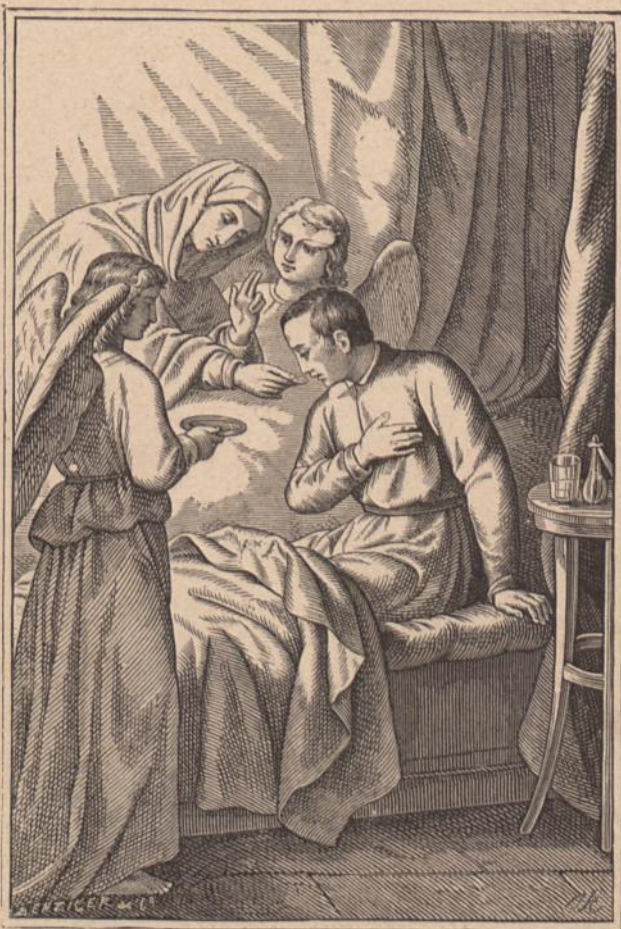
jednej myśli, ani jednego pragnienia. Czuję konieczną potrzebę należenia do tej religii, co mój Albert. Zapewniam jak najuroczyściej, że tę potrzebę i w tym stopniu uczułam dopiero od ostatnich dni tak strasznych. Ale i to chcę powiedzieć, że z miłości i przywiązania do ciebie aż do tej chwili nie chciałam się dać oświecić w wierze katolickiej, przeczuwając, że jest prawdziwą, więc będę musiała ją przyjąć, skoro bowiem znajdzie się coś lepszego od tego, co się dotąd znało, tedy jest oczywistym obowiązkiem przyjąć to lepsze. Gdyby ktoś musiał pozostawać w religii jedynie dla tego, że się w niej urodził, toby Żyd lub poganin nigdy nie powinien zostać chrześcijaninem. Miłość moja i cześć matki dziś bynajmniej nie mniejsza; wszelako czuję w sobie nieprzeparty pociąg do nawrócenia się, a równocześnie żywię to przekonanie, że mi przebaczysz, i że sama będąc w mojem położeniu, takbyś czuła, i tak sobie, jak ja, postąpiła. Ukochanemu mężowi, który może jeszcze pożyć kilka miesięcy, ale którego dni policzone, zgotować ostatnią tu radość, po raz pierwszy a może ostatni wspólnie z nim przyjąć Komunię świętą... o matko moja, serce twoje nie oparłoby się temu, gdy się sumienie nie przeciwi, albowiem za żadną cenę, nawet za cenę osłodzenia śmierci ukochanemu mężowi mojemu, nie chciałabym się wobec Boga dopuścić nieszczeroci. Byłoby to bowiem nieuczciwością, gdyby się bez przekonania, jedynie z miłości do kogobądź, przyjmowało jaką religię. Bądź o to spokojną, wierzaj mocno, że bez wewnętrznego przekonania nie uczynię; ale pozwól mi badać, pozwól oświecić się, a po tem stósownie sobie postąpić.“

„Gdy córkę swą owdowiałą obaczysz, zniesiesz niewątpliwie to, że jest katoliczką, i nie odtrącisz jej od swego serca macierzyńskiego. Ta córka będzie cię ko-

chała, kochała czulej, niż kiedykolwiek, religia jej nigdy nie będzie dla ciebie ciężarem. Kapliczka przyrządzona dla Alberta, będzie moją żalobną kapliczką, w której się za ukochanego męża i za wszystkich drogich sercu mojemu modlić będę. O matko najukochańsza! Gdyby religia katolicka tem jednym tylko przewyższała wszystkie inne, modlitwą za umarłych, jużbym jej za to samo przyznała pierwszeństwo; ależ i w wielu innych rzeczach ta wiara katolicka taka słodka i pocieszająca. Życie moje będzie tobie oddane. Jeśli zechcesz, dokonamy go razem. Mnie potrzebny pokój i odpoczynek.“

Alexandra już bez dalszej zwłoki uczy się teraz religii katolickiej. Jeszcze przed śmiercią męża chciała złożyć katolickie wyznanie, ale mu o tem nie mówiła. A tak on cierpiał podwójnie.

Tymczasem gasło życie tem widoczniej. Miało się atoli spełnić najgorętsze jego życzenie: umrzeć we Francji wpośród rodziny. Dnia 10 Kwietnia 1836 wyjechał z żoną z Wenecyi i 11 Maja stanął w Paryżu. W chorobie był jak najzupełniej zdany na wolę Bożą, z spokojem największym wyczekiwał końca. Jedno mu dolegało: Alexandra nie była jeszcze katoliczką. Dotychczas był dla niej Apostołem przez słowo i modlitwę; teraz stał się przez ofiarę życia i śmierci. W dniu 25 Maja napisał w swym pamiętniku: „O Panie, tak mówiłem dawniej do Ciebie we dnie i w nocy — spraw, żeby ona była moją. Daj mi to szczęście, choćby nad jeden dzień dłużej trwać nie miało: wysłuchałeś mię, o Boże, na co mi narzekać? Szczęście moje było niewypowiedziane, choć krótkie; ażeby zaś i druga część prośby mojej spełniła się, niechże to Boska wola Twoja sprawi, iżby Anioł mój wrócił na łono Kościoła, dając mi przez to pewność, że ją



Panie, w ręce Twoje oddaję duszę moją!

wkrótce obaczę, gdy się potem w niewysłowionej Twej miłości rozplywać będziemy.“

Alexandra widziała, jak pisał w pamiętniku swoim. Gdy się poszedł położyć, ona i siostra wzięły książeczkę i czytały powyższe słowa — takie przesłiczne. Co się w niej działo, tak opisuje:

„Jak wielkiem było wzruszenie moje, gdym z tych kilku wierszy wyczytała tyle miłości ku Bogu, tyle miłości ku mnie i tyle spokojnego oczekiwania śmierci! Jak-że straszną jeszcze przedstawiała mi się śmierć, w której oblicze miał spojrzeć! A jak-że często całowałam potem one słowa: „w k r ó t c e.“

Nie chcąc już dłużej pozostawiać męża w niepewności, dostatecznie przygotowana w religii, w cztery dni później, dnia 29 Maja 1836 w obecności Alberta i rodziny jego złożyła na ręce kapłana katolickiego wyznanie. Najgorętsze pragnienie Alberta przed śmiercią spełniło się. I co do niego czekał tylko, zdaje się, Bóg na tę godzinę, by przyjąć ofiarę jego.

Choroba pogorszyła się tak, że każdego momentu wyglądano rozwiązania. Arcybiskup Paryski pozwolił, żeby w pokoju odprawiała się, i to zaraz po północy, Msza święta, aby chory mógł naczeco przyjąć Komunię świętą. Dnia 5 Czerwea zaraz po północy — u łoża umierającego męża — Alexandra przyjęła swą pierwszą Komunię, a on ostatnią. W kilka dni potem dusza Alberta uleciała do Boga.

„Ojczę święty, nie tylko za nimi proszę, lecz i za tymi, którzy przez słowo ich uwierzą w Mnie, aby wszyscy byli jedno, jako Ty, Ojczę, we Mnie, a Ja w Tobie, aby i oni w Nas jedno byli, aby uwierzył świat, iżes Ty Mnie posłał.“

To słowo Boskiego Serca Jezusowego krótko po udzieleniu pierwszej Komunii świętej Apostołom w 18 wieków później przyniosło owoc u Alexandry i Alberta o północnej godzinie przy ich pierwszej i ostatniej wspólnej Komunii. Pierwsze nasionko tej modlitwy Bóg przed 13 laty złożył w duszy protestanckiej panienki. Wówczas, przy tej konfirmacyi w Berlinie w roku 1823 łaska Boska wzbudziła pierwsze w sercu jej wątpliwości co do prawdy Luterskiego wyznania. Pierwszym kielkiem tej łaski była dobra wola Alexandry, wola oddania szczęścia ziemskiego za dar wiary prawdziwej. A jakże przedziwnie odtąd wabiła, wołała, prowadziła ją miłość Dobrego Pasterza, Chrystusa! Przy pierwszej jej Komunii świętej dał jej spocząć u Serca Swego, i tak uczynił ją jedno w wierze i w miłości, jedno z Sobą i jedno z mężem. Teraz już może zacząć się nowe życie w Chrystusie Jezusie. To życie będzie zrazu słabiuchne, ale wnet shartuje się w wiernej ku Bogu miłości.

Niech to nam samaż Alexandra opowie.

„Komunia — tak pisze — z Albertem po raz pierwszy i po raz ostatni — on po raz ostatni, ja po raz pierwszy! Teraz zupełne zjednoczenie, i teraz zerwanie. Mój Boże, bez względu na to, jak nam dajesz, my musimy Ci dziękować, żeś dał, czegośmy oboje pragnęli. Świat, który nie rozumie żarliwości w wierze, bo ją uważa za nieszczeście, jakież świat może dać pociechy w cierpieniach? Zdaje mi się, że już przez samą ostrożność trzeba mieć mały zapasik lekarstwa na nieprzeliczone a tak częste cierpienia. Pojmuję, że można Boga kochać za mało; ale nie wolno mówić, że można Go kochać za wiele. Jedyna piękności, młodości, miłości! Ciebie chcę kochać, i chcę być od Ciebie kochaną, bo w Tobie nie ma niedoskonałości i nietrwałości. Tobie chcę służyć, albowiem Ty sam je-

den godzin, by Ci służono. Ach, Boże mój, są to myśli, które mi się same następują, ale serce nie rozgrzewa się w nich. Jest coś we mnie, co te słowa wymawia, i coś, co je odrzuca. Jest to głos, który mi mówi: Niech tak będzie! Ale ja nie kocham świętości, nie chcę być Świętą, boby to było nudno dla mnie; doskonałość, wieczność dla mnie rzeczy za wielkie, niepojęte, więc mnie nie pociągają. Daj mi, co niedoskonałe, co przemienne. Wy święci Nieba mieszkańcy, proście za mną, by dusza moja nie dopuściła się tej strasznej niedorzeczności, iżbym obierała złe, choć je za złe uważam, a odrzucała dobre, choć je za dobre uznaję. Coby powiedziano o człowieku, któryby znał truciznę, któryby bał się boleści, a jednak piłby truciznę? O Jezu, Tobiem oddała szczęście moje — Ty mi daj wiarę Twoją!“

Jezus wysłuchał tej modlitwy, dał jej wiarę, która ją uczyniła godną, by jak najszybciej doszła do Nieba.

Po śmierci męża Alexandra obrała sobie za przewodnika duchownego słynnego Jezuitę Ravnignana. Pytała go o radę, jak urządzić życie, aby się Bogu podobała. Nie wiedziała, czy wstąpić do klasztoru, czy pozostać w świecie. Zanim jej odpowiedział, chciał wpierw czekać, i modlić się, ażby Bóg i jemu i jej udzielił w tej sprawie oświecenia. Jak tylko poznał wolę Bożą, zaraz jej napisał. Dzielna dusza Alexandry jak olbrzym kroczyła na wskazanej drodze doskonałości; wnet odprawiła swą drogę i dobiegła do kresu.

Od śmierci Alberta, którego była zwobyczają, Alexandra oddała się całkiem Bogu, rozpoczęła życie pełne ofiary, i to życie miała zakończyć ofiarą. Młodziutka, wychowana w miękości, pociągająca urodą i wdziękiem, w najświetniejszych kołach pożądana, okryła się grubą żalobą. Wolna od obowiązków rodziny, od trosk żywota

i pretensyi światowych, w samym środku Paryża stworzyła sobie — pustelnię, w której żyła, jak w Nazarecie. Małeńka celka u zakonnice św. Tomasza z Wilanowa była jej mieszkaniem. Opuszczała ją jedynie, gdy szła do kościoła lub odwiedzała ubogich. Nie przyjmowała nikogo, prócz jednej i drugiej przyjaciółki. Wszystko, co posiadała, rozdała na ubogich. Z miłości bliźniego sama stała się tak ubogą, że w ostatniej chorobie, gdy jej najpotrzebniejszych rzeczy zabrakło, była zmuszoną prosić przyjaciółek o jałmużnę, z Panem swoim, Jezusem, dzieliła zaszczyt ubóstwa.

Jak życie, tak i śmierć miała być ofiarą.

Trudy i prace rzuciły O. Ravnignana na łożo choroby. Celem odzyskania sił lekarze posłali go późną jesienią roku 1848 do Rzymu. Alexadrze nie było tajno, jaką szkodę poniosłaby Francya z utratą takiego kapłana. Przyszła jej myśl, którą wyjawiała swemu dawniejszemu spowiednikowi, i którą za jego pozwoleniem w czyn zamieniła. Z własnego doświadczenia знаła skuteczność ofiary, wszakże łaskę wiary miała do zawdzięczenia ofierze życia męża swojego. Zawiera więc z Bogiem, Panem życia, umowę, oddaje siebie na ofiarę, prosząc, żeby O. Ravnignana zachował, przywrócił mu zdrowie dla dobra tyłu dusz. O. Ravnignanowi nie dała znać o tej swej ofierze. W Grudniu 1848 pisała mu do Rzymu, dziękując za wszystko, za wszystką miłość, i tak zakończyła list swój: „Ach, mój ojcze, jak dobrą będzie wieczność. Tu na ziemi tyle smutków, że dziw, jak można się choć nieco w duszy radować. Pobłogosław mi, ojcze, a niechaj Bóg i tobie i tyłu innym zapłaci za wszystko dobre, coście dla duszy mojej uczynili, co czynią wciąż i jeszcze czynić będą.“

Były to ostatnie słowa. W połowie Lutego nastę-

pnego roku Alexandra już się rozstała z tym światem. O. Ravignan wrócił do zdrowia i dziewięć lat jeszcze pracował na chwałę Bożą. Na wiadomość o śmierci Alexandry napisał o niej w liście jedynie te słowa, jakby napis na grobie:

„Tej duszy pełnej tyle miłości i poświęcenia będzie nam wielki brak przy wielu dobrych uczynkach. Ach, ona zawsze była tak bardzo gotową do ofiary! Moznaby powiedzieć, że pragnienie czynienia dobrze pożerało ją. Gdybyśmy chcieli odgadnąć przyczynę tej straty dla ziemi, to nie zapominajmy, że Bóg umie sobie wybierać na ofiarę dusze największą gorejące miłością.“

Nie potrzeba ani jednego słowa więcej przydawać.



ROZDZIAŁ IX.

Nawrócony profesor.

Bóg cierpliwy, bo wieczny — powiedział słynny mędrzec starożytny. Ponieważ wieczny, więc nie potrzebuje się spieszyć, może czekać i czyni to najchętniej, gdy chodzi o nawrócenie się duszy. Przykład i dowód tego znajdziem w jednej gazecie z roku 1873, z dnia 31 Marca, w której naoczny świadek taki wypadek opisuje:

„Z prawdziwą serca radością podajemy tu opis aktu, który łaska Boska w oczach naszych zdziałała. Wiekuiste dzięki Panu, który nigdy niewysłowioną dobroć Swoją raczył przed oczyma naszemi w tak chwalebny sposób okazać, wysłuchał modlitwy i wzdychania tylu dusz pobożnych za jednego zbłąkanego zpośród braci.

„Józef Medeotti, urodzony w Gorzycach w Marcu 1849, do 18 roku życia wzrósł w zasadach chrześcijańskich. Ukończywszy gimnazjum, udał się do Wiednia na uniwersytet celem słuchania tamże wykładów o literaturze. W roku 1872 otrzymał posadę przy gimnazjum w Rudolfswerth. Nie długo atoli sprawował tam swój urząd: zachorował na suchoty, i ta choroba zwolna wyczerpywała siły jego żywotne. Na początku Marca musiał wrócić do rodziców.

„Ponieważ choroba nadzwyczaj szybko się rozwijała, odwiedził go dobrze mu znajomy duchowny, by mu przypomnieć obowiązki religijne. Po kilku słowach wstępnych rzecze kapłan:

— Józiu, choroba twoja niedobra. Nie trap się, miej ufność w Bogu!

— Ej, co mi tam — śmierć to rzecz najpiękniejsza na ziemi.

— Pewnie — rzecze kapłan — śmierć chrześcijańska to rzeczywiście coś pięknego.

— Zależy to od tego, jak się kto na śmierć zapatruje — przerwie chory. — Co do mnie, przyznam ci się, szczerze, że w nie nie wierzę.

— Przecież wierzysz przynajmniej w Boga?

— I w to nie — odpowie chory.

Duchowny przekonał się, że ma przed sobą nieszczęśliwego, który wszystką wiarę utracił. Powiedziawszy jeszcze kilka słów, kapłan odszedł, nie chcąc męczyć chorego, ale zapowiedział, że go jeszcze odwiedzi. Jakoż odwiedził go jeszcze kilka razy, ale wszystkie usiłowania spełżyły na niczem. Nieszczęsny profesor zatwardzał się coraz bardziej w niedowiarstwie swoim; powtarzał, że nie wierzy ani w Boga, ani w duszę, ani w życie po śmierci. Drwił z wszystkiego, co święte, mówił, że jako człowiek wykształcony za nic sobie ma zabobony, a to przekonanie wyrobiła w nim nauka i wiedza.

Duchowny zawezwał pomocy kilku osób pobożnych w tej nadziei, że to może prędzej przełamać upór i zatwardziałość bluźniercy. I ta nadzieja zawiodła. Jedna z osób prosiła chorego, by sobie przynajmniej medalik Niepokalanego Poczęcia zawiesił na piersi. Jeśli mi podasz medalik — zakrzyknął chory — to go pogryzę zębami i rzucę na ziemię. Inna podała mu krzyżyk do pocałowania, a suchotnik zebrawszy wszystkie siły, rzucił się na nią i wypchnął za drzwi.

„Tak tedy nieszczęsny człowiek ponowił oną pogardę, którą Żydzi okazali Jezusowi przed Pilatem, wołając: „Precz z Nim — ukrzyżuj Go! Ale jak wówczas Pan Jezus nie ustawał cierpieć i ofiarować się za nieprzyjaciół,

tak i teraz chciał tego chorego niedowiarka pociągnąć do Siebie.

„Wieczorem dnia 13 zdawało się, że choroba się przesila. Strapieni rodzice kazali przywołać kapłana, który też przybył natychmiast. Pozdrowiwszy uprzejmie cho-



rego, przystąpił od razu do głównej sprawy. Chory na wspomnienie o Panu Bogu, o Sakramentach w taką wpadł wściekłość, że pochwywszy szklankę, chciał ją rzucić na kapłana. Kapłan próbował ulagodzić go, więc rzekł: „Na Boga, czyś ty jeszcze chrześcijanin? — „Nie, nie jestem chrześcijaninem“, wrzasknął chory, idź mi precz z takimi rzeczami, a nie pokazuj mi się więcej na oczy.“

„Choć z ciężkiem sercem kapłan odszedł. Z tego wszystkiego można się było domyślać, że nieszczęśliwy profesor dostał się w sidła jakiego tajnego Towarzystwa, zwłaszcza, że jednemu swemu krewnemu polecił, aby po śmierci przygotował czarny pal, na nim postawił kulę z kompasem, a przy pogrzebie niesiono to miasto krzyża.“

„Jakkolwiek wszystkie usiłowania zawiodły, wiele pobożnych osób nie ustawało zanosić za nim gorących modłów do Boga. Modlono się przez całą oktawę do św. Józefa, w wielu domach do Najśłodszego Serca Jezusowego i Najświętszej Panny, uciezki grzeszników; modlono się z wielką ufnością i wytrwałością.

„W uroczystość Zwiastowania Najświętszej Panny odwiedził chorego kapłan jeden uczony; chciał mu wybić z głowy uprzedzenia, które go tak strasznie zaślepiły. Ale i jemu nie udało się: kto wszystko zaprzecza, z takim nie można wcale dysputować. Prosił więc chorego, by odmówił jedno Zdrowaś Maryo, choć nie z przekonania, to niechby z przyjaźni do niego. — „Nie, tego nie uczynię“ — odrzekł z gniewem chory.“

„Już nie wiadano, co począć.“

„Tymczasem jednej krewniaczce udało się włożyć niepostrzeżenie pod poduszkę medalik Niepokalanego Poczęcia i medalik świętego Józefa. Inna osoba krótko przed tem włożyła mu również pod poduszkę obrazek Najśw. Panienci. Osoby pobożne rozpoczęły Nowennę do Serca Maryi. W środę dnia 27, ci co odwiedzili chorego, dostrzegli, że niejaka zmiana daje się widzieć na lepsze. Nazajutrz przybył kapłan: pyta, jak się miewa, a potem rzekł: „Całe miasto modli się za ciebie.“ Chory podziękował jakoś wzruszony.

„Po odejściu kapłana wdał się w rozmowę z ojcem swym, i prosił o księdza, bo się chce wypowiadać.

„Łaska, która odniosła już zwycięstwo nad chorym, dopomogła dalej do przyjęcia Sakramentu Pokuty.

„Równocześnie rozeszła się po mieście radosna nowina. Niektóre osoby pobożne udały się zaraz do kościoła, aby uprosić ostatnią łaskę. Modlono się długo przed Najświętszym Sakramentem, przed obrazem Matki Boskiej i świętego Józefa. Wtem przybywa kapłan po Ciało Pańskie, po Wiatyk dla chorego. Wzruszenie ogromne ogarnęło wszystkich, modlono się, płakano, wylewano łzy radości. Wszyscy obecni towarzyszyli kapłanowi z Panem Jezusem do domu chorego. Zanim przyjął Ciało Pańskie, prosił o przebaczenie, odmówił głośno akty żalu. Po przyjęciu Wiatyku uspokoił się. Gdy kapłan przybył i pozdrowił: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“ odpowiedział: „Na wieki wieków Amen!“ Rano nazajutrz przyjął ostatnie Olejem Namaszczenie i błogosławieństwo Ojca św. O drugiej godzinie po południu przywołano kapłana, by mu asystował w czasie konania. Jeszcze raz poprosił o absolucję, ucałował krewnych i kapłana, czyniąc zadość za wszystkie zelżywości.

„Przez mały kwadransik ścisnął mocno krzyżyk w rękę, zatapiając wzrok w ukrzyżowanego Jezusa — i tak oddał ducha, pozostawiając nas w słodkiej nadziei, że znalazł u Boga miłosierdzie.“

*

*

*

Co to za wielki skarb ta dusza człowiecza! Ten profesor niejako gwałtem odpychał od siebie Boga, który go wzywał do Siebie przez służbę Swego kapłana; a jednak Pan Jezus nie opuszcza go. Jakby nie słyszał tych zniewag wszystkich, nie widział tej w sercu jego nienawiści. Pan Jezus patrzy tylko na oplakany stan duszy.

I tu znowu sprawdza się słowo Boże: „Chwalebne zmiłowanie Boże w czasie ucisku jako obłok deszczu w czasie posuchy.“

Im to sobie lepiej rozważysz, tem miłościwszym ukaże ci się Zbawiciel, tem więcej będziesz podziwiał i wysławiał Serce Jego, i tem więcej będziesz ufał. Jednak że trzeba o jednym pamiętać.

Wiadomo, że dyabeł niemało biegły w Piśmie; wszakże z słów Pisma św. umiał zrobić sieć, aby samegoż Jezusa usidlić. Tak czyni i z oną pocieszającą prawdą o miłosierdziu Boskiem: miłosierdzie Boskie maluje jako nieskończone bez granic, maluje tak, jakby zgoła nie potrzeba się lękać sprawiedliwości Boskiej. Jak to wielkie kłamstwo dyabelskie, dowodem tego ogień w piekle, w którym płaczą i zgrzytają zębami ojciec kłamstwa i przyjaciele jego.

Owóż spamiętaj sobie: Pan Bóg ofiaruje każdemu miłosierdzie Swoje, ale kto w nadziei tego miłosierdzia grzeszy, tego czeka niechybnie sprawiedliwość, zaś wpaść w ręce tej sprawiedliwości, straszna to rzecz. „Pójdź do mnie!“ Tak woła miłosierdzie, tak woła sprawiedliwość, a ty — wybieraj!



ROZDZIAŁ X.

Nawrócenie jednej pani w Anglii.

Już to największy nierozum wojować z Bogiem. Onym Żydom zdawało się, że muszą wygrać sprawę z Jezusem: ukrzyżowali Go, na grobie położyli wielki kamień i urzędowe pieczęcie, ciesząc się niezmiernie, że się wszystko tak dobrze udało. Ale dnia trzeciego — ach, co za sromota, co za gniew, co za przerażenie, gdy się oto od straży dowiadują, że ten umarły Nazarejczyk zmartwychwstał. Gdybyż przynajmniej teraz byli uwierzyli słowom Jezusowym, byłoby się wszystko na ich dobro obróciło. Ale nie, oni jeszcze więcej zatwardzają się, pewni, że z uczniami i wyznawcami Jezusowymi dadzą sobie radę. I tak rozpoczyna się pierwszy — „kulturkampf“, pierwsze prześladowanie Kościoła. Odznaczył się przed innymi uczony jeden Faryzeusz — Szawel. Ten Szawel nie wstydzi się okazać swej kultury przez odgrywanie roli szpiega, urządza naganę na chrześcijan. Wiadomo, jaki był koniec: Pan Jezus zrzuca go z konia, czyni ślepym na czas niejaki, zapowiada mu co gorszego jeszcze, jeżeli się nie upamięta. W mowie Swojej Pan Jezus używa doskonałego podobieństwa o wierzganiu na przeciw ościeniowi. Na Wschodzie, gdy bydlę uparte iść nie chce, gospodarz bodzie je z tyłu ostrym kolcem ościenia. Głupie bydlę odwierźnie, przez co tem gorzej się kaleczy. Tak samo — mówi Pan Jezus do Szawła, będzie i z nim, jeżeli nie przestanie Go prześladować w wyznawcach Jego: „Trudno tobie przeciw ościeniowi wiergać.“ Szawel pouczony własnem doświadczeniem pozbył się swej niemądrej hardości, poszedł za głosem Jezusa,



„Szawle, Szawle, przecz Mię prześladujesz.“

(Dz. Ap. XI, 4).

a ostatecznie stanęło na tem, że pośród wszelkich utrapień i ucisków, ponoszonych dla Jezusa, cieszył się niewysłowionym pokojem serca i wziął koronę wiekuistego żywota.

Podobnie uczynił Pan Jezus z jedną niewiastą: bódł ją jakoby ościeniem, kazaniem jednego katolickiego kapłana, potem przez przyjaciółkę, wreszcie przez protestanckiego pastora, żeby się na drogę zbawienia nawróciła. Długo ta niewiasta wierzyła naprzeciw ościeniowi, aż przecie pojęła, że lepiej iść za Jezusem.

* * *

Przed czterdziestu laty żyła w Dublinie, stolicy Irlandyi, niewiasta nazwiskiem Fanny Pittar, zabita protestantka. Nigdy jej ani na myśl nie przyszło, żeby kiedykolwiek miała zostać czem innym. Tak mocno była przekonana, że jej wiara jest prawą drogą do Nieba, iż innej szukać uważała za największy nierozum. O wierze katolickiej tyle tylko wiedziała, że to śmiertelna trucizna i zguba oczywista: tak ją nauczano za młodu, tak słyszała na kazaniach, i tak czytała w swych książkach.

Jeżeli protestant w Anglii chce wiedzieć, jakie jego kościół podaje artykuły wiary, może się o tem z trzech książek dowiedzieć: z Biblii protestanckiej, z 39 artykułów wiary, ułożonych przez rząd, i z tak zwanej „powszechnej książki do nabożeństwa“, którą się duchowni tamtejsi przy nabożeństwie muszą posługiwać. Ta książka do nabożeństwa — rzecz dziwna! utworzona jest niemal wyłącznie z starych ksiąg katolickich, w których mowa o wierze, o Sakramentach, o zwyczajach i przepisach katolickiego Kościoła, w co protestanci wcale nie wierzą i niejedno za prosty uważają zabobon, np. posypywanie w Popielec głowy popiołem, posty, uroczystości Najśw. Maryi Panny, spowiedź i rozgrzeszenie. Trudno pojąć,

jak taka książka od trzystu lat może być w używaniu, skoro się z wiarą protestancką wcale nie zgadza. A jednak używają jej i modlą się na niej do dziś dnia. O tej książce będzie jeszcze mowa w opowiadaniu o pani Pittar.

Mąż tej pani był to sobie poczciwy kupiec angielski, również protestant. Większą część życia spędził daleko od kraju, w Indyach. Żona jego miała dobrą przyjaciółkę w wielkiem mieście, w Edynburgu. Ta przyjaciółka była przed tem również protestantką, ale w roku 1841 nawróciła się, ani słówkiem nie wspominając o tem przyjaciółce. Krótco po swem nawróceniu zaprosiła ją do Edynburga. Pani Pittar niemal równocześnie dowiedziała się była od swego brata o jej przejściu na katolicyzm.

„Była to — pisze p. Pittar — smutna dla mnie wiadomość. Jednakże nie dziwiło mnie to zbyt, gdyż u przyjaciółki pod lekką powierzchownością czułam gorącość duszy i tkliwość serca. Nie trudno mi było uwierzyć, że ją pociągnęła zewnętrzna piękność katolickiej religii, atoli nie mogłam sobie wytłomaczyć, czemu mi o tej zmianie wiary ani jednym słówkiem nie doniosła. Przypuszczałam tedy, że się wstydziła swego kroku i czuje potrzebę rozmówić się ze mną ustnie. W tej myśli znalazłam od razu uspokojenie; za radą krewnych postanowiłam przyjąć zaproszenie. Zresztą byłam pewną, że skoro ją interesowała sprawa Boża i religii, nie łatwiejszego, jak ją do dawnej wiary nawrócić, a wiarę tę uważałam za najczystszą i najlepszą, przyjaciółka zaś dla swej niejakiej plochości ducha pewnie nie umiała jej nigdy należycie ocenić. To przekonanie nie tylko najżywsze obudziło nadzieje, ale nad to wizycie mojej nadawało pozór jakiegoś świętego przedsięwzięcia. Pragnąc, by misya moja przy Boskiem błogosławieństwie jak najlepiej się

powiodła, starałam się do tego zadania, do którego mnie Bóg powoływał, przygotować się jak najgodniej. Obralam sobie protestanckiego duchownego, zajrzałam do Biblii, szukając takich wyroków, któreby jasno wykazywały zabobonność nowej religii. Czytałam uważnie najlepsze wywody naprzeciw katolicyzmowi, słowem, przygotowałam się jak najstaranniej, by przyjaciółkę przekonać o jej nierozumie i błędzie. Wreszcie pojechałam. Prosiłam Boga, iżbym się mogła stać w Jego ręku narzędziem w nawróceniu tej duszy zbląkanej.“

Możnaby mniemać, że żadne serce protestanckie nie może być od katolickiego Kościoła bardziej dalekiem, jak serce p. Pittar. Ależ Aniołowie nad stajenką Betleemską śpiewali: „Pokój ludziom dobrej woli!“ Taką dobrą wolę ratowania duszy miała p. Pittar. Ta dobra wola podobała się Panu Jezusowi. Modlitwę jej bierze Sobie do Serca, ale przekształca ją tam na jej dobro: prowadzi niewidzialnie i zwolna tam, gdzie po raz pierwszy nadarzy się sposobność dowiedzenia się, że religia jej jednak nie taka pewna, za jaką ją uważała.

Pani Pittar stanęła w Edinburgu u przyjaciółki. Czeka cierpliwie okazji, by plan swój wykonać. Niech-że teraz ona sama opowiada:

„Wmówiłam w siebie, że i bez pomocy książek, które z sobą zabrałam, znam doskonale katolicką naukę wiary. Zresztą tyle o niej słyszałam, by wiedzieć, że to nauka fałszywa i wprost bezbożna. Osoby, które nierównie więcej ode mnie posiadały wykształcenia, tak się o niej wyrażały pogardliwie, tak ją lekcewały, że mogłam ją uważać za system zgubny i dla dusz zabójczy. Wprawdzie osobiście ani razu nie przekonałam się; jednakże przekonania moje były to przekonania wszystkich, z którymi o tej sprawie mówiłam, musiałam więc uwa-

zać je za najpewniejsze. A należy dodać i to, że o wierze katolickiej czytałam takie rzeczy, iż byłam pewną, że skoro to drukowane, musi być prawdą, albowiem autorami byli znakomici protestancey pastorowie.

„Dnia jednego nastąpiła się rzeczywiście sposobność rozmówienia się z przyjaciółką o fatalnym kroku, który uczyniła. Poczęłam jej tedy na palcach wyliczać fałszywe nauki, które uważałam za nauki katolickie. Przyjaciółka słuchała do końca cierpliwie zarzutów; poczem z spokojem, ale i z mocą powiedziała, że co mówiłam, to wcale nie jest nauką katolicką, i że mi to na życzenie udowodni.“

Takiej odpowiedzi nie spodziewała się p. Pittar. Rozumiała, że przyjaciółka tych nauk będzie bez wszystkiego bronić, zaczęłam więc łącznie jej nierozum i obłąd katolicki wykaże. Otóż ku zdziwieniu swojemu słyszy, że tak Kościół katolicki zgola nie uczy i nie wierzy.

Zrazu nie dała poznać swego wzruszenia. Tą razą skończyła się na tem rozmowa; ale dla łaski Boskiej był to dobry początek. Pani Pittar pomyślała sobie, że albo przyjaciółka nie zna dobrze swej wiary, albo onaż sama źle była w młodości pouczoną. Co z tego dwojga prawdą, do dowiedzenia się, o tem Najśłodsze Serce Jezusowe nastąpiło jej niebawem okazywać. Tym końcem posłużyło się właśnie katolicką przyjaciółką w sposób bardzo prosty a wielce skuteczny.

Pani Pittar chodziła w Edynburgu pilnie na protestanckie nabożeństwo co Niedzielę, bo jak wiadomo, w dni powszednie kościoły u nich zamknięte. Tym sposobem słyszała kazania wszystkich tamtejszych duchownych swojej religii.

Dnia jednego poczęła się uzalać przed przyjaciółką, że się jej żaden z pastorów nie podoba. Tamta zapytała

się, czyby się odważyła usłyszeć katolickie kazanie. Pani Pittar miała, jak sama wyznaje, dosyć odwagi. — „Aby przyjaciółce pokazać, jak pewną moja wiara, że słowa katolickiego kapłana nie potrafią zachwiać tej wiary, przystałam chętnie na jej propozycję. Zresztą musiałabym się wstydzić, gdybym się lękała, że katolickie kazanie może przekonania moje obalić.“

Wybrały się tedy obie do kościoła, a było to krótko przed Wielkim Postem. W kościele miał kazanie Wikaryusz Apostolski wschodniej Szkocyi, Gillis, Biskup pobożny i uczony. Kazanie rozpoczął od tego, że rozłożył na ambonie dwa kalendarze, i począł z nich czytać: był to kalendarz katolicki i kalendarz protestancki z Edinburga. Pani Pittar ucieszyła się w sercu, myśląc sobie: „Ot, najlepszy dowód, jak źle z katolikami, kiedy miasto słowa Bożego przynoszą na ambonę kalendarze.“ Słuchała uważnie, jak Biskup z katolickiego kalendarza odczytuje imiona Świętych Pańskich w miesiącu Lutym, następnie rozmaite nowinki i wiadomości z protestanckiego kalendarza. Przytoczę tu pare takich nowinek:

1 Lutego: Otwarcie rybołówstwa w północnej części rzeki Tweed. 2 Lutego: Koniec polowania na kuropatwy i bażanty. — 3 Lutego: Sześćdziesiątnica. — 4 Lutego: Oczyszczenie Najśw. Maryi Panny. — 5 Lutego: W roku 1790 umarł Dr. Gallen. — 21 Lutego: Śmierć króla Jakóba w roku 1437.

Skończywszy to czytanie, Biskup przeszedł do swego kazania. O czem mówił, opowie nam pani Pittar:

„Biskup zaczął od tego, że jak rejestr książki wskazuje treść jej, tak kalendarz wykazuje zwyczaje i obyczaje ludu lub miasta, w którym drukowany. W katolickim kalendarzu każdy dzień poświęcony Bogu przez świętą jaką lub pobożną pamiątkę. Kościół katolicki ka-

żdego dnia otwarty, każdego dnia zaprasza wiernych do jednoczenia się z sobą, by obrażonemu majestatowi Boskiemu ofiarować najświętszą ofiarę Jezusową, który się za nas na krzyżu ofiarował. Każdego dnia i ostatni katolik może w tej ofierze i przez tę ofiarę ofiarować Bogu życie swoje, prace swoje, miłość swoją. Ach, jak-że to wszystko przemawiało do serca mojego! Jak odpowiadało potrzebom moim, jak zdawało się zaspokajać pragnienia moje! Ale ten, który to mówił, był katolikiem; to wystarczało, by wierzyć, że pod pokrywką tyla dobroci i słodyczy kryje się coś niedobrego. Następnie Biskup dotknął żywotów Świętych, umieszczonych w kalendarzu, a o których ja wtedy nic nie wiedziałam. — Mówił, ile chwały i czci przyczynili Bogu przez to, że słabe i ułomne same z siebie stworzenia, ale łaską Boską pokrzepieni, potrafili raczej wszystkie męki wycierpieć i śmierć ponieść, niżeli zaprzeć się wiary drogą krwi Jezusowej ceną nabytej. Przydał kilka słów o enotach, któremi każdy z nich jaśniał; wspomniał o ich umartwieniach, postach, bogomyślności, wreszcie o ich bezgranicznej miłości bliźniego. Opowiedział pokrótce przedziwne, nadludzkie czyny, które o wielu z nich zapisała historia, a które pokazują, że Bóg nie tylko chce, lecz owszem zazdrośnie czuwa, by się świat dowiedział, jak wiernymi sługami Bożymi byli Święci na ziemi, i jak modlitwą swoją dokonali dzieł, którychby człowiek bez pomocy jego nigdy dokonać nie zdołał.

„Po małym przestanku wrócił do protestanckiego kalendarza.

„Otwarcie rybołówstwa w rzece Tweed.“ Jest to doniesienie czysto materyalne, które samych tylko rybaków i tych, co lubią ryby, może obchodzić. — „Koniec polowania na kuropatwy i bażanty“ — wiadomość smutna

dla myśliwych i smakoszków.“ — Po tem — „Oczyszczenie Maryi Panny“ — poco donosić o obrzędzie czy uroczystości, której Kościół protestancki wcale nie obchodzi, i dla czego zwać Pannę Maryę świętą, kiedy za to właśnie natrzęsają się z katolików? — Po tem mówił o Popielecu.

„Popielec — powtórzył — co to znaczy? Jeżeli katolik chce się dowiedzieć, niech idzie do kościoła; tam mu powiedzą, że jest proch i w proch się obróci. Tam mu głowę posypią popiołem, by, co słyszał, czuł, wierzył, że tak jest, nie tak, jak inni, co wszystko czynią, aby o tem zapomnieć. Gdy ułomność i nędzę swoją pozna i zrozumie, pokażą mu, jak przez pokutę można gniew Boski uśmierzyć. Będzie się bez wątpienia do wielu nieprawości poczuwał, ale Kościół, jak czuła matka, upomni go do wytrwałości w modlitwie, pouczy go, zada mu pewne posty, których potrzebę ukazuje świadectwo całego Pisma świętego, począwszy od Starego Zakonu aż do przykładu Jezusa Chrystusa i Świętych.

„Protestant, jeżeli tu jest który i słyszy co mówię — słuchała go pani Pittar z wielkiem wzruszeniem, — co protestant usłyszy w swoim kościele o popiele i o pokucie? Ach, tam nie powiedzą mu nic zgoła o przykazaniu postu i pokuty, bo duchowny jego nie będzie śmiał, choćby i umiał, dawać mu przepisów, których sam nie zachowuje; pominą to milezeniem, chociaż przecie Zbawiciel nasz pościł i post przykazał. O biedny ty, protestancie, zastanów się nad tem i pytaj samego siebie, czemu Kościół twój w tym dniu otwarty, czemu w twej książce do nabożeństwa jest mowa o Popielecu, kiedy to nic więcej, jeno puste słowo bez znaczenia.

„Chcesz poznać przyczynę, to ci ją wskażę: Ona książka nie jest napisana dla ciebie, dla twego Kościoła,

ona wzięta od nas, od katolików, wzięta z naszego Mszału. Za czasów tak zwanej Reformacyi lękano się zbyt wiele z naszych Świąt opuścić, zatrzymano niektóre celem uspokojenia sumienia tych, co woleli na nową drogę wstąpić, iść nową drogą wygodniejszą, na której nie spotka się przestarzałych rzekomo Faryzejskich przepisów i tyle rzeczy niemiłych, jak spowiedź, post itd. Ależ poczekajcie: i te ostatnie zabytki katolicyzmu poznoszą, jak to już uczynili Metodyści i Presbyteryanie, zabytki, które w urzędowym Kościele państwowym pozostały jako upomnienie — i ty, protestancie, możesz sobie spać spokojnie, aż się przebudzisz — ale gdzie?! Ach, tak, gdzie?

„Chodzi o to: Czy post, czy spowiedź pochodzi od Boga. Biblia twoja i twoja książka do nabożeństwa dają ci odpowiedź, doradzają i polecają. Jeżeli post i spowiedź potrzebne katolikowi, toć przecie i tobie potrzebne. Więc myśl o tem i czuwaj, abyś, gdy Oblubieniec przyjdzie, nie był wykluczony od wieczerzy jako niemający szaty godowej. Idź, idź w Popielec do twojego kościoła, a potem powiedz, czyś się stał lepszym przez słowa twojego duchownego. Dzień ten masz naznaczony w twoim kalendarzu i w twej książce, więc masz prawo żądać wyjaśnienia, dla czego P o p i e l e c zapisany, a czemu nie o nim nie mówi.“

To żywe i gorące kazanie szło prosto do serca naszej gorliwej protestantki. Nie mogła zaprzeczyć, że kaznodzieja w wielu punktach ma słuszość; ale co jej najwięcej miało wyjść na zbawienie, to to: spostrzegła, że istnieje wyraźna sprzeczność między nauką katolicką a nauką protestancką, że więc obie nie mogą być prawdziwe, tylko jedna z nich. To spostrzeżenie było dla niej czemsi nowem, mocno ją zaniepokoiło, choć tego nie dała poznać po sobie. Chciała się poradzić swojego du-

chownego, w Popielec pójść do kościoła swojego. Była przekonana, że tam znajdzie oświecenie, i tedy katolickiemu kaznodziei pokaże, jak grubo się myli.

Popielec nadszedł. Pani Pittar poszła skwapliwie do domu modlitwy. Znakomity protestancki kaznodzieja rozpoczyna kazanie, prawi i prawi bez końca, aż wreszcie skończył — o „Popielcu“, o popiele, o poście ani słówka. To było jak grom z pogodnego nieba dla naszej zaciętej protestantki. Co do tego więc kaznodzieja katolicki miał jak najzupełniejszą rację. A może on ma rację i w innych, a może i we wszystkich punktach — cóż tedy będzie?

Pani Pittar czuła, że tedy w niej i z nią musi zmiana nastąpić. Ale wpieryw trzeba jednak światła zasięgnąć. Czeka, aż predykant opuścił ambonę — idzie do niego, choć go osobiście wcale nie znała, prosi o pouczenie, chce z ust jego słyszeć, co ma swej przyjaciółce odpowiedzieć. Pisze o tem samaż tak:

„Predykant ujął mnie, jak dobry przyjaciel, za rękę, prośbę moją przyjął łaskawie, żem sobie jak najlepiej tuszyła. Utkwiwszy wzrok we mnie, rzekł: „Pani wiadomo zapewne, że nas protestantów takie rzeczy, jak popiół, świece, krzyże itd. zgoła nic nie obchodzą.“ — „Wiem“ — brzmiała moja odpowiedź. — Otóż — mówił — dzień ten to tylko prosta nazwa, nic więcej, a mówiąc szczerze, nie powinienby stać w naszej książce do nabożeństwa, jak tyle innych rzeczy wcale niepotrzebnych.“

„Słyszac to, cała struchlałam. Stał mi od razu żywo przed oczy katolicki kaznodzieja. Niepokoiła mnie myśl, że wiara moja, której strzegłam jak najdroższego skarbu, ostatecznie może nie ma żadnego fundamentu. Zapytałam znowu: „A czy mogę to powiedzieć mojej przyjaciółce?“ — „Ach, nie. rzekł żywo, powiedz jej,

pani, że ponieważ popiół jest znakiem pokory, dzień ten zowie się *P o p i e l e c e m*, by nam przypominać czas, w którym w poście i modlitwie mamy się korzyć przed Bogiem. — „Post! Post! — zawołałam mocno wzruszona i pomięszana. Jam tylko raz w życiu pościła, gdy królowa post nakazała. Gdybym mówiła o poście, tożby to był tryumf dla przyjaciółki, boć przecie wiadomo, że my nie pościmy.“

„Ach, kochana pani, to inne pytanie; ale że cię to zdaje się niepokoić, to jej nic nie wspominaj o poście.“

Po tem przyciągnął mnie za rękę, którą wciąż trzymał w swojej ręce, bliżej do siebie — muszę tu nadmienić, że nigdy jeszcze nie spotkała tak uprzejmego duchownego — i prawił dalej, patrząc mi śmiało w oczy. Wiesz, pani, rzekł — że temu słowu „*p o s t*“ można rozmaite nadawać znaczenie, i wiesz również, że wiele dobrych protestantów pości; że insi, którzy tego nie czynią, lub nie mogą, poszczą „*w d u c h u*“, a Bóg, który sam jeden patrzy w serce, przyjmuje tę dobrą wolę. Ale że duch nie zdaje się być zupełnie mocnym, radzę nie używać wcale tego słowa, lecz poprostu powiedzieć, że mamy się upokarzać przez modlitwę.“

„Czy to wszystko?“ zapytałam, nie mogąc nic więcej wymówić.

„Gdym otworzyła oczy, spojrzenie moje spotkało się z jego spojrzeniem, które skierował na mnie z wyrazem niepokoju i obawy. Przypuszczam, że z twarzy mojej wyczytał niezadowolenie. Ujął mnie znowu za rękę, ujął mocno w obie ręce i rzekł z wielką powagą: „Pozwól, pani, że jej zupełnie nieznanym, powiem, jak zgubnym jest wpływ katolickiego towarzystwa: unikaj go więc, wierząc mi, z tego towarzystwa nie będziesz miała

najmniejszego pożytku, chyba samą szkodę tylko odniesiesz.“

Na tem zakończyła się rozmowa.

Pani Pittar wróciła smutna i przygnębiona do domu. W sercu jej obudziły się rozmaite wątpliwości, a obcowanie z przyjaciółką wywoływało nowe niepokoje. Ta bowiem od czasu swego nawrócenia się zmieniła się zupełnie: była spokojną, poważną, co przecież nie mogło być skutkiem i owocem obłądu. W tem swoim zaniepokojeniu pani Pittar wstawiała w siebie, że pewnie jej protestancki duchowny nie był dość oświeconym, że insi z pewnością lepiej jej wszystko wytłomaczą. Wybiera się więc nazajutrz do tych innych pastorów, znanych jako pierwszorzędných znakomitości. Ale i ci nie umieli jej nic lepszego powiedzieć. Nie mogła uwierzyć, żeby to było winą jej Kościoła — co tedy pocznie?

Pani Pittar odwiedzała znowu przyjaciółkę, ale że ta na jej zarzuty nie odpowiadała, zaczęła okrutnie wymyślać na katolików. Innowiercy mają o wierze naszej tak dziwne wyobrażenia, że aż się śmiać z ich nie wiadomości. Tak było z panią Pittar. W książkach swoich doczytała się rozmaitych niedorzeczności o katolikach, i temi niedorzecznościami uzbrojona chciała wojować z przyjaciółką.

„Pierwszy zarzut — tak opowiada — jakim zaczęłam przyjaciółkę, był ten, że katolicy papieża uważają za nieomylnego, a więc i niezdołnego grzeszyć; że go zwiążą Bogiem; że mu przypisują, co według Pisma św. samemu tylko Jezusowi się należy. Ku wielkiemu zdziwieniu mojemu odrzekła mi spokojnie, ale stanowczo, że tak Kościół katolicki nie uczy i nigdy nie uczył; że papież bynajmniej nie jest wolnym od grzechu; że się sam w pozuciu swej niegodności upokarza, spowiada się u stóp za-

konnika; że nie może odprawić Mszy świętej bez Confiteor, przyznania się do winy wobec Boga, i że w pokorze prosi Pana Boga o odpuszczenie tak samo, jak każdy kapłan, zanim spełni najświętszą Ofiarę.

„Czułam się zawstydzoną i tonem łagodnym, i tem, co mówiła. Nigdy nie pomyślałam, żeby księży musieli się spowiadać; spowiedź uważałam za jarzmo narzucone ludowi, by go tem łatwiej utrzymywać w niewoli. Opuściłam zaraz to pole, wstąpiłam na insze, które uważałam za pewniejsze, by z równą, jeśli nie większą pewnością przytoczyć znaną rzecz, że Kościół katolicki zabrania ludziom czytać Pismo święte, i jak wiele złego musi z tej tyranii pochodzić.“

Przyjaciółce nie trudno było odeprzeć ten zarzut niczem uzasadniony. Pani Pittar obrała teraz za przedmiot swej napaści spowiedź i rozgrzeszenie, co za jedną z najgrubszych praktyk uważała, a co według jej zdania do daleko więcej grzechów pobudką, niż którybyś inszy podstęp szatana. Przyjaciółka odpowiedziała: Masz rację, zowiąc spowiedź i rozgrzeszenie nauką katolicką, bo to po wszystkie czasy było w Kościele, zgodnie z słowami Pana Jezusa, które zapisane są w Biblii. Wszelako nie mogę na to przystać, by ta nauka była wyłącznie naszą nauką, boć przecie i urzędowy Kościół Anglikański, do którego należysz, w urzędowej książce do nabożeństwa duchownym swoim przy odwiedzaniu chorych poleca, by chorych do wyznania grzechów nakłaniali, i potem dawali im rozgrzeszenie. I przy święceniu biskup Anglikański oświadcza, że daje im władzę rozgrzeszania.

„Więcej, niż kiedykolwiek zdziwiona spokojem, z jakim to niezwykle twierdzenie wyrzekła, zajrzałam natychmiast do książki do nabożeństwa, by jej pomyłkę wykazać. Tymczasem znajduję, że to rzeczywiście prawda sło-

wo w słowo. Przekonawszy się, że książka, którą trzymałam w rękę, jest moją własną, więc może nie sfalszowaną, straciłam już wszelką pewność siebie. Serce biło mi gwałtownie z obawy, że sprawa moja może się źle skończyć, boć zdrowy rozum mówił mi, że, jeżeli Chrystus Pan uczniom Swoim dał kiedy moc odpuszczania grzechów, to ją dał na wszystkie czasy. I ostatni mój zarzut co do oddawania czci Boskiej Najświętszej Pannie, Aniołom, Świętym, łatwo a z spokojem przyjaciółka odparła. Teraz już nie wiedziałam, co o tem wszystkim myśleć, com widziała i słyszała. Z jednej strony lękałam się, że mnie fałszywie uczono, z drugiej oczy moje własne miały przed sobą wyraźne dowody w Piśmie świętem i w mojej książce do nabożeństwa, i mimowoli musiałam w sercu przyznać, że przyjaciółka ma rację najzupełniejszą.

„Rozważając to sobie głęboko i stawiając się w obecności Pana Boga, jakbym miała być sądzoną, co kiedyś stanie się naprawdę, a oddalając na moment wszelką myśl nie dotyczącą interesu mej duszy, zdawało mi się, jakobym słyszała głos: „Doświadczaj wszystkiego, o ile tylko możesz, a módl się, Bóg nie da ci pobraźnić, skoroś gotowa spełnić wolę Jego świętą. Jeżeli to wszystko, coś słyszała, prawdą, cóżby miał jeszcze więcej uczynić, by ci błąd twój ukazać i z błędu wyprowadzić? I kogóż będziesz mogła w onym wielkim dniu sądu oskarżać, jeżeli nie samą siebie, skoro nie będziesz miała szaty godowej, podczas gdy po szczerem roztrząśnieniu dusza twoja stanie bez winy przed Bogiem?

Sąd ostateczny był znowuż ościeniem w sercu poczciwej niewiasty.

Pani Pittar postanowiła udać się do katolickiego kapłana, by się z własnych ust jego dowiedzieć, czy wszyst-

ko ma się rzeczywiście tak, jak jej przyjaciółka mówiła. Ale teraz właśnie w tę całą sprawę wpłatał się duchowny jeden protestancki. Wspomniałem już był, że pani Pittar przed wyjazdem swoim z Dublina do Edynburga odwiedziła pastora, który ją miał uzbroić w oręż duchowny do walki i pokonania przyjaciółki. Owóż pastor ten chciał się naocznie przekonać, jak się jej z tem nawracaniem powiodło, czy z katoliczki zrobiła dobrą protestantkę. Pojechał więc do Edynburga. Pani Pittar opowiedziała mu, co się z przyjaciółką przygodziło, prosząc zarazem, by teraz już on sam zajął się nią, na co pastor przystał. Tymczasem przyjaciółka, po dłuższej rozprawie powiedziała pastorowi, że to wcale nieładnie, iżby ona, niewiasta, miała z duchownym dysputować o religii; że chce poprosić katolickiego księdza, i to będzie dla niego zaszczytniejsze. Godzi się na to pastor, kapłan katolicki przybywa, poczyną się uczona dysputa — jakie ona wywarła na pani Pittar wrażenie, niech to sama opowie:

„Gdy się skończyła rozprawa, nie mówiąc ani słowa, poszłam do mojego mieszkania, padłam na kolana, ślubując Bogu, że nie spocznę pierwej, aż znajdę sposób wywiedzenia się, czem jest naprawdę Kościół katolicki, i czego naucza. Potem wzięłam pióro i napisałam poniższe słowa, położyłam swój podpis, jak gdyby sam Bóg był obecnym: „Dnia dzisiejszego w obecności mojej miała miejsce dysputa o religii między mym przyjacielem, protestanckim duchownym, a katolickim kapłanem. Do dnia byłam żarliwą protestantką; nigdy ani na chwilę nie wątpiła, żebym nie miała być córką Bożą w prawdziwym rozumieniu słów Pisma, i że ja, a przynajmniej mój duchowny może z Pisma łatwo udowodnić, że należę do prawdziwego Kościoła Chrystusowego i wyznaję naukę, którą nam przekazał; słowem, że trzymam się Pisma św.

tak ściśle, że to musi zawstydząć katolików, którzy pod pozorem wyznawania Chrystusa temże Pismem gardzą.

„Zaledwie rozpoczęła się dysputa, gdy mój duchowny przewodnik, miasto złożyć dowody gruntownej znajomości Pisma świętego, wywodami katolickiego kapłana został zupełnie pokonanym, przyznając, że co do rozumienia Pisma świętego ma swoje osobne poglądy, jakich może nikt inny nie posiada. Przeciwnie kapłan katolicki, miasto lekceważyć Pismo lub je pomijać, tak był w niem biegły i tak w każdym punkcie stanowczy, że wszystko przywoził z taką prostotą, łatwością i jasnością, jak gdyby coś zwyczajnego opowiadał.

„Dwa czy trzy razy przyjaciel mój zapierał się tego, com na własne uszy słyszała, i nie chciał przystać na pewne punkta, choć ich słowy Pisma nie potrafił obalić. Dlatego w charakterze moim jako protestantka odważyłam się przed Bogiem zaprotestować.

„Kapłan katolicki był jasny, dowody swoje opierał na Biblii i w wysokim stopniu posiadał talent przekonywania przeciwnika Pismem. Był spokojny, zgodliwy; mówił, że przyszedł wykazać prawdę; gdyby zaś nie był w prawdzie, a protestant zdołał mu wykazać, że on prawdę posiada, to gotów ją przyjąć od razu; zaś przyjaciel mój był niespokojny, niejasny, pomieszany, i tak zakończył: „To są moje opinie, i nie dbam o to, co inisi myślą.“

„Ach, gdzież się podziła żarliwość o zbawienie dusz, którą służa Chrystusowy winien się odznaczać, a którą myślałam znaleźć u mego przyjaciela? Wstyd mnie powiedzieć, tę żarliwość znalazłam w pogardzanym kapłanie katolickim. Widziałam u niego spokój, jaki daje pewność posiadania prawdy, widziałam i gotowość ustąpienia, gdyby się dała inna znaleźć prawda. Z tych przyczyn oświadczam tutaj, że gdyby to, com dzisiaj słyszała,

miało rozstrzygać, zostałabym natychmiast katoliczką. Jednakże nie chcę porzucać wiary, w której się urodziłam, dla tego jedynie, że jeden z protestanckich moich duchownych wyznał się niezdolnym jej obrońcą; to nie, lecz od tej chwili czuję się obowiązana sprawy tej przed Bogiem dochodzić. Jeżeli jest protestantką, czem mam być, co Bóg w Piśmie św. objawił, tedy błagam Boga, by mi udzielił łaski pozostania z nim na zawsze w jedności, i proszę, by mnie utwierdził naprzeciw wszelakim dowodzeniom i próbom odwiedzenia mnie od tego, co czystą jest prawdą. Jeżeli zaś katolicy należą do prawdziwego Kościoła Chrystusowego, tedy proszę Cię, o Boże, bym wszystkie uprzedzenia moje mogła przewyciężyć: mocą i prawdą swoją rozprosz ciemności, które w zaślepieniu mojem uważałam za światłość, i wprowadź mię na drogę prawą, choćbym nawet miała utracić co mi najdroższego na ziemi, nawet własne ciało i krew moją. O mężu mój, o dziatki moje!... Ale Ty, o Jezu, bądź mojem wszystkim!

„Dnia 10 Lutego 1841. Fanny Maria Pittar.“

Widzimy, że tej niewieście nie brak dobrej woli, więc niebawem znajdzie pokój, ale dopiero po ciężkiej walce. Z ofiary, której Bóg żądał, miała poznać, jak wielką łaską wiara prawdziwa, do której ją chce miłosierdzie Serca Jezusowego doprowadzić.

Skutkiem onej dysputy pani Pittar starała się jak najusilniej przekonać się, czego Wiara katolicka uczy. zaczęła czytać, badać, a im dalej w tem postępowała, tem więcej nabierała przekonania, że w jej wyznaniu brak niejednego z tego, co w Piśmie św. i w jej książce do nabożeństwa jako coś nieodzowne zawarte. Jedno pozostawało: modlić się, prosić. I modliła się ustawicznie: O Boże, nie nie wiem, nie nie widzę, czego mi niedostaje; Ty mnie oświeć, iżbym poznała świętą wolę Twoją.

Pan Bóg wysłuchał tej szczerzej modlitwy. Dnia jednego, gdy znowu rozmyślała nad prawdami religii chrześcijańskiej, zabłysła jej naraz myśl — godzina łaski, godzina stanowczego kroku wybiła. Do duszy cisnęła się jej myśl i przekonanie, że się rzeczywiście urodziła w błędnej wierze, że tylko sama jedna wiara katolicka, którą od tak dawna za baśń od ludzi wymyśloną uważała, jest prawdą jedyną i zupełną. Widziała, że teraz stoi na rozdrożu, albo pójdzie za głosem sumienia i zostanie katoliczką, albo naprzekór sumieniu zaprze się Zbawiciela i duszę swą poda na wiekiwie zetracenie. W sercu powstała straszna burza, wszystko zaczęło na nią od razu uderzać: co powiedzą, co uczynią rodzice, mąż, dzieci? Jakie będą następstwa pod względem ich dotychczasowego tak pięknego stosunku? Czy jej nie wypędzą, czy nie zostanie żebraczką, jeżeli się nawróci?...

„Gdy mi myśl o tem przyszła w onej godzinie po raz pierwszy z siłą nieprzepartą, ach, co to była za chwila! Napróżno pragnęłam, żebym się była urodziła katoliczką, albo wcale na świat nie narodziła. Przed zatrwożoną duszą moją stawał ten wybór jedynie, albo sprawę moją wieczną złożyć w ofierze na ołtarzu miłości do męża i dzieci, albo śmiało i odważnie wniknąć do owczarni żywota, a wszystko insze poświęcić.

„Ażali, chcąc wierze katolickiej dać nowe świadectwo, mam mówić o zakłęciach matki, żeby jej serca nie krwawić? Albo o gniewie, o wymówkach, o groźbach ojca, którego zawszem kochała, gdy i on mnie kochał? Mam-że dotknąć tych tysiącznych nadziei i obaw, które mi się nasuwały co do następstw, jakie wiadomość o mym kroku wywoła u męża, którego wierność i miłość była bez granic, a którego sobie wystawiałam, jak mnie od siebie odtrąca? Mam-że wspominać o tych i tysiąc innych rze-

czywistych i urojonych cierpieniach, które serce moje szarpały, to serce, dotąd wolne od wszelkiego cierpienia?

„O tak, chcę tego wszystkiego dotknąć, gdyż opisać, jak było w rzeczywistości, niepodobieństwem. Chcę dotknąć, aby, gdyby się te kartki kiedykolwiek w czyje ręce dostały, co równie, jak ja wychowany w nieznamości prawdy, któremu ona sama zdolna zapewnić szczęśliwość duszy, ale gotów jest i pragnie opuścić wszystko, aby tej szczęśliwości dostąpić; aby — powtarzam — mógł obaczyć, żem nie bez ciężkiej walki przyjęła wiarę katolicką, i aby też wiedział, że ta walka, jakkolwiek bolesna, nie była większą od łaski, której dostąpiłam. Czuje się szczęśliwą, żem była zdolną przetrwać tę walkę, a teraz, gdy umiem on skarb szacować, jako nagrodę walki, to ani na chwilę nie wahałabym się podjąć ją po raz drugi, choćby stokroć była cięższą.

„Tak tedy nabrałam stanowczego przekonania, i mome powzięłam postanowienie, bez względu na następstwa nie igrać już dłużej z łaską Boską, tym najdroższym darem, lecz śmiało dążyć do celu, do którego mnie sunienie wołało, wszystko insze zdając w ręce miłościwej Opatrzności Boga mojego. W dniu 24 Lutego 1842, w dzień św. Macieja rozstrzygnęły się losy moje: zostałam katoliczką, niegodną, ale szczęśliwą katoliczką. Katoliczką! — ja — ja katoliczką — co się nie mieści w tem jednym słowie! Jakie urojone trudności, jakie rzeczywiste korzyści, jakie groźne cierpienia, jakie pewne i wiekuiste pociechy!

„Dotąd tak szczerze i żarliwie przeciwna katolicyzmowi, teraz, że tak powiem, z niego żyjąc i w nim się żywiąc ku niewysłowionej duszy mojej słodkości. Przedtem poważana jako godny członek znakomitego społeczeństwa, potulna córka najlepszych rodziców, ukochana naj-

lepszego męża małżonka, matka kochająca pięknych dzieci — a teraz? Teraz może z wszystkich stosunków wyrwana, a jednak spokojna, wszystko mająca, bo mająca wiarę katolicką...“

Tak więc wreszcie miłość i łaska najlitościwszego Serca Jezusowego przywiodły tę duszę z nocy obłądu do światłości prawdy, dopomogły do zwycięstwa w walce, a teraz napelniają ją pociechą i mocą do dalszych ofiar i daszych cierpień, które ją czekają.

Niedługo po przejściu na łono Kościoła pani Pittar wróciła do rodziców w Dublinie. Już przedtem pisała im o wszystkich swych uciskach dusznych, w nadziei, że z samej litości nie będą tyle na nią zawzięci, gdy wróci jako katoliczka. Omyliła się. W domu przyjęto ją jak najgorzej, rodzice wypędzili ją po prostu. Odebrano jej młodsze dzieci, dopóki mąż z Indyi nie napisze i nie oświadczy, jak chce pokierować ich wychowaniem. Dobrzy przyjaciele radzili, żeby z dziećmi przeniosła się do Francyi. Łatwo było to mówić, ale prawie niepodobna wykonać, gdyż krewni dawali na nią pilne baczenie.

Co ta poczciwa niewiasta musiała wycierpieć, i jak ostatecznie Pan Bóg wszystko na jej dobro obrócił, to opisała ówczesnemu proboszczowi, późniejszemu Biskupowi w Genewie, X. Mermillod. — „Wiadomo X. Dobrodziejowi, że niegodna już mieszkać pod rodzicielskim dachem, w najętym pokoiku miałam oczekiwać postanowienia mego męża co do dzieci, czy mają mi być oddane, czy też zdala od matki mają być wychowane i uczyć się złorzeczyć matce i wierze jej. Dziwne zrządzenie Pana Boga! Mąż mój umarł w Indyach krótko przed odebraniem mego listu, w którym mu o mem nawróceniu donosiłam. W tej niespodzianej śmierci rodzice moi widzieli karę Boską, a chcąc mnie nieco pocieszyć, oddali mi

dziatki moje na tak długo, aż przyjdą do rozumu, dopóki nie będzie groziło im niebezpieczeństwo zarażenia się moimi błędami. Wkrótce potem teść oświadczył mi, że uważa za swój obowiązek odebrać mi najstarszego synka, gdyż ten woli wierzyć w katolicki artykuł o Najśw. Sakramencie, aniżeli matkę swoją, która w to wierzy, uważać za waryatkę. Zdrowie moje podówczas mocno szwankowało, i nie przypuszczam, żebym tę groźbę mogła przeżyć. Z drugiej strony nastroczały się ogromne trudności naprzeciw planowi opuszczenia ojczyzny i udania się z dziećmi do Francji. Mówiąc po ludzku, cudu było potrzeba, by ucieczkę wykonać, albowiem rodzina odwiedzała mnie codziennie, a chcąc wsiąść na okręt, musiałam przechodzić koło domu mego teścia, który z młodszymi moimi siostrami codzien chodził na przechadzkę, by się przyglądać wsiadającym na statek. Proszę i to wziąć na uwagę, że ojciec mój był urzędnikiem magistrackim i miał prawo kazać mnie zatrzymać, a w razie oporu, można mnie było skazać na trzyletnie więzienie z powodu rzekomego lekceważenia wyroku sądowego.“

Mimo wszystkich trudności, przeszkód i niebezpieczeństw udało się pani Pittar przy pomocy stryja w Liverpool, uciec szczęśliwie do tego miasta. — „Z stryjem moim — pisze — pojechałam do Londynu. Odjazd mój był tak nagły, że nie miałam czasu poradzić się Biskupa w Edynburgu, w którego ręce złożyłam była wyznanie katolickie, ani mu nawet donieść o ucieczce. Zajęta mocno tym brakiem przyzwolenia myślałam o liście posłanym matce przez pocztę, który ona w tej chwili musiała już czytać; lękałam się, żem ją niepotrzebnie zasmuciła, odjeżdżając prędzej, niż może było potrzeba. Zdałam się znowu zupełnie na wolę Bożą. Równocześnie przyjechał z nami pociąg i na tejże stacyi się zatrzymał. Kto opi-

sze moje zdziwienie, gdy niespodzianie pośród tłumu ludzi stanęłam przed Biskupem Edynburskim, którego nieobecność co dopiero w duszy mojej oplakiwałam.

„A co tu porabiasz, dziecko moje? zapytał.

„Musisz mi, Biskupie, dać dobrą radę — uciekam do Francyi, bo teść chce mi odebrać dzieci. Jestem oto w drodze, by je móżdż we Francyi po katolicku wychować. Czy robię dobrze według woli Pana Boga?

„Jedź, córko“, odrzekł Biskup. Tedy uklęknęłam, a przygarnawszy do siebie troje moich dziattek, zawołałam: Błogosław nam, ojcze! Biskup pobłogosławił.

„A tłum ludu? Ludzie byli zajęci swemi pakunkami.

„Ach, jakbym pragnęła posiadać język twój, X. Dobrodziej, by móżdż choć setną cząstkę opowiedzieć z dziwów, które Bóg uczynił dla mnie i dla mych sierotek, nie tylko w interesach potrzebnych i koniecznych do życia, lecz i w tem, co się tyczy serca i wygody. Każdego dnia doświadczałam równych usiłowań, równych uprzejmości. Nie było miasta, gdzieby nie czekało na mnie pięknie urządzone mieszkanie. Matki katolickie żaliły się, że nie miały prawdziwie katolickiego domu, gdzieby dzieci swoje mogły oddać na wychowanie; nie znaleziono ani jednego, aż gdy go było dla moich synów potrzeba. Prosiłam o to Pana Boga, szukałam i znalazłam, umieściłam w nim dzieci moje, a inne matki cieszyły się z tego mego odkrycia. Tak się działo przez lat siedmnaście.

„A co się stało z dziatkami? Czy pozostały katolikami? — Nie tylko są katolikami, ale obaj chłopcy są — mnichami, a są z własnego wyboru, matka ich dała Panu Jezusowi w zastaw na czas niejaki, by ich odebrać w dniu ostatecznym, i tego chwalebne go dnia wyglądamy, pilnie nad tem pracując, aby się temu Ojcu w niebiesiech przypodobać, który nam wszystko daje, czego so-

bie na tym świecie życzymy: pokój serca i wszystko, co z sobą pokój przynosi; a do tego i Niebo jako zapłatę za wielkie poświęcenie.“

Niniejsze opowiadanie nasuwa myśl jedną, zdrową i nader słodką.

Miłość Serca Jezusowego wszechmocna, że duszę kroczącą na fałszywej drodze, potrafiłaby w jednym mgnieniu oka na drogę prawą nawrócić. I to czyni niekiedy, acz rzadko, jakby jeno dlatego, by pokazać, że to może uczynić, i że nikt nie powinien wątpić. Atoli to najmiłociwsze Serce w zwyczajnych życia kolejach nastęrcza ludziom dobre okazy, gdzie się uczą lepiej poznawać, a równocześnie do serca ich odzywa się łagodnie i słodko, albo też i groźnie w miarę tego, jak te serca korzystają ze sposobności. Teraz musisz ty krok uczynić, potem Pan Jezus znowu dopomoże, aż dusza wstąpi na równy tor.

Owóż niechaj nikt nie myśli, że Pan Jezus ujmie go, jak niegdyś Anioł proroka Habakuka, uniesie w powietrze i tak gwałtem w Niebie osadzi. Nie, Pan Jezus wskazał drogę, którą szedł sam naprzód, i tą drogą musi iść za Nim każdy dzień w dzień aż do onej granicy, poza którą otwiera się wieczność i Niebo. Dla wszystkich jest to i pozostanie prawdą, co Paweł święty powiedział o sobie: „Nie ja, ale łaska Boża ze mną.“ I każdy — ja i ty, jak ona pani Pittar musi przekonać się o prawdzie tego, co święty Augustyn powiedział: „Bóg stworzył cię bez ciebie, ale bez ciebie, bez przyczynienia się twojego nie zbawi cię.“

A więc i dziś masz koło zbawienia swojego pracować; dziś masz stawiać czoło pokusom, dziś masz wiernie

obowiązki stanu swojego wypełniać, być wstrzemięźliwym, bliźniego miłować jak siebie samego, a Boga miłować nadewszystko, masz ćwiczyć się w cierpliwości, i modlić się żarliwie. Nie sięgaj myślą w daleką i niepewną przyszłość, że p o t e m się nawrócisz i będziesz żył po bożemu: raczej myśl o tem, jak każdego dnia, więc i z tego dziś możesz na zbawienie swoje korzystać.



ROZDZIAŁ XI.

Módlcie się jedni za drugich.

Nie potrzeba zapewne opowiadać szeroko o onej pogańskiej niewieście i jej córce opętanej od złego ducha, jak ta niewiasta przybyła do Jezusa, z dziwną wytrwałością za córką swoją prosiła, i jak uczniowie Pańsey wstawiali się za nią, i jak ostatecznie Pan Jezus córkę uwolnił od złego ducha.

Oczywiście — cud Pan Jezus sam uczynił, nikt więcej; wszelako zdaje mi się, że nie byłby wypędził czarta z opętanej córki, gdyby matka nie była przyszła, a potem i samaż i razem z Apostołami nie była tak gorąco i wytrwale prosiła. — W tem wielka nauka.

Mało podobno domów i rodzin, gdzieby jedno lub drugie dziecko nie było opętane od złego ducha, od jakiego grzechu z onych siedmiu grzechów głównych np. pychy, łakomstwa, nieczystości, zazdrości, obżarstwa, gniewu, lenistwa. Pan Bóg nie chce, by takie stworzenie zginęło; w rękę Swem ma dosyć sposobów do ratowania; jednakże taka dusza nieszczęśliwa nie należy wyłącznie do Boga, ona należy także i do rodziny, więc ci, co jej najbliżsi, mają obowiązek o niej pamiętać, nad jej nawróceniem pracować. Ono przykazanie: „Będiesz miłował bliźniego swego jak siebie samego“ nie jest dane napróżno, a jeśli krewny nie jest bliźnim, to chyba już nikt. Jak to pewna, że rodzice powinni dbać o chore dziecko, dzieci o rodziców, tak, i jeszcze więcej, jest powinnością rodziców mieć pieczę nad chorą duszą dziatki. Z tego powodu lękam się bardzo, by Pan Jezus na sądzie Swoim niejednej rodzinie, jeżeli który członek jej będzie potę-



„Zmiłuj się nade mną Panie, Synu Dawidów, córka moja od szatana ciężko dręczona jest.“

(Mat. XV, 22).

piony, nie wskazał na ona niewiastę Kananejską i nie rzekł: Czemuście dopuścili zginąć temu a temu z waszego grona? Ażali jak ona niewiasta i wy nie mogliście przyjść do Mnie, a byłbym ratował? Ażalim nie powiedział: „Miłujcie się w z a j e m n i e, jakom i Ja was u miłował? Czemuście nie szli za Mną?“

Co do mnie, ja wierzę, że gdyby w rodzinach modlono się jak należy, za tymi, co błędni chodzą drogami, mniejby ludzi ginęło, szło na zatracenie. Co może spólna a wytrwała modlitwa, pokaże to następujący wypadek.

*

*

*

Nie dawno temu żyła we Włoszech poczciwa katolicka rodzina stanu szlacheckiego, ojciec, matka i dwunastu dzieci. Jedno z tych dzieci jakby się wyrodziło, a był to chłopiec imieniem Alan. Był on od samego początku leniwy do nauki, pod względem umysłowym dość nędznie rozwinięty. Pierwsza Komunia św. nie wywarła jakoś na nim należytego wrażenia. Od 15 roku życia już więcej nie chodził do spowiedzi. Do łaciny i języka greckiego taki miał wstręt, że z góry zapowiedział, że się wcale uczyć nie będzie. Po wyjściu z szkoły dalszą naukę pobierał prywatnie w domu, ale taka nauka nie była wcale odpowiednią dla tej natury dziwacznej, miękkiej, a namiętnej.

Alan co do przyszłości swojej układał sobie plany również dziwackie — marzył o wyprawach, niebezpieczeństwach, o podróżach, przygodach i walkach. Tęsknił za służbą okrętową lub wojskową, i byłoby może lepiej się stało, gdyby rodzice byli się na to zgodzili, raz, że ten zawód dawał folgę jego pasyom, z drugiej strony burzliwy jego temperament byłby się niezawodnie trochę ustatkował. Rodzice atoli uważali za rzecz stosowniejszą

oddać go do kancelaryi jednego urzędnika w tem przekonaniu, że tym sposobem ustrzegą go od niebezpieczeństw życia wojskowego. Niestety! smutne doświadczenie pouczyło ich niebawem, choć za późno, jak nieroztropnie sobie postąpili.

Życie w biurze wciąż jednakowe, regularne, nudne najmniej odpowiadało skłonnościom syna. Ten nie mogąc marzeń swych urzeczywistnić, rzucił się w wir pospolitych awantur miejskiego bruku. Zrazu było go wstyd, wkońcu został hersztem w brzydkich burdach i wybrykach rozpasanej na wszystko młodości. Z czasem utracił wszelką wiarę, w duszy osiadła czarna noc niedowiarstwa — i co za tem przyjść musiało, stał się jednym z najrozwoźlejszych młodzieńców. Zapominał się coraz więcej, hańbił stan swój szlachecki, marnował zdrowie i siły swoje żywotne.

Cała rodzina Alana była tem wielce strapiona, czuła swą własną hańbę dotkliwie. Nie widząc już innego ratunku, modlono się, ufano w pomoc Pana Boga, w cierpliwości znosząc wszystkie utrapienia. Tymczasem rodzina rosła w liczbę nowych członków: czterech synów i jedna córka założyli nowe rodziny; ostatecznie 23 niewinnych dzieci, otaczających swe matki, modliło się codzień: „O Jezusie, nawróć nam naszego stryjaczka Alana!“ Te dziatki brały w każdej ofierze ze strony rodziców żywy udział; mała jedna sześciolatnia dziewczynka dnia jednego pyta się matki, siostry Alana: „Mamuchno, a czy stryjek już się nawrócił?“ — „Jeszcze nie, córko moja!“ — „A jużby się też powinien był nawrócić — odpowie z całą dziecięcą naiwnością dziewczynka — jam już tak wiele się za niego modliła.“ — Inną razą druga dziewczynka mówiła: „Stryjczek już się pewnie nawrócił, jam na jego intencję wielką zrobiła ofiarę.“ — „A coś to takiego zro-

biła?“ pyta matka. — „Przed rozpoczęciem szkoły jam była pierwszą, com nie nie robiła hałasu, i nie gniewałam się wcale, gdy się inne dzieci ze mnie śmiały, i usiadłam też obok jednej, której nie lubiłam, i mama też wie, że piłam tran, który mi tak bardzo nie smakuje, a przy tem wszystkiem mówiłam sobie: To za stryjaszka. Więc się teraz pewnie nawrócił.“

Inne uczyniły więcej: ofiarowały się całkiem Bogu, wstępując do klasztoru, w tem przekonaniu, że takie poświęcenie się niezawodnie wiele łask wyjedna dla Alana. Jedna z panienek, która została zakonnica, pisała do brata: „Tobie, kochany braciszku, daruję wszystkie zasługi mojej ofiary. Porzucam rodzinę w nadziei, że się z nią znowu pojednasz. Ufam, że boleść mojego rozstania się, którą czuję podwójnie, gdyż ono i ukochanemu ojcu naszemu łyzy wyciska, będzie skuteczną do tyła, że wzruszy serce twoje i wzruszy miłosierne Serce Jezusowe.“

Niestety, trzy takie listy posłane od sióstr Alanowi pozostały bez wszelkiej odpowiedzi. Alan płakał, czytając te listy, albowiem mimo wszystko nie był jeszcze zupełnie do gruntu serca zepsuty. Ale szlachetniejsze uczucia tłumili w nim rozhukane namiętności.

Jakaś pewna słodycz charakteru i uprzejmość w obojętności zachwycaly niejednego, choć znowu straszna lekko-myślność budziła niechęć i wstręt.

Wspomni kto o rzeczach poważnych i świętych, Alan odpowiadał jakim dowcipem, który śmiech u młodzieży wywoływał, i Alan pozostał — smutnym bohaterem.

Nie odbierając na listy swoje odpowiedzi, siostry postanowiły udać się do brata osobiście. To jedna, to druga przychodziła doń z wyrazem miłości i współczucia, i przypominając mu, że ma obowiązki względem ojca i matki i całej rodziny, i obowiązki względem Pana Boga.

Zdarzyło się, że go przesiedlono do miasta, gdzie jedna jego siostra była zakonnicą od Najśłodszego Serca Jezusowego: Alan odwiedzał ją od czasu do czasu. Siostra cierpliwie słuchała próżnej gadaniny brata, aż wreszcie odezwie się: „Braciszku kochany, a czy ty też pomyślisz kiedy o duszy swojej?”

— Tyle, jak nie — odrzekł Alan.

— O wieczności pewnie jeszcze mniej?

Na to Alan odwrócił się i począł pod nosem nucić sobie jakąś piosnkę. Siostra nie dała się zbić z toru, rzecze więc znowu: „Powiedz mi tak szczerze, czybyś chciał umierać w stanie, w jakim się teraz znajdujesz?”

Na to pytanie Alan odrzekł na pół gniewnie, na pół żartobliwie: „Czy ty myślisz, że kto z naszej rodziny umrze tak sobie ladajako? Bądź spokojna, obaczysz, że ja się z Bogiem pojednam.“ Na tem skończyła się dalsza rozmowa.

Takie i podobne słowa od czasu do czasu były dla rodziny jakby błyskiem światła w ciemnościach, i upoważniały ją do dobrej nadziei. W gronie rodziny rozmawiano często i wiele o losie tego marnotrawnego syna, wszyscy czynili śluby na jego intencję, a akty wiary, nadziei i miłości jak wonny dym kadzenia wstępowały do Najśłodszego Serca Jezusowego.

Jedna z sióstr przez 18 lat odprawiała co piątek każdego miesiąca Nowennę. Obchodząc Drogę Krzyżową, przy każdej Stacyi polecała Bogu duszę brata, a rozważając słowa Jezusowe wyrzeczone do niewiast Jerozolimskich: „Nie płaczcie nade Mną, lecz płaczcie nad dziećmi swójemi“, rzewne łzy wylewała nad nieszczęśliwym bratem.

Alan dożył 58 lat życia. Z powodu nieregularnego życia zestarzał się, a pewne okoliczności wskazywały, że

już niedługo pożyje. W Marcu 1875 doszła rodziców wiadomość, że syn śmiertelnie chory. Siostra najstarsza wybrała się natychmiast do brata; niebezpieczeństwo było rzeczywiście groźne. Dopóki był przy zdrowiu, nie śmiało z nim mówić otwarcie o stanie duszy jego; teraz, gdy dni życia zdawały się być policzone, miłość siostry i wiara jej znalazły łatwo słowa, że stoi już na progu wieczności.

Chory zadrżał, mimo to odpowiedź jego brzmiała: „Ty wiesz, siostrzo moja, że nie lubię słuchać kazań.“ — „Ja ci też — odpowie siostra — nie myślę wcale prawić kazania; ty wiesz sam najlepiej, co robić, ale wielki czas, byś o tem pomyślał.“

Przywołano lekarza. Był to młody, lecz zacny człowiek, Alanowi zupełnie nieznamy. Zbadawszy stan chorego i zapisawszy lekarstwo, rzekł: Radziłbym ci jedno jeszcze lekarstwo, lekarstwo moralne. Nie wiem, czy, i jak spełniasz obowiązki religijne; ale wielki czas, byś o tem na seryo pomyślał. Jeżeli zechcesz, mogę ci polecić mojego przyjaciela.“

— Nie chcę młodego księdza — odpowie Alan — nie miarkując, że w gruncie rzeczy już się nie opiera.

— Ten, którego mam na myśli — rzecze lekarz — ma już dobrze 40 lat.

— Nie chcę żadnego prostaka.

— Ależ to kapłan bardzo świątły.

— Dobrze, więc go przyjmę, ale tylko na to, by z nim trochę pogawędzić.

— Więc mogę go przysłać?

Alan wybąknął, że może — ku wielkiej radości siostry i lekarza. Odchodząc siostra podziękowała lekarzowi, że taki szczęśliwy obrót nadał sprawie tak trudnej, a lekarz powiedział jej, że brat chory na serce, że to może

przeciągnąć się i czas dłuższy, ale też i każdej chwili może śmierć nagle nastąpić. — Serce grzeszyło, serce musi cierpieć.

Duchowny, którego lekarz był polecił, przybył tego samego jeszcze wieczora do chorego. Alan przyjął go grzecznie, wrażenie, jakie na nim uczynił kapłan, było tak korzystne, że go chciał mieć ustawicznie przy sobie. Chory czuł się po tem nieco lepiej, mógł się nawet przechadzać w ogrodzie i napawać świeżem wiosennem powietrzem.

Siostra korzystając z tego polepszenia, wróciła do domu z tą dobrą nowiną. Podwojono modlitwy, rosła gorącość, gdy w kilka dni otrzymali liścik, pisany drżącą ręką Alana, w którym stało: „Wczoraj 24 Maja, w uroczystość Maryi, Wspomożenia chrześcijaństwa, miałem długą rozmowę z kapłanem, i otrzymałem od niego błogosławieństwo. Wypowiadałem się i czuję się teraz szczęśliwym.“

Równocześnie pisał duchowny do siostry chorego, która była zakonnicą: „Brat otworzył wreszcie oczy na światło wiary. Wczoraj wypowiadałem go. Nie ustawajmy modlić się, by ta dusza, która się nawróciła, jeszcze większych łask dostąpiła.“

Jakkolwiek nie stanęli jeszcze u mety, krok pierwszy a najważniejszy był zrobiony.

Miesiąc Maryi przygotował nawrócenie się grzesznika; Najśłodszemu Sercu Jezusowemu było pozostawiono duszę tę zupełnie oczyścić. W uroczystość Serca Jezusowego Alan otrzymał rozgrzeszenie, o czem doniósł siostrze, i teraz rozpoczął się tryumf dziękczynienia.

Tymczasem śmierć kładła już swe pieczęcie na twarzy chorego. Siostra pospieszyła do łóża brata, i z boleścią spostrzegła gwałtowne postępy choroby. Jednakże oczy

chorego ustawicznie w Niebo zapatrzone jaśniały jakoby w promieniach nadziemskiej jasności — odmiana była zupełna.

Choroba postępowała szybko naprzód; pospieszono więc dać mu Wiatyk na drogę wieczności. Alan sam postarał się, by pokoik, w którym leżał, był jak najpiękniej przystrojony w kwiecie i zieleń; poczem rzekł: „A teraz przestańcie rozmawiać, muszę się zająć sobą.“ Siostra klęczała, a jeden z braci towarzyszył Boskiemu Gościowi, który przyszedł nawiedzić chorego, i wstąpił do serca, z którego od tak dawna był wydalony.

Po zjednoczeniu się Stwórcy ze stworzeniem, Alan jednym tylko pałał pragnieniem — pragnął Nieba. Jako przedsmak wiekuistej szczęśliwości Serce Jezusowe udzieliło mu tutaj już innej radości: cała rodzina była zebrana przy jego łożu. Alan patrzył na te drogie twarze z niewysłowioną słodkością, w oczach jego odzwierciedlały się wszystkie podnioślejsze uczucia, i zawolał: „Ach, teraz pragnę już śmierci w waszem otoczeniu, ale niech się dzieje wola Boża!“

Gdy go odwiedził jeden z przyjaciół, wskazując na rodzinę, rzekł: „Mówiłem ci nieraz rzeczy, których nigdy nie powinienem być mówić, więc proszę cię o odpuszczenie, w tej chwili odwołuję wszystko. Wypowiadałem się, przyjąłem Komunię, i to, mój drogi, jest mojem weselem. Jestem gotów umrzeć — w lampie życia już nic nie ma oleju — niech ją Bóg zagasi, gdy Mu się spodoba.“

Żył jeszcze prawie trzy tygodnie, cierpiąc wiele, co było dopełnieniem miary pokuty — i zasnął w Panu.

Tak wysłuchane zostały modlitwy, które rodzina Alana przez 40 lat zasyłała do Nieba.

ROZDZIAŁ XII.

Nawrócenie się Pastora.

Pan Jezus powiedział, że nikt nie przychodzi do Niego, jeżeli Go Ojciec nie pociągnie. Ojciec, który jest w niebiesiech, prędzej czy później — wszystkich pociągnie do Siebie. Czyni to choć i nieproszony, wskazując ludziom przepaść nędzy, w jakiej się znajdują, i ukazując rękę, która ich może z nędzy wydzwignąć. Kto w nierozumie i hardości serca mniema, że nie potrzebuje niczyjej pomocy, ten nie wydostanie się za życia z tej przepaści, a po śmierci w jeszcze głębszą zapadnie się przepaść wiekuistego zatracenia. Kto zaś woła o ratunek, Bóg niezawodnie zmiłuje się. Pokaże to historia, którą teraz opiszę.

*

*

*

Boston jest to miasto w Ameryce. W tem mieście urodził się w roku 1754 niejaki Nathanael Thayer. Rodzice jego byli protestanci i dosyć zamożni. Syna oddali na naukę, ale zrazu szło mu dość tępo, następnie coraz lepiej, aż wreszcie poczuł w sobie wielki zapal do nauki, i tak daleko postąpił, że w 20 roku życia zrobiono go pastorem w gminie tak zwanych Purytanów, osobnej jednej sekty protestanckiej.

Thayer był już dwa lata pastorem: zagłębiał się w Biblii, prawil kazania. Nagle przyszła mu chęć do wędrówki, zapragnął widzieć i słyszeć co nowego, a przede wszystkim chciał poznać, jak też w Europie żyją, jakie tam zwyczaje i obyczaje. Po powrocie do Ameryki chciał dysputować z uczonymi. Ani mu na myśl nie przyszło,

zastanowić się nad tem, co będzie po śmierci, gdyż był przekonany, że nauka Purytanów to czysta Ewangelia, wszyscy insi zaś żyją w błędzie. Najgłębiej atoli był przekonany, że jeżeli kto, to katolicy pogrążeni w najgrubszych ciemnościach, a Włosi i Rzym to już siedlisko wszelkiej ciemnoty.

Takimi przesiątkły uprzedzeniami przybył Thayer do Francyi, gdzie wkrótce zachorował. Przewidując śmierć, a niecierpiąc katolików, surowo przykazał, żeby mu się żaden ksiądz katolicki nie pokazywał na oczy. Wyzdrowiawszy, udał się do Anglii, na ostatku do Rzymu, z ogromnym, jak się rzekło, zapasem uprzedzeń do Papieża, do duchowieństwa, i wogóle do katolickiej religii. Ten pastor nie wiedział zgoła, że te jego wyobrażenia z gruntu mylne i fałszywe, bo to pewna, że będąc człowiekiem prawym i szczerym, jak jego patron, nikogo nie chciał z rozsędkiem sądzić krzywo, i gotów był dać się w prawdzie oświecić.

Stanąwszy w Rzymie, począł badać ustrój i stan kraju, do czego potrzebnem było oczywiście poznanie i religij katolickiej. Gdyby był żył w Turcyi, byłby badał religię Turecką; obecnie był we Włoszech, więc zajmował się religią katolicką; jemu chodziło jedynie o zaspokojenie ciekawości, o cele naukowe, a przy tem chciał się utwierdzić w przekonaniu, że wszystko, co słyszał o katolikach, to szczerza prawda. Tym sposobem zapędzał się coraz dalej w fałszywem rozumieniu swej Purytańskiej wiary.

Chcieć kulę armatnią wystrzeloną z działa w locie zatrzymać, lub nawrócić, to u ludzi rzecz niepodobna, bo to przeciwne naturze rzeczy; ale to może uczynić Bóg prawem wyższem ponad naturę. Taki cud, a jeszcze większy, uczyniło miłościwe Serce Jezusowe.

Niech-że ten pastor Thayer sam opowie, jak się to stało, i jak Pan Jezus łaską Swoją działał właśnie z tej strony, z której najmniej się było można nawrócenia spodziewać.

Thayer chciał z ust katolickich duchownych słyszeć o tem, co mu się wydawało głupstwem i zabobonem. Zdawało mu się, że w taki sposób będzie mógł najlepiej przekonać się o fałszywości katolicyzmu, i nikt nie będzie mógł mu zarzucić, że się jedynie protestanckimi przesądami kieruje. Taki był plan i taki zamiar: owóz tu zachwycała go łaska Boska.

„Jak pragnienie — pisze pastor — podróżowania wprowadziło mnie bezwiednie w sam środek nabycia wiadomości, tak żądza nauki zaprowadziła mnie do poznania prawdy, choć o tem wcale nie myślałem.

„Szukałem nieraz sposobności rozmówienia się z światłym mężem, któryby umiał i chciał mi rzetelnie katolicką naukę wyłożyć. Otóż spotkałem dwu duchownych w miejscu, które raz poraz zwiedzałem. Wdałem się tedy z nimi w rozmowę; powiedziałem, kto jestem i czego szukam. O Jezuitach miałem wówczas takie same zdanie, co reszta protestantów; jednakże byłoby mi miło zapoznać się z którym z nich osobiście. Wiem — rzekłem — że to ludzie zręczni, ale uchodzą też za uczonych, więc chciałbym z ich wiadomości korzystać, a co się tyczy chytrości — no, to już ja sam dam sobie radę.

„Byli to właśnie — Jezuici, z którymi rozmawiałem. Oświadczyli mi tedy, że i oni należą do tego zakonu, i przydali, że nie mogąc się sami zająć rozprawą ze mną, wskażą mi kogoś takiego, który życzeniu mojemu potrafi zadosyćuczynić. Zaprowadzili mnie tedy do jednego z swych braci, do zakonnika znanego powszechnie w całym Rzymie, cenionego wielce dla nauki i cnoty.

„Łaskawy Dobrodzieju — rzekłem — być może, że o waszej religii błędne mam wyobrażenie, gdyż znam ją jedynie z opisów przeciwników. Jeżeli tak, tobym się chętnie chciał pozbyć tych błędnych wyobrażeń, albowiem do nikogo nie chcę być uprzedzonym. Nie myśl atoli, że mię nawrócisz — to próżne złudzenie.

„Ten nieco rubaszny wstęp nie był bynajmniej przeszkodą, że zakonnik przywitał mię jak najuprzejmiej. Chętnie przystał na moje życzenie dysputowania ze mną o religii. Nasamprzód wykladał mi według porządku artykuły wiary katolickiej; ten wykład trwał kilka dni. Słuchałem go uważnie, nie przerywając ani na chwilę, ale w domu u siebie zapisywałem sobie nasuwające się trudności i przeciwne niektórym artykułom zarzuty. Chociaż liczne nastroczały się przeciwieństwa, jasną mi jednak była dziwna zgodność, która z religii katolickiej tworzy całość harmonijną. Była w tem mądrość, której źródło jedynie w Bogu może się znajdować.

„Gdy skończył swój wykład, teraz ja mu moje przedkładałem zarzuty i wątpliwości. Więcej, niż trzy miesiące upłynęły, zanimeśmy wszystkie artykuły rozebrali. Mimo to wiele jeszcze pozostało dla mnie niejasności, co do których pragnąłem rzetelnie dać się oświecić.“

Daleka to droga: wiedzieć i znać naukę katolicką, a w i e r z y ć, co Kościół naucza. Kto ma dobrą pamięć, wnet się może całego katechizmu nauczyć; do wiary w prawdy, zawarte w katechiźnie, sam tylko Bóg mocen jest przyprowadzić. Wiara prawdziwa jest darem nadprzyrodzonym; wszystka uczoność nie sięga tak wysoko, dopiero wiara wprowadza do serca, że tak powiem, do wnętrzości nauki katolickiej i daje prawdziwe rozumienie.

Thayer o tem dotychczas nie wiedział. Zdawało mu się, że byle pilnie badał i śledził, to zupełnie wystar-

czy do zrozumienia prawd katolickich. Czytał więc coraz więcej i regularnie przychodził do swego nauczyciela. Zakonnik nie miał za wiele czasu, by się nim ciągle zajmować, posyłał go więc do innych jeszcze duchownych. U jednego z nich miał się Thayer po raz pierwszy dowiedzieć, że to czytanie i poszukiwanie nie doprowadzi do żadnego celu, że jest jeden sposób prostszy a potrzebny. O tym drugim nauczycielu swoim opowiada:

„Ten Jezuita obszedł się ze mną w sposób, który mnie z razu zadziwił. — „Dziś — rzekł — damy pokój dyspucie, za to odmów trzy Ojczy nasz, i przyjdź wtedy a wtedy.“ Uśmiechnąłem się na takie przywitanie. „Jakże to? zapytałem, jeszcze nie należę do twojego Kościoła, a już mi pokutę nakładasz?“ To rzekłszy, odszedłem. W domu począłem sobie jednak rozważać, że przecie *Modlitwa Pańska* nie może mi zaszkodzić, owszem pomoże; że religia, która uczy, że jej poznanie trzeba od modlitwy rozpoczynać, musi być bardzo pewną siebie. Uczyniłem, co mi kazał; w dniu oznaczonym byłem znowu u niego.“

Tymczasem w cichości dojrzywał już pierwszy owoc onych trzech Ojczy naszów.

Thayer poznał już, jak sądził, dostatecznie religię katolicką, chodziło już tylko o wyjaśnienie niektórych punktów, więc chodził od jednego do drugiego, co było, jak wyznaje, wcale rzeczą praktyczną.

„Ten sposób — powiada — radzenia się równocześnie kilku uczonych, przydał mi się bardzo dobrze z dwójakiego powodu: poznałem zdanie każdego z osobna, a tak wiedziałem, czy w rzeczach wiary, która jedną tylko być może, jak jedna tylko jest prawda, zgadzają się z sobą jak najdokładniej. Ta jednogodność, która po wsze czasy istniała u katolików, uczyniła na mnie silne wrażenie,

osobliwie, że czegoś podobnego u nas nie ma. Miałem stosunki z naczelnikami naszych sekt, często rozprawiałem z nimi, znałem ich najgłębsze myśli, a owo ani dwu nie było, którzyby w najważniejszych artykułach zgadzali się na jedno. Co więcej, nie było ani jednego, któryby się sam z sobą zgadzał. Przypominam sobie, że mi to razu jednego przyznał jeden z naszych predykantów.

„Ta niezgoda trapiła mnie niepomiernie, i zastanawiałem się nad tem smutnem zjawiskiem. Badania moje zaprowadziły mnie już o wiele dalej, niżelim zamierzał. Z początku nie chciałem nic wiedzieć, jeno gruntownie poznać naukę katolicką; teraz przekonałem się, że w niej wszystko bardzo rozumne. Nie przypuszczałem zgoła, żeby sekta moja mogła znajdować się w błędzie, a oto odkryłem słabe jej strony i wątpić zacząłem. Mimo to daleko mi jeszcze było do porzucenia mej wiary; przesady, w których wzrósłem, zbyt wielką jeszcze miały nade mną przewagę, serce nie było jeszcze przygotowane należycie do ofiary, jakiej domagało się nawrócenie się moje do katolickiego Kościoła. Mniemałem, że to będzie aż nazbyt wiele, jeżeli najlepsze książki w obronie katolicyzmu zabiorę z sobą do Ameryki, będę je czytał spokojnie, gotów zmienić wiarę, jeżeli po gruntownej rozwadze nie będę umiał nic odpowiedzieć na ich wywody. Bojąc się zarzutu lekkomyślności, dałem sobie słowo, że w Rzymie żadną miarą nie przejdę na katolicyzm.

„Tymczasem Opatrzność Boska, która ustawicznie nade mną czuwała, nie dopuściła tego odkładania, które mogło się stać zgubnem dla mnie; wypadkami pokierowała tak, że przyspieszyły godzinę nawrócenia się mojego.

„W tym czasie wpadła mi do ręki książeczka Jezuity Segnerego o *Aniele-Stróże*. Pobożna ta wiara, że każdy z nas ma swego Anioła jako świadka uczynków

swoich, nie było dla mnie czemsi nowem; tę wiarę wpojono we mnie, gdym był jeszcze dzieckiem, choć ta wiara żadnego zresztą nie wywierała wpływu na życie moje. Czytanie onej książeczki odświeżyło dawniejsze wspomnienia. Zastanawiałem się nad dotychczasowem życiem mojem, żałowałem, że tylokrotnie uchybił czei należnej mojemu Aniołowi-Stróżowi; odtąd postanowiłem czuwać nad sobą, unikać wszystkiego, coby mu się mogło niepodobać. Ta pilność w strzeżeniu się grzechu przyczyniła się niezawodnie do mego nawrócenia.

„Takie było położenie, gdy śmierć świętobliwego Benedykta Labre, i cuda, które, jak rozgłaszano, działały za jego przyczyną, poczęły w Rzymie czynić wrażenie i tworzyć przedmiot wszystkich rozpraw. Co do mnie, byłem dalekim od wierzenia we wszystko, co opowiadano. Najbardziej wkorzenionem było we mnie niewierzenie w cuda, które się rzekomo działały u katolików — w tem samem co reszta protestantów wychowany niedowiarstwem, zaprzeczałem daru czynienia cudów. Co gorsza, nie tylko przeczyłem te, o których powszechnie mówiono, ale szydziłem z nich i po kawiarniach pozwalałem sobie nieprzy stojnych żarcików o słudze Bożym, którego ubóstwo i niejaka nieschlubność na zewnątrz do żywego mnie drażniły. Gdy jednakże liczba i poważność świadectw rosła z dniem każdym, postanowiłem przekonać się o tem na własne oczy i uszy. Wdałem się więc w rozmowę ze spowiednikiem zmarłego, który mi też nieco wiadomości z życia jego udzielił. Odwiedziłem cztery osoby, które, jak mówiono, cudownie zostały uzdrowione. Przekonałem się o ich obecnym a dawniejszym stanie, badałem co do rodzaju i czasu choroby, badałem bliższe okoliczności nagłego uzdrowienia, zbierałem świadectwa tych, co je znali, i po tych najstaranniej czynionych badaniach nabrałem silne-



Św. Benedykt Józef Labre.

go przekonania, że prawdziwość każdego z tych cudów lepiej uzasadniona, niż jakibądź inny najpewniejszy wypadek historyczny.

„Jednej z tych osób, zakonnicy w klasztorze św. Apolonii, pękło jakieś naczynie w piersi. Od 18 miesięcy z dniem każdym było coraz gorzej, osłabienie zaś ogólne tak wielkie, że żadnego pokarmu znieść nie mogła. Wzywając tedy o przyczynę świątobliwego sługę Bożego, Labra, połkła trochę wody, w której jedną z relikwii jego umaczano, i w tej chwili uczuła się zdrową: tego dnia jeszcze poszła z siostrami do chóru, jadła bez trudności, i bez umęczenia odprawiała najcięższe roboty w klasztorze. Poświadczyły mi to przełożona i siedm sióstr zakonnych. Ja sam kilka razy widziałem na własne oczy uzdrowioną zakonnice, rozmawiałem z nią, i znajdowałem ją całkiem zdrową. Ale i na tem nie przestając, poszedłem do lekarza, który ją przez wszystek czas choroby opatrywał. Potwierdził mi tedy wszystko, co mi powiedziano w klasztorze, dodając, że gotów przysiąc na Ewangelię, iż choroba na drodze naturalnej była nieuleczalną.

„W czasie dalszego pobytu mojego w Rzymie, to znaczy, przez cały jeden miesiąc, odwiedzałem zakonnice, i miałem dosyć sposobności do przekonania się, że jej uzdrowienie nie jest chwilowe tylko. Przy odjeździe zostawiłem ją zupełnie zdrowiuteńką.

„Przekonawszy się tedy, że w tych uzdrowieniach jest coś nadnaturalnego, zacząłem zastanawiać się nad sobą i nad niebezpieczeństwem, gdybym dłużej w mej sekcie pozostał. To rozmyślanie wprawiło mnie w nader przykre położenie. Prawda ukazywała mi się ze wszystkich stron, ale światło jej gasiły przesady wyssane z mlekiem matki. Czulem siłę wywodów naprzeciw nauce protestan-

ckiej, ale nie miałem dosyć odwagi poddać się prawdzie. Widziałem jasno, że prawda katolicka oparta na licznych a niezaprzeczonych dowodach; widziałem, że odpowiedzi na zarzuty całkiem poważne i przekonujące, ale miałem się wyrzec błędów, w których mnie wychowano, i które ja sam innym jako prawdę głosiłem. Byłem duchownym w mej sekcji, miałem porzucić stan mój i stanowisko moje. Do rodziny byłem serdecznie przywiązany, a teraz miałem wywołać jej niechęć? Takie oto ważne powody wstrzymywały mnie; powiem krótko: głowa była skłonna, bo przekonana, ale serce było jeszcze uparte.

„Znajdując się w takiej niepewności, otrzymałem od kogoś książeczkę, której autor sam opowiadał o swym powrocie na łono Kościoła. Na wstępie wydrukował modlitewkę, której mu udzielił jeden katolik, modlitewkę do Ducha św. o oświecenie, a którą tu wypisuję:

„Najdobrotliwszy, wszechmogący, wieczny Boże, Ojczy miłosierny, Zbawicielu świata, przez niewypowiedzianą dobroć Twoją, błagam Cię pokornie: oświeć rozum mój, wzrusz serce moje, iżbym przez prawdziwą wiarę, nadzieję i miłość żył i umierał w prawdziwej religii Chrystusowej. Wierzę, że jak jeden tylko jest Bóg, tak jedna tylko jest wiara, jedna religia, jedna droga do zbawienia. Tej wiary prawdziwej ja szukam, o Boże mój, by ją przyjąć i być w niej zbawionym. Przed Boskim majestatem oświadczam więc i na wszystkie Boskie doskonałości Twoje przysięgam że przyjmę tę religię, którą mi ukażesz jako prawdziwą, i że niech kosztuje co chce — opuszczę tę, którą uznam za fałszywą. Nie zasługując na tę łaskę dla mnóstwa nieprawości moich, za które żałuję, bom niemi tyle dobrego i świętego Boga obraził; ale czegom niegodny, spodziewam się z nieskończonego miłosierdzia Twojego dostąpić, i błagam o to przez przenaświętszą Krew, wylaną za nas

grzeszników na krzyżu przez jednorodzonego Syna Twojego, Jezusa Chrystusa. Amen.“

„Dostawszy do rąk tę książeczkę, przeczynałem, że mi zada ostatni cios, dla czego z niechęcią zabrałem się do jej czytania. Dusza moja była jakoby na poły rozdarta. Oną modlitewkę przebiegłem oczyma, bojąc się jednak odmówić ją. Pragnąłem oświecić się, a lękałem się, że już za wiele jestem oświecony. Interesa doczesne i tysięcy innych powodów stawały mi na oczach i paraliżowały natchnienia łaski. Nareszcie zwyciężył interes zbawienia: padłem na kolana, oną modlitewkę odmówiłem z największą szczerością.

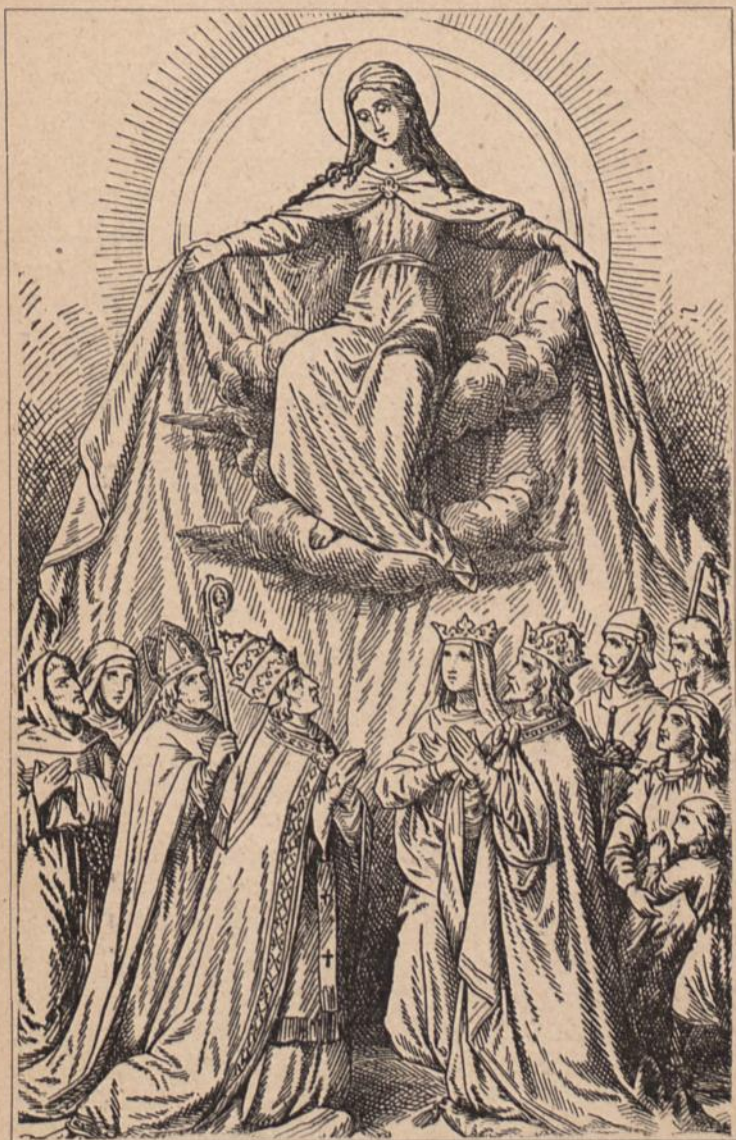
„Teraz zacząłem czytać książeczkę, zawierającą zestawienie najgłówniejszych dowodów wiary katolickiej. To zestawienie w jedną całość rozmaitych uzasadnień, to zespolenie tylu słonecznych promieni w jednym niejako ognisku dziwnie mnie uderzyło; zresztą opór łasce nie był już tyle silny. Równocześnie Bóg, oświecając rozum mój, odzywał się także i do serca, i udzielił mi mocy do przewyciężenia wszystkich trudności. Nie skończyłem jeszcze czytania, a już zawołałem: O Boże, przyrzekam Ci, że zostanę katolikiem. Tego samego dnia jeszcze doniosłem rodzinie, u której mieszkałem, o mem postanowieniu. Ucieszyła się bardzo, bo to była rodzina religijna i poczciwa. Wieczorem poszedłem do kawiarni, przyjacielom moim, a byli to sami prawie protestanci, powiedziałem o mem nawróceniu się... Pragnąc naprawić dane zgorszenia, wziąłem w obronę świątobliwość sługi Bożego, Labra, oświadczaając, że o prawdziwości cudów jego mam tyle dowodów, że zupełnie wystarczają. I aby się nie zda wało, jakoby mi się wstydział Chrystusa, kilkunastu przyjaciół zaprosiłem na świadków mego wyrzeczenia się herezy. Niektórzy ubolewali nad moją słabością, inși wprost

szydzili; ale Bóg, który mię do Swej wiary powołał, dawał mi męstwa, a mam nadzieję, że aż do śmierci będzie mi pomagał.

„Muszę tu wyznać, że przed nawróceniem się mojem dłuższy czas miałem do walczenia z sobą samym ze względu na wyobrażenia moje co do czci Najśw. Panny i Świętych. Byłem wprawdzie w tych rzeczach do tyła pouczony, żem nie wahał się modlitwy do Matki Boskiej o przyczynę u Syna, a cześć i miłość Tej, którą On-że sam tak czule kochał, raczej za dowód czci Syna, niżeli za uwłócenie godności Jego uważać; jednakże wciąż a wciąż wracały stare uprzedzenia, by mnie — wbrew mej woli — trapić i niepokoić.

„Zarzut bałwochwalstwa, który w tej materji tak często się słyży, trwożył mnie jeszcze, chociaż uważałem go za całkiem nieuzasadniony. Byłem podobny do onych osób, które mając napelnioną za młodu wyobraźnię śmieszniemi baśniami o duchach, nawet jeszcze w wieku dojrzałym nie mogą się pozbyć mimowolnego jakiegoś lęku, ilekroć przyjdą im na pamięć one duchy, naprzekór rozumowi, który się ich wstydzić musi. Musiałem gwałt sobie zadawać, a wzywając Najświętszej Panny, czyniłem to nie bez jakiejś obawy.

„Zwróciłem się najpierw do Jezusa Chrystusa, protestując, że nic inszego nie chcę, jeno, aby Jego uczić, i że pragnę to czynić doskonale przez przyczynę Matki Najświętszej. Potem zwróciłem się do Najświętszej Panny, mówiąc: O Matko najśłodsza, jeżeli się godzi wzywać pomocy Twojej, dopomóż mi w mem utrapieniu, w jakim się znajduję. Przez Ciebie przyszedł do nas nasz Odkupiciel, przez Ciebie pragnę ja przyjść do Niego. Pismo święte poucza mnie, że przez pośrednictwo Twoje stał się pierwszy cud wiary ewangelicznej w porządku łaski —



„Maryo, Poczycielko utrapionych, Pomocy chrześcijan,
módl się za nami!

uświęcenie św. Jana Chrzciciela w żywocie matki — i pierwszy w porządku natury — przemienienie wody w wino — tu inny potrzebny: nie odmawiaj mi orędownictwa Swojego. Nie zasługuję na to, gdyż zbyt długo nie pamiętałem o Tobie; ale choć z drżeniem poczynam się udawać do Ciebie, bądź mi u Syna Twego pośredniczką! Zwracając się zaraz do Boga, mówiłem: Panie, proszę Cię o światłość Twoją. Tyś obiecał, że wysłuchasz tych, co Cię wzywać będą: oto wzywam Cię z głębi serca mego. Szukam prawdy za jakąkolwiek cenę, czegoś Ty mi, o Boże, świadkiem. Nie mogę się mylić, udając się do Matki Twojej, gdyż Ty sam byłbyś omyłki mojej przyczyną!“

„Ufność i pokój serca były owocem tej modlitwy. Od tego czasu zawsze uciekałem się pod obronę Najśw. Panny, i wiem, że przez Jej przyczynę dostępowałem łask. Wdzięczność każe mi wyznać, że ślubowałem pracować nad tem, by cześć Jej, ile sił moich, rozszerzała się jak najdalej.“

Thayer gotował się jak najgorliwiej do uroczystego wyrzeczenia się błędów, co też w Rzymie wykonał. Po swem nawróceniu się pojechał do Francji, gdzie w roku 1787 został katolickim kapłanem. Na podziękowanie za tę wielką łaskę prawdziwej wiary postanowił życie swoje nawracaniu ziomków poświęcić. Wrócił do Ameryki właśnie w czasie, gdy papież Pius VI pierwszego Biskupa dla Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki ustanowił. W mieście swem ojczystem, w Bostonie, Thayer założył małą katolicką parafię, na którą się sto dusz składało. Dzisiaj miasto liczy przeszło 70 tysięcy katolików, posiada wiele kościołów i katolickiego Biskupa.

Thayer umarł w roku 1816.

*

*

*

Nie podoba mi się, gdy kto historję, w której chodzi o życie lub śmierć duszy, czyta jak jaką zwykłą gacziarską nowinę, ot, tak sobie dla rozrywki, dla zabicia czasu, bez dobrego zastosowania tego co czytał, do siebie.

Czy ci się kiedy nie przytrafi, że zaczniesz coś, jaki interes, pisanie, robotę jaką, albo jak on Nathanael Thayer chcesz się czego nauczyć, albo, co jeszcze ważniejsza, zamierzasz uczynić co dobrego, poprawić się; a owo jakoś ci się to nie szykuje, masz jeno samo utrapienie. Tobie zdaje się, że to musi się udać, i jeszcze więcej się silisz, ale darmo — co nie idzie, to nie idzie, wóz jakoś za ciężki, zaprzęg za słaby. Tuż podle ciebie sąsiad lub brat z parą tęgich koników, i tylko czekają, żeby ci pomódz. Zlituj się przecie nad sobą samym, poproś ich, żeby ci konia swego doprzęgli, a oni chętnie to uczynią.

Sąsiadem, bratem twoim jest Bóg, jest Jezus Chrystus, a bardzo ci blizcy. Wszakże Pan Jezus powiedział: „Proś, a weźmiesz!“ Więc tylko czeka, byś Mu to w poroze powiedział, tedy pomoże, jeżeli nie zaraz, na pierwsze słowo, to jednak pomoże z pewnością, gdy nie przestaniesz się żalić i prosić. Nie myśl, że to, co cię trapi, to coś marnego, a Bóg znowu za wielki, iżby miał na cię uważać. Wszakże to Bóg pamięta i o mizernym robaczku, co się wije na ścieżce, pamięta o tej chmurze marnych komarów, co grają nad stawkiem, a Pan Jezus powiedział: Przypatrzcie się krukowi — nie sieją i nie znają, nie znoszą do brogów, a Bóg żywi je i utrzymuje: o ileż więcej będzie o tobie pamiętał!

Ale i ty spoglądaj na Boga z ufnością, i mów, jak przystoi. Spróbuj, a przekonasz się, że to pomoże.

Thayer zrazu śmiał się z onych trzech Ojczy naszów, ale je jednak odmówił — uczynił pierwszy krok do Serca Jezusowego, przez co oraz i do swego zbawienia.

ROZDZIAŁ XIII.

Marcinek Kowalczuk.

W

alendarzu jednym starym wyczytałem prawdziwie złote słowa, które tu powtórzę:

„Żyje kto sobie tak, że o Bogu ani nie pomyśli, to stan jego duszy podobny jest do kałuży, lub do bagniska cuchnącego. Przechodzisz koło bagniska, widzisz w niem kwiat niezapominajki lub róży, to nie powiesz, że ten kwiat wyrósł w bagnie, lecz że go tam ktoś wrzucił. Podobnie ma się rzecz z myślami dobrymi i świętymi, które kiedy niekiedy wpadają w bagnisko duszy przesiąkniętej grzechami, i pobudzają do nawrócenia się. Takie myśli, które budzą ze śmierci do życia, mogą jedynie pochodzić od Boga, który je jakby niezapominajki jakie z Nieba posyła do duszy. Bywa to, że książka, kazanie wstrząśnie potężnie i obudzi z snu śmiertelnego grzesznika; ostatecznie czyni to Bóg, bo to On sprawia, że dobra książka lub kazanie poruszy grzesznika, a znowu ta książka lub kazanie czerpie swą moc i zbudowanie od słowa Bożego, które w nich zawarte.“

O prawdzie tego przekonamy się z poniższej historii:

*

*

*

We wsi jednej żył przed laty chłopiec — dziecko dobre, w wielkich łaskach u swego pasterza duchownego, któremu zresztą pilnie usługiwał do Mszy świętej. Nie pomnę już, jak się nazywał, ale wołano go: Marcinek Kowalczuk.

Ten chłopiec bardzo młodo poszedł sobie w świat, a w tym świecie z czasem prawie całkiem zapomniał o wierze, a co do obyczajów stał się po prostu — błotem cuchnącem. Czy z tęsknoty, czy skutkiem choróbska,

dosyć, że po piętnastu latach wrócił znowu do wsi, w której się urodził. Zaraz w najbliższą Niedzielę poszedł z innymi do kościoła. Była to Niedziela Serca Jezusowego — proboszcz obrał sobie na kazanie one słowa: „Pójdźcie do Mnie wszyscy, którzy pracujecie i obciążeni jesteście, a Ja was ochłodzę.“ Nasamprzód kaznodzieja rozbierał to słówko „wszyscy“, po kolei wskazując rozmaite utrapienia serca ludzkiego; przytaczając z Ewangelii przykłady, jak to miłościwe Serce Jezusowe pocieszało ludzi w smutkach i we wszelakiej niedoli. Mówił o utrapieniach dzieci, o przykrościach uczenia się, o obowiązku posłuszeństwa, i jak to miłościwe Serce Jezusowe kochało dzieci. Niejedno dziecko słysząc tę naukę rozrzewniło się, a matka niejedna ocierała sobie łzy z oczu. Dalej mówił o uciążliwościach sług, jak ciężko muszą pracować, ile muszą znosić dokuczliwości od państwa, od tych, u których służą, i od innych. I tak przechodził wszystkie członki rodziny i wszystkie stany — prace i ciężkości każdego stanu z osobna, i jak Pan Jezus umiał każdego ochłodzić i pokrzepić. Gdy opowiadał wskrzeszenie Łazarza, i jak wzruszone było Serce Jezusowe, że aż Pan Jezus zapłakał; i gdy następnie wspominał o zmarłych parafianach, co dziś już spoczywają na cmentarzu: — to wszyscy obecni poczęli głośno szlochać, i to rozrzewnienie udzieliło się i tym, co dla ścisłu musieli stać przed kościołem.

Były to proste sobie słowa, ale szły z serca. Najgorszą uciążliwość kaznodzieja pozostawił na sam koniec — jarzmo grzechu. Ten ciężar i to jarzmo opisywał słowy Pisma, jako przykład przywołując Kaina, Szawła, Magdalenę, Judasza; i opisywał, jak to Dobry On Pasterz szukał owieczek, Magdalenę, Piotra i dobrego łotra na krzyżu. Widząc głębokie wzruszenie w słuchaczach, kazanie swoje zakończył serdeczną prośbą i modlitwą do

Dobrego Pasterza: Idź-że więc — wołał — o grzeszniku, ktokolwiek nim jesteś, idź do Serca Jezusowego, do Zbawiciela twojego. Ten Jezus dość bogaty i wszechmocny, by ci mógł dopomóc, by cię podźwignąć, choćbyś nie wiedzieć jak głęboko był w nieprawościach pograżon. Bylebyś chciał rzetelnie, poprawa nastąpi. Pójdź, o grzeszniku, pójdź do Serca Jezusowego. Gdy ze skrucą i ufnością przyjdiesz, Jezus zmiłuje się nad tobą, chociażbyś był tysiackroć jeszcze gorszym, niżeli jesteś grzesznikiem! Amen.“

Po kazaniu odmawiał przepisane modlitwy: w kościele było słyhać samo łkanie, gdyż dla wielkiego wzruszenia nikt nie umiał odpowiadać.

Było to przed południem. Po Nieszporach proboszcz poszedł do ogrodu i odmawiał tam swój Breviarz. Naraz słyzy: „Księżę proboszczu!“ Obraca się ksiądz w stronę, skąd głos pochodził — przed ogrodem stoi jakiś nieznajomy, ubrany dość porządnie, z kapeluszem w rękę. Proboszcz przybliżył się i zapytał, czego sobie życzy.

— Księżę proboszczu, — odzywa się z wyraźnem drżeniem w głosie nieznajomy — mam coś ważnego do powiedzenia; czy mógłbym rozmówić się w pokoju?

Weszli obaj do pokoju, a ksiądz się zapyta: „A co to tak ważnego?“

— Czy Jegomość mnie poznaje? Toż ja z tutejszej parafii — Marcinek Kowalcuk.

Gdyby ksiądz rodzzonego swego brata był ujrział, nie mógłby się bardziej ucieszyć: Marcinkowi uściśnął rękę serdecznie, i począł go wypytywać, skąd się wziął tak niespodzianie, jak mu się powodzi i co porabia.

Miasto odpowiedzi, Marcinek począł głośno szlochać. Zrazu kapłan nie wiedział, co mu jest, więc zapyta: Czy

cię nie spotkało jakie nieszczęście? Młodzieniec począł płakać jeszcze głośniej i rzewniej. Proboszcz każe mu usieść przy sobie, pociesza go jak może.

Gdy się nieco uspokoił, zaczął opowiadać swe przygody, jak się dał obłąkać, jak utracił wiarę, i co go do powrotu nakłoniło, że wczoraj wrócił wieczorem, że dziś rano poszedł po raz pierwszy od lat piętnastu do kościoła, że stanął u drzwi kościelnych, bo miał zamiar wnet się oddalić; ale gdy Jegomość począł mówić o Sercu Jezusowem, wielce go to zaciekawiło, i słuchał, słuchał z prostej ciekawości. Następnie jakoś jakby niechcący wstąpił do kościoła, i słyszał dobrze caluteńkie kazanie; mimowoli czuł się bardzo wzruszonym, a gdy usłyszał słowa: „Pójdź, grzeszniku, pójdź“, to te słowa szły mu prościuteńko do serca, i zdawało mu się, jakby kaznodzieja jego wyłącznie miał na oku.

— Zrazu — powiada — chciałem sobie te myśli wybić z głowy, ale w czasie Mszy świętej ogarniał mnie jakiś dziwny smutek, a gdy w czasie Podniesienia wszyscy tak nabożnie klęczeli, i ja już nie mogłem dłużej wytrzymać, ukląkłem w ostatniej ławce. I tedy stanęła mi przed oczyma duszy młodość moja, i jakem to usługiwał do Mszy świętej, i jak się na końcu na dobre rozplakałem, i wstałem dopiero, gdy wszyscy powychodzili z kościoła.

Skończywszy to opowiadanie, znowu zalał się łzami, poczem ciągnął dalej:

— I oto tu jestem. Jegomość wołałaś mię dziś — przyszedłem, choć niestety! późno. Jam onym grzesznikiem, któremu Jegomość tak natarczywie mówiłaś do serca. Nie wątpię, że to sam Bóg przyprowadził mnie do wioski rodzinnej, do domu rodziców moich, bym się poprawił. Ratuj mnie, księżo, — wysłuchaj mnie spowiedzi!“

Można się łatwo dorozumieć, jak poczciwemu kapłanowi biło serce gwałtownie z boleści i radości, gdy słuchał to opowiadanie Marcinka, tego samego, co przed 19 laty jako dzieciak szkolny usługiwał mu do Mszy. Co do wypowiedzianego, radził mu, żeby to odłożył na jutro, bo dziś za nadto wzruszony. Pocieszył go, wskazując na nieskończone miłosierdzie Boskie, a na odejściu dał mu błogosławieństwo.

Nazajutrz pod wieczór przyszedł Marcinek i wyповідаł się. Teraz już niech sam-że proboszcz opowie całą historię.

„W życiu mojem tysiące i tysiące słuchałem spowiedzi, ale bodaj, czy która była tak budująca, jak ta. Musiałem razem z nim płakać, a były to łzy takie słodkie, że tak płakać chciałbym codzień. Niepodobna opisać wynurzeń wdzięczności ku Bogu i ku mnie.

„Radość jego była niezmierną, gdy nazajutrz przyjął Komunię. Byłbym sobie życzył mieć świadkami te duże zimne, które nie umieją szacować tej Boskiej Wierzy.

„Ukończywszy swe długie i gorące dziękczynienie i ponowiwszy uroczyste przyrzeczenie niezachwianej wierności Bogu, poszedł odwiedzić groby rodziców, gdzie potok łez wylewając, mówił: „Ojcie, matko, cieszcicie się w Niebie! Syn wasz marnotrawny wrócił. Jezus, ten Pasterz dobry, przyprowadził go znowu do Swej owczarni. I wy odpuście synowi czyniącemu pokutę za ciężkie przewinienia!“

„Przez trzy dni nie widziałem go weale, co mi podpadło, gdyż prosił mnie o pozwolenie odwiedzania mnie codziennie na małą godzinę. Dnia następnego doniesiono mi ku niemałemu mojemu przerażeniu, że ciężko zachorował, i że mnie prosi do siebie. Poszedłem natych-

miast, przywitał mnie dziwnemi słowy: Niech X. Dobrodziej śpiewa razem ze mną *Te Deum*, bo Bóg chce mnie zabrać do Siebie. Nie dostrzegłem nic osobliwego w stanie jego choroby, chciałem mu wyperswadować, że sobie coś uwidził. Mówił mu to samo i lekarz, który krótko przed tem był u niego. Ale chory obstawał przy swoim, i rzekł: Czuję, że już nie wstanę; proszę więc ojca duchownego, by dokończył ze mną rozpoczętego dzieła pokuty, i dopomógł mi do śmierci szczerze pokutującego grzesznika; chcę chętnie umierać.“

„Mówił prawdę — już nie wstał więcej.

„Z dniem każdym wzmagały się cierpienia, nadzieja wyzdrowienia gasła, codzien składał życie swoje Bogu w ofierze na zadosyćuczynienie za grzechy, z dolegliwościami rosła też cierpliwość i zdanie się na wolę Bożą. Ani jedna skarga nie wyszła z ust jego. Gdy go żalowano, on powtarzał: Ach, nie ma o czem mówić, gdy sobie grzechy moje rozważę. Kto tyle razy na piekło zasłużył, jak ja, nie może nazbyt dziękować Bogu, że go tak miłościwie ćwiczy. O Boże, tu mnie pał, tu mnie siecz, byleś przepuścił w wieczności!“

„Ciągnęło się to tak przez kilka tygodni. Stan jego budził litość, ale też podziwienie i zbudowanie. Wreszcie nadeszła godzina rozwiązania. Pragnął mnie jeszcze raz widzieć. Zastalem go już konającego, pot zimny występował mu na czoło; chciano mu otrzeć ten pot, ale nie dał, mówiąc już konającym głosem: „A kto Panu Jezusowi otarł w Ogrójcu pot krwawy?“ — Głosem przyciszonym powiedziałem mu: „Mój kochany Marcinku, Pan już blisko. Błogosławiony sługa, którego pan, gdy przyjdzie i zapuka, znajdzie czuwającego!“ — A on odpowiedział: „*Deo gratias* — Bogu dzięki.“ Przyjdź, o Panie, zabierz mnie. O Jezu! — to było ostatnie jego

westchnienie, ale drżącą ręką jeszcze raz przycisnął krzyż do ust.“

* * *

Na tem kończy się niniejsza książeczka.

Zanim się z Dobrym Pasterzem rozstaniem, rzućmy jeszcze dwa spojrzenia na Jego Serce. Pan Jezus taki dobrotliwy, i sam to pokazuje nie tylko w obrazie, lecz słowem i czynem.

„I stało się, gdy Jezus siedział u stołu w domu celnika, oto wiele celników i grzeszników przyszedłszy, siedzieli u stołu z Jezusem i uczniami Jego. A widząc Faryzeuszowie, mówili uczniom Jego: Czemu z celniki i grzeszniki je nauczyciel wasz? A Jezus usłyszawszy, rzekł: Nie trzeba zdrowym lekarza, ale źle się mającym. A szedłszy, nauczcie się, co jest: Miłosierdzia chcę, a nie ofiary. Bom nie przyszedł wzywać sprawiedliwych, ale grzesznych.“ (Mat.)

„I przybliżali się do Niego celnicy i grzesznicy, aby Go słuchali. I szemrali Faryzeuszowie i doktorowie, mówiąc: Iż ten przyjmuje grzeszniki i jada z nimi. I rzekł do nich to podobieństwo: Który z was człowiek, co ma sto owiec, a jeśliby stracił jedną z nich, iżali nie zostawuje dziewięćdziesiąt i dziewięć na puszczy, a idzie za oną, co zginęła, aż ją najdzie? A gdy ją znajdzie, kładzie na ramiona swe, radując się. A przyszedłszy do domu, zwoływa przyjaciół i sąsiadów, mówiąc im: Radujcie się ze mną, iżem znalazł owcę moją, która była zginęła. Powiadam wam, żeć tak będzie radość w Niebie nad jednym grze-

sznikiem pokutę czyniącym, niż nad dziewięćdziesiąt i dziewięć sprawiedliwych, którzy nie potrzebują pokuty.“ (Łuk.)

Gdy sobie rozważysz te słowa Jezusowe, i przypomnisz wszystkie tu opowiedziane wypadki, to pewnie wyznasz i powtórzysz: „Bóg nie chce śmierci grzesznika, lecz, żeby się nawrócił i żył.“

Dla tego, miły ty czytelniku, zapisz sobie te słowa w sercu głęboko i powtarzaj często, jak najczęściej. Powtarzaj z mocną wiarą: Bóg nie chce, bym w grzechach umierał, lecz, żebym się nawrócił i żył. Bądź sobie, jakim chcesz, ale nie zwątp o sobie, nie rozpaczaj! Uważ, co Bóg czynił z onymi, o których tu czytałeś. Ażali matka może czulej kochać swe dziatki, niżeli Bóg kocha ciebie? Rozpatrz się w życiu swoim: gdyby Pan Jezus chciał cię odrzucić, dosyćby było przyczyny z twojej strony; a oto widzisz, że nie chce cię opuścić.

Jak On tylekroć i tak serdecznie wołał cię, tak i ty odzywaj się do twego Pasterza, który wcale nie jest daleko od ciebie, a czytałeś przecie, jakie, nawracając się, zgotujesz Mu wesele.

Wszelako i to muszę powiedzieć. Z tą miłością Boskiego Pasterza nie trzeba żartować. Wszystko ma swe granice i swój koniec, więc i grzechy twoje — spamiętaj to sobie! Obu łotrów na krzyżu Pan Jezus chciał zbawić, a jeden tylko zbawiony, drugi — nie. Kto wie, czy ta książeczka nie jest ostatniem wołaniem dobrego Pasterza, abys się nawrócił. Nie igraj więc z duszą swoją, nie igraj z wiecznością i z Bogiem, bo Bóg nie da się z Siebie naigrawać. Jeżeli z głębokości nieprawości swoich będziesz wołał o łaskę, o zmiłowanie, o ratunek, to Bóg wyciągnie cię Swą wszechmocną prawicą z cierni,

weźmie na ramiona, zanieś do swej owczarni, i ty sam-że będziesz żywą historią o Dobrym Pasterzu, będziesz Aniołom w Niebie opowiadał i śpiewał:

„Tyś Pasterz mój! Błądziłem bez przewodnika na ciemnym padole, — zawołałeś na mnie, wziąłeś na ramiona, i uczulem, żeś Ty Pasterz mój!“



SPIS RZECZY.

- B**ock, protestancki baron, nawrócenie się 20.
Bóg, chce tylko dobra człowieka 106.
Herbst Ferdynand, protestant, nawrócenie się 278.
Jezus Chrystus, dobry pasterz, wykazany w różnych nawróceniach 3—164.
Kazanie o Najśłodszym Sercu Jezusa nawraca grzesznika 156.
Komunia pierwsza dziecięcia jedynego nawraca ojca 34.
Labre Benedykt, cuda za jego przyczynieniem 146.
Murray, protestant jego nawrócenie się 8.
Nawrócenie się, dwu Anglików 7.
— jednego żołnierza 14.
— konsula :2.
— ojca przez dziecko 34.
— uczonego 41.
— kupca z Norwegii 49.
— żebraka 68.
Nawrócenie się, hrabiny 81.
— profesora 101.
— jednej pani w Anglii 107.
— jednego włoskiego awanturnika 134.
— pastora 141.
— Marcinka Kowalczuka.
Niewierny profesor, jego nawrócenie się 102.
Owca, porównanie o zgubionej owcy 4, 163.
Pasterz dobry, Jezus, jak szuka utraczone owieczki 3—164.
Pittar, protestancka niewiasta, jej nawrócenie się 107.
Procesya Bożego Ciała 3.
Ravignan, Jezuita, wyzdrowienie przez ofiarowanie życia swego jednej pobożnej duszy chrześcijańskiej 99.
Stub, kupiec z Norwegii, jego nawrócenie się 49.
Thayer, protestant, jego nawrócenie się 141.



Hattler-Stagraczyński.

Chleb duchowny dla prawowiernych katolików.

Obraz Matki naszej Maryi. Żywot Najświętszej Bogarodzicy z licznymi ilustracyami. Tom I. Stron 296.
W oryginalnej okładce, broszurowany 1,— Rbl.
W oryginalnej okładce, oprawny 1,50 Rbl.

Na co świat chory i kto go uzdrowi.
Czytania nabożne dla wszystkich stanów z licznymi ilustracyami. Tom II. Stron 176.
W oryginalnej okładce, broszurowany 0,80 Rbl.
W oryginalnej okładce, oprawny 1,20 Rbl.

Serce za serce, czyli wykład przykazania miłości Boga. Z licznymi ilustrac. Tom III. Stron 174.
W oryginalnej okładce, broszurowany 0,80 Rbl.
W oryginalnej okładce, oprawny 1,20 Rbl.

Perły do korony niebieskiej, zawarte w przykazaniu miłości bliźniego. Z licznymi ilustracyami. Tom IV. Stron 192.
W oryginalnej okładce, broszurowany 0,80 Rbl.
W oryginalnej okładce, oprawny 1,20 Rbl.

Krople rosy na ochłodę serce chrześcijańskich. Z licznymi ilustracyami. Tom V. Stron 181.
W oryginalnej okładce, broszurowany 0,80 Rbl.
W oryginalnej okładce, oprawny 1,20 Rbl.

Prawdy zasadnicze. Z licznymi ilustracyami. Tom VI. Stron 112.
W oryginalnej okładce, broszurowany 0,70 Rbl.
W oryginalnej okładce, oprawny 1,10 Rbl.

Dobry pasterz. Z licznymi ilustrac. Tom VII. Str. 166.
W oryginalnej okładce, broszurowany 0,80 Rbl.
W oryginalnej okładce, oprawny 1,20 Rbl.

Najlepsza pociecha w godzinie konania.
Z licznymi ilustracyami. Tom VIII. Stron 112.
W oryginalnej okładce, broszurowany 0,70 Rbl.
W oryginalnej okładce, oprawny 1,10 Rbl.

Wszystkie 8 tomów broszurow. w oryg. okładce 5,50 Rbl.

Wszystkie 8 tomów oprawne, w pudełku 8,50 Rbl.

Adresować proszę:

K. Miarka, Warszawa, Marszałkowska 143.

Czcionkami Karola Miarki w Mikołowie.

